



s. 186 dom Poelbry.







**POWIEŚĆ BEZ TYTUŁU.**

POWERS OF THE

POWIEŚĆ  
BEZ TYTUŁU,

PRZEZ

**J. I. Kraszewskiego.**

---

Militia est vita hominis super terram.

*Legenda średniowieczna.*

---

4 Tomy we 2<sup>ch</sup>. *J.I.*

---

TOM PIERWSZY.



W I L N O.

Nakładem i drukiem Józefa Zawadzkiego.

---

**1855.**



Pozwolono drukować z obowiązkiem złożenia w Komitecie  
Cenzury prawem oznaczonej liczby exemplarzy. Wilno, 25 Wrze-  
śnia 1854 roku.

Cenzor PAWEŁ KUKOLNIK.

**INSTYTUT  
BADAŃ LITERACKICH PAN**

**Biblioteka**

**ul. Nowy Świat Nr 72**

**00-330 Warszawa**

**Tel. 26-68-63, 26-52-31 w. 2**

1733

<http://rcin.org.pl>


## **OSTRZEŻENIE.**

**J**AKKOLWIEK powieść którą dajemy czytelnikom naszym, z tego jest rodzaju, że w niej z trudnością dopatrzećby można obrazów z żywego świata żywcem pobranych; nauczeni bardzo przykrém doświadczeniem, i na jej czele umieścić musimy najuroczystsze oświadczenie, że w niej niema nikogo prócz typów wziętych z wyobraźni, i wizerunków fantazyjnych.

Takeśmy jeszcze nieoswojeni z utworami imaginacyi, że w każdym z nich szukamy otaczającego nas świata, nie w ten sposób w jaki być w nich może i powinien, ale odbitego dagierrotypem niechęci. Nigdy piórem mojem, nie kierowała ani namiętność, ani nieprzyjaźń jakaś; gdybym go ku temu chciał użyć, mógłbym krzykaczy złośliwych, pobić ich własnym orężem, ale mi się zdaje, że prócz wzgardy na nic więcej nie zasługują.

Dla tych co uwierzyć nie umieją, żeby pisarz nie czerpał ze świata, gotowe wzory wcielając w pisma swoje, powtarzam tu raz jeszcze, że w tej jak w innych powieściach moich, w których lub mnie samego, lub kogoś tam upatrzonogo chcą widzieć niechętni, niema i nie było myśli wystawienia siebie ni drugich. Są typy, są obrazy, są ludzie, daj Boże jak najżywsi, ale niema osobistości, portretów być nie może, chyba przypadkowe. Kiedy malarz w wielkim obrazie tysiące głów charakterystycznych umieścić musi, z konieczności fiziognomje te przypominają osoby znajome, ale nie idzie zatém, żeby artysta chciał je malować. Protestuję więc zawczasu przeciwko wszelkiemu tłumaczeniu, i nakręcaniu złośliwemu powieści; protestuję raz jeszcze, i jeśli można raz na zawsze, że nazwiska żyjących osób i rodzin, któreby się tu trafić mogły, trafią się chyba przypadkowo; trudno ich uniknąć, ale któżby je chciał mieścić umyślnie?

Żytomierz, d. 5 Grudnia 1853.





**W**IELKI ruch panował pomiędzy młodzieżą zasiadającą ławy piątej klasy w szkole gymnazjalnej w D..... Tylko co był wyszedł, po skończonej godzinie, poczciwy professor matematyki H... i na tablicy jeszcze posiwiałej od kredy, sterczały formuły któremi cała zapisana została — wszyscy uczniowie przygotowywali się do następującej lekcji literatury, w której wypadało czytać zadane ćwiczenia. Jedni chwyтали z seksternów pilniejszych i zdatniejszych uczniów kawałki, z których coś swego zszyć mieli; drudzy za obiecanego kubana zakupywali gotowe wypracowania, inni rozpatrywali się w tém co mieli przed sobą, a wielka większość korzystając z chwili swobodnej, wprawiała się do życia praktycznego żywą rozmową, sporami żywszemi jeszcze, nawet maleńką bójką, która pyłem i wrzawą napełniała salę.



W tój skupionėj gromadce blisko pięćdziesięciu młodzięży, widać było w zarodku wszystką przyszłość każdego;—dobitniej nawet i wyraźniej malowały się tu charaktery niż na starszym świecie, gdzie poduczywszy się udawania, ludzie stąpają już ostróżniej i kryją się z grą swoją. Każdy na wylot znał towarzyszków i nikt z namiętnostką, ze skłonnością, z nałogiem, z popędem nie potrafił się zataić przed bystrém okiem współtowarzyszów swoich. Wczesna ostróżność i skrytość nie bez przyczyny obudzała nieufność, a każdy stronił od takiego, który się mu cały nie odsłaniał.

Co za rozmaitość w tych kilkudziesięciu twarzach, postawach, wejrzeniach i mowie każdego! Wszystko z czém oni później wystąpić mają na świecie, już tu jest w zarodku: począwszy od ponurego milczka od którego stroni cała klasa, zepchnąwszy go swym wstrętem w ostatnią ławę, aż do dobrego koleżki przyjmującego wesoło pocałunki i szturchańce, przesładowania i żarciki braterskie, któremu sekstern rzucono pod ławę i powywracano kieszenie — znajduje się tu cała nieskończona gamma charakterów ludzkich. A co się tam roi w tych jasnych główkach opromienionych całym myśli światem, niedoświadczaniem i snami malowanemi przed dwudziestego roku — o! któż to wypowie.

Professor matematyki chodzi jeszcze po korytarzu

z nauczycielem literatury, a klasa korzysta z tych minut dziesięciu, przedzielających dwie godziny tak do siebie niepodobne jak dwie życia epoki. Na katederkę lecą rzucone czapki, łapka zajęcza od tablicy, książki i papiery, szmer dochodzi do wrzawy i szaleństwa — wtem drzwi się otworzyły powoli i małeńka, chuda figurka nauczyciela wchodzącego szybkim krokiem z czapką naciśniętą na uszy, z książkami i papierami pod pachą, w płaszczu z ramion spadającym i jedną swą połą zamiatającym kurzawę z podłogi — ukazała się na progu, przesunęła wśród ławek do których pchają się rozpierzchli uczniowie — i oto już panuje na katedrze. Szał w jednej chwili ucichł jak burza zaklęta trójzębem Neptuna, szmer tylko wolny przelatuje po nad ławami jeszcze, wszyscy usiedli, professor poskładał części ubioru zbyteczne i zapasy papierowe — i lekcya się rozpoczyna. Nikt się wprawdzie nie lęka łagodnego literata, który z surową na pozór miną, z usty ściągniętymi, z brwią nachmurzoną, z okiem przymkniętym rozpatruje papiery i rozkłada książki, ale dobroć jego silniej tu działa niż surowość wielu jego kolegów. Podniósł osłabłe od pracy oczy na uczniów swoich i wszystkie wejrzenia skierowały się ku niemu.

— No, kochani panowie, kto tam z was przeczyta mi ćwiczenie?

Jeden i drugi wyrywa się z zasmarowanym papierem na popis, — wybor trudny — pierwszy z brzegu..

—Ale zgadnijcie co było zadaniem? a! niewinne zaprawdę i miluchne ćwiczenie, po prostu tylko opis wiosny. Któżby go zdaje się, lepiej mógł dokonać jak ci chłopcy, którym ona kwitnie i latem i zimą w piersi pełnej uczuć wiosennych? Jednakże — gdy im przyszło opisywać wiosnę, jakże to szło trudno! — nigdy jeszcze nie mieli czasu spojrzeć i rozpatrzyć się ani w sobie, ani po świecie, i gdy nauczyciel zadał ten nieszczęsny opis najpiękniejszej pory roku — co się nastękali biedacy, od czego zacząć — co weń włożyć i na czém zakończyć!

I wątku i myśli i barwy tak brakło nieborakom, że się musieli uciekać do wzorów i przetrzęśli co gdzie kto na rachunek wiosny wyśpiewał, wykaszłał i nabredził. Thompson, Kleist, Virgiljusz i Gessner, i krajowi poeci zrabowanymi zostali do koszuli przez tych młodych rabusiów bez litości — ale poszarpany łup niewielką im przyniósł korzyść.

Czyta jeden i drugi deklamacyjnym tonem, a nauczyciel przechadza się po sali spoglądając z pod brwi, chwając pół uesty, notując zdania, uśmiechając się nieznacznie gdy natrafi na znajome ułamki pokradzione bezwstydnie. Nareszcie przyszła kolej na małego chłopaczka z blond włosami, z niebieskimi oczyma, zapiętego w mundurzyk wytarty ale czysty, odzianego starannie i dosyć nieśmiałego, bo gdy mu czytać wypadło, cały się oblał krwią, zmieszał, se-

ksterna pogubił, głosu znaleźć nie mógł i ledwie po trzykroć zaczynając, potrafił nareszcie wiosnę swoją wyśpiewać.

Wszystkie wiosny dotąd odczytywane — były tylko poetyczną pisane prozą, ta pierwsza wystąpiła w rymowanej szacie, i nie dziw że jej twórca tak się zarumienił poczuwszy za późno zuchwalstwo swoje. I bał się tego co zrobił, i chęć oprzeć się nie mógł, sto razy darł ćwiczenie i powracał do niego, nareszcie na ogromną zebrawszy się odwagę, przyniósł do klasy z bijącym sercem owoc roskosznych i gorących dumań swoich dziewiczych.

A trzeba wiedzieć, że ten co tak śmiało zadanie zrobione przez wszystkich prozą, sam dobrowolnie w poezję zamienił, był nowym w szkole, przybyszem do klasy, prawie nieznanym nauczycielowi, a niewiele zażyłym jeszcze z towarzyszami. Wystąpienie to niespodziane zrodziło szmer podziwienia — wszyscy poczęli się uderzać łokciami.

— Słysz! słysz! wołali — dalibóg Piwonia napisał wiersze!

Zwali go piwonią dla zarumienionej i krwią młodą ciągle oblanej twarzy.

Nauczyciel który dotąd ledwie z nawiska znał ucznia, zastanowił się wołając:

— Co? co? wiersze?

— Tst! tst! rozległo się po całej klassie..

Oczy poczciwego literata z zajęciem, z sympatją zwróciły się na młodego chłopaka—zbliżył się do jego ławki, sparł na nią i spuściwszy po chwili źrenice — słuchał milczący, zadumany.

Ale to wytężenie uwagi wszystkich, zwrócenie oczów, uciszenie się klasy, odebrało ostatek niewielkiej odwagi biednemu Piwonii—głos gasł—plątał się i zabrakło tchu nareszcie. Dwie poczciwe łzy, łzy które całą przyszłość jego wróżyły poecie — popłynęły po policzkach spalonych rumieńcem.

Nauczycielowi przykro się zrobiło, może pomyślał, że ten który tak występował na ławie szkolnej i na świecie rady dać sobie nie potrafi, może się ulitować nad biedakiem, powoli ujawszy sekstern z rąk jego, zbliżył go do przymrużonych oczu, i sam już czytał po cichu ową wierszowaną wiosnę.

Tymczasem Piwonia stał palony oczyma wszystkich, jak pod pręgierzem, i zdawało się, że wstyd niewczesny i bojaźń go spali. Uczniowie szeptali wskazując sobie palcami poetę, który w tej chwili już dostał nowy przydomek. Jedni poglądali nań ze współczuciem, drudzy z ciekawością, inni z zawiścią prawie, a krok ten stanowczy na który się nowy uczeń odważył nie obrachowawszy sił swoich, już stanowisko jego względem całej klasy na resztę lat nauki nieodwołanie wykręślił.

Z biednego ucznia oczy kolegów padały na twarz



nauczyciela, szukając na niej oznaki pochwały lub uśmiechu politowania, ale nie znalazły w bladych rysach zmęczonego człowieczka, po których nie przesuwano się nigdy to co dotknęło duszę. Czytał spokojnie do samych oczów przybliżywszy papier, przebiegł ćwiczenie całe, oddał je Piwonii i skinął głową przechodząc do następnego ucznia nic nie powiedziawszy, wejrzeniem ukradkowym tylko mierząc młodego poetę.

Ten usiadł, spuścił głowę i z biciem serca, w milczeniu pozostał na ławie do końca śmiertelnie długiej godziny.

A! nic to było jeszcze wystąpić z tą nieszczęsną wiosną, niczem ją przeczytać, niczem ukazać pocziwemu nauczycielowi, ale po skończonej godzinie jak tu się pokazać współuczniom, których szyderstwo chybić nie mogło! Gdy zegar wybił dwunastą, a professor poszedł do katederki na odgłos dzwonka i począł zbierać papiery, czapkę, chustkę i płaszcz którego nigdy na sobie utrzymać nie mógł — Piwonia czując zbliżającą się chwilę męczarni, ledwie nie umarł w duszy ze strachu.

Za professorem wyrwali się z klasy uczniowie, jak woda zburzywszy groblę, i zaleli korytarze jedni śpiesząc do domu, drudzy w różne rozbiegając się strony. Ale pośpiech ten nie ocalił nieszczęśliwej ofiary, która się pierwsza ucieczką ratować chciała;

otoczono poetę, szarpiąc go, chwytając, uderzając rękami i słowy.

— Vivat poeta! krzyczeli jedni.

— Słyszysz Piwonia, przyznaj się z kąd wiersze ukradłeś? wołali drudzy.

— Jaki tęgi, rzekł ktoś trzeci— chce nas wszystkich zakasować, odznaczyć się i *solo basso* występuje z wierszami..

— Dajcie pokój! widzicie że i tak ledwie mu krew z oczu nie tryśnie, tak się zarumienił. Dobrze jeszcze, że po dwunastej każdy śpieszył do domu i nie bardzo czas mieli dokuczać Piwonii, ale droga do dworków w których się miescili uczniowie, dozwalała przedłużać prześladowanie do wrót mieszkania, a klasa piąta połączywszy się z szóstą, wiodła ofiarę swoją aż do ganku domóstwa, nielitościwie ją szpilując przezwiskami i szyderstwami.

Jak w szkole, tak na świecie! zawsze pierwszym uczuciem większości na widok jakiegokolwiek niezwyčajnego fenomenu, jest to nieszczęsne szyderstwo i niedowierzenie — każdy tryumf poczynąć się musi od męczarni. Może też tak być powinno, bo ten tylko zasługuje na wieniec, komu wprzód skroń krwią ociekła, a próba ognia, jest próbą powołania i talentu. Nie wiedząc o tém, biedny chłopiec całą swą przyszłość stawiał na owo jedno ćwiczenie! Z klasy do klasy miał odtąd przechodzić już z upo-



karzającem nazwiskiem poety, z tą kulą do nogi przykutą — z nią miał wyjść na świat i nigdy już naprawić nie mógł nierozważnego kroku, który w tym dniu o życiu jego postanowił.

Jakby przewidując co go oczekiwało, szedł Piwonia z głową spuszczoną do dworku. Nieczuły prawie na zaczepki i prześmiewania towarzyszków swoich którzy go nie opuszczali, podwajał kroku żeby co prędzej sam na sam z sobą pozostać, a słowa kolegów spadały w końcu na niego jak zimne liście jesienne z niezrozumiałym szelestem. Tak przeprowadzany dostał się do domku, wpadł we drzwi szybko i znikł w nich nareszcie.

Ale i tu nie mógł już być spokojnym, czekał go pan dozorca, który o grzechu wierszy wiedział od nauczyciela, spotkali towarzysze mieszkania z klaszarni różnych, na ulicy złapawszy ciekawą plotkę....

Chórem zakrzyknęli wszyscy na niego, gdy do stancyjki wchodził, a pan Jacenty, poczciwy, suchy, długi z wysoko zaczesanym czubem mężczyzna, w białym kożuchu szczelnie opiętym, za którym tkwiła tabakiera i chustka kraciasta, uśmiechem dwuznacznym i poprawieniem włosów, w progu przywitał swojego ucznia, unikającego wejrzenia, a usiłującego co prędzej ukryć się gdzie w kątku.

Przebiegłszy pierwszą izdebkę jak oparzony, Piwonia dopadł swojego łóżka i stolika w drugim po-

koiku, rzucił książki, do szuflady wsunął seksterna i siadł znużony na pościeli. Otoczono go kołem, a pan Jacenty nawet nie wstydził się należeć do oprawców stojąc na czele gromadki, wyprostowany, sztywny, milczący, ciągle gładząc czuba i czoła i uśmiechając się nielitościwie. Młodszy uczniowie obskoczyli go jak szarańcza, śmiejąc się, chichocząc i napadając zapalczywie.

— A! Szarski poeta!

— Zadeklamujże cokolwiek!

— Winszujemy! prosimy..

— Dla mnie kawałeczek wiosny!

— I dla mnie!

— I dla mnie! poczęli śpiewać tonem jakim się napierali chleba z masłem na śniadanie nielitościwi malcy, wyciągając zaatramentowane ręce.

— Dajcież mi pokój, proszę, przybity odezwał się zasłaniając sobie oczy Stanisław — dajcie mi pokój, bo doprawdy gniewać się będę...

— A za cóżbyś się waćpan miał gniewać? zapytał poważnie jak zawsze dozorca pan Jacenty — naturalna to bardzo rzecz, że wszyscy się dziwujemy, winszujemy i śmiejemy! To mówiąc pogładził czuba, obciągnął kożuszkę i za ukazaniem się nadtłuczonej fajansowej wazki z buljonem, która oznajmywała obiad studencki, stanął za swoim krzesłem, ręce i usta wprost od szyderstwa składając do modlitwy.

Wnet na ten znak zgłodziła rzesza, rozsypała się śpiesząc zająć zwykłe miejsca swoje — zaszastały krzesła, rozszedł się szmer błogosławieństwa i biedna ofiara wiosny, odkupiona na chwilę głodem towarzyszków—zajęła po cichu miejsce swoje u stołu.

Wieczorem, pan Jacenty korzystając z soboty i pięknego dnia jesiennego, zrzucił kożuszek, wdział czarny paradny surdut z aksamitnym kołnierzem, czapkę która zawsze wisiała na gwoździu pokryta chustką od nosa żeby ją pył nie przypadł, laskę doskonale naśladowującą trzcinę, ale w swém łonie ukrywającą cybuch ozdobny rogowym pyszczkiem i schowawszy klucze spiżarni do kieszeni, zapowiedział uczniom swoim przechadzkę za miasteczko, za kościółek Aniołów Stróżów, na piaszczystą równinę ku cmentarzowi—był to zwykły cel studenckich spacerów.

Wszyscy oprócz Szarskiego (tak się zwał nasz poeta) ochotnie na nią się zgodzili, a tak zwany Piwonia pod pozorem niezdrowia pozostał sam jeden przy swoim stolczku.

—Dajcie mu pokój, zawołał trzecio-klassista szczypiący jak mała pijawka—niech sobie wiersze pisze, jak oślepie będzie kraj nasz miał w nim Homera!

Pan Jacenty mimo najlepszego serca trochę za-

zdrosny, bo dbający bardzo o wyższość swoją, — która zaćmioną być mogła sławą młodego poety, uśmiechnął się na to z ziarnkiem szyderstwa, i wywiódł swych uczniów w ulicę krokiem pedagogicznym.

Szarski potrzebujący odetchnąć pozostał przecie sam na sam, ale zaledwie współkoledzy oddalili się nieco od dworku, wyjrzawszy oknem za nimi, wyszedł usiąść pod kasztanami w ganku na baryerze. Cisza sobotnia panowała w spokojnym szkolnym miasteczku, którego życie stanowili uczniowie w tej chwili rozbiegający się po okolicy, zamknięci po stacyjkach lub odpoczywający na rachunek niedzieli. Rzęd dworków długą ciągnący się ulicą, gdzie nigdzie tylko ożywiała swawola pierwszo i drugo klasistów odzywających się śmiechami, krzykiem i uderzaniem piłek o ściany parkanów; skrzypiały studnie w podwórzach i głos brzęczącego fortepianiku nauczyciela muzyki Brauna, wylatywał niekiedy otwartym domóstwa jego okienkiem. Po chwili od drewnianego kościołka zabrzmiał dzwonek na Anioł Pański i głos jego smutny, przeciągły, długo, daleko rozległ się po okolicy. Chłopiec zadumał się, zapatrzał, sparł na pniu kasztana który ocieniał ganek, i ani się postrzegł jak maleńka figurka nauczyciela literatury wysunęła się od strony szkół i kościołka, przebiegła w szerszą piaszczystą ulicę, poszukała oczyma dworku pod kasztanami, kierowała się ku niemu —

i uśmiechnięty professor zbliżywszy się do ucznia, trącił go w ramie, ażeby przebudzić.

— Coś się ty tak Szarski zamyślił? począł łagodnie professor.

Uczeń głos dopiero usłyszawszy, zerwał się i stanawszy onieśmielony zjawieniem się niespodzianem tego o którym właśnie myślał, spuścił oczy jak winowajca schwyłany na uczynku.

— Chciałem trochę pomówić z waćpanem, odezwał się professor, weź-no czapkę, masz czas? pójdziemy się przejść trochę do pałacowego ogrodu?

— Idę, panie profesorze.

— Ruszajże po czapkę, może ci chłodno, weź i płaszcz.. — Ale gdzie mu tam zimno być mogło! on byłby, uszczęśliwiony dobrém słowem i spodziewaną przechadzką, czapki nawet zapomniał, gdyby mu jej nie kazał wziąć nauczyciel.

Powoli poszli ulicą przez placyk, po pod szkoły, ku starój alei grabowej i ogrodowi do którego wiodła.

— Powiedzże no mi, Szarski, zapytał stary wpatrując się zblizka w chłopaka, ho wzrok miał popsuty i krótki — chciałbym coś wiedzieć o tobie kto są rodzice twoi? z kąd jesteś rodem?

Jakkolwiek mocno zmięszany, onieśmielony, pełen obawy, Staś łagodnym professora obejściem i mową jego współczucia pełną uczuł się zasilonym po chwili, i serce mu zabiło, zebrał się na odwagę.



— Moi rodzice, panie profesorze, rzekł przychodząc do siebie powoli—mieszkają ztąd o mil kilkanaście, mają wioseczkę dziedziczną w Za....skiem.

— Jedną wioskę? spytał professor.

— Tak, jedną tylko wioskę i to niewielką.

— A wiele was jest rodzeństwa?

— Sześcioro, panie profesorze..

Nauczyciel pokiwał głową i westchnął głęboko.

— Bracia czy siostry?

— Trzech braci i dwie siostry, panie profesorze:

— Gdzież wprzód do szkół chodziłeś, kto cię uczył? począł badać literat..

Szarski wymienił szkoły i nauczycieli.

— Masz widzę żytkę do poezyi, rzekł wysłuchawszy opowiadania cierpliwie, staruszek — no! powiem wacpanu, jak na pierwszą próbę niezłe to jest co napisałeś o wiosnie, ale na téj drodze, mój kochany, chcąc dójść do czegoś, wiele, wiele potrzeba pracować, nawet przy darach niebieskich! A lubisz że czytać??

Młode chłopię aż się zatrząsł i zarumienił.

— A! któżby czytać nie lubił! zawołał ognisto. Uśmiech dziwny skrzywił blade usta nauczyciela, który znów z pod oka spójrzył na ucznia.

— Cóż czytujesz?

— Książek mam mało.. u pana Jacentego na półce. Molière tylko i Montesquieu..

— A polskiegoż nic? spytał nauczyciel.

— Jest dzieło Stanisława Potockiego...

Potrząśł głową.

— Nie wiem jeszcze co będzie z waćpana, rzekł powolnie, ale się uczyć potrzeba i wiele i porządnie jeśli masz pójść tą drogą, która mi się zdaje wyznaczona dla ciebie.. Poeta długo się i pożywnie karmić musi nim światu zaśpiewa... Ciężka to rzecz stanąć przed ludźmi i poruszyć ich serca, zmuszając szyderców do współczucia; świat nie poddaje się łatwo, a depcze ochotnie.

I westchnął stary znowu..

— Ciężka to droga — kończył zapominając po troszę do kogo mówił — cierniem wysłana, zarzucona skałami.. trudno być pierwszym, a niewolno drugim, i drugim nie warto. Musisz być u szczytu lub spaść w otchłanie na długie męczarnie... lepiej nie myśleć o poezji. Każdemu prawie młodemu załśni coś w głowie, zakołacze coś w sercu i chciałby śpiewać, ale gdy przyjdzie z pieśnią pójść przed ludzi, zabraknie myśli i słowa. O! pracować potrzeba, pracować! nawet tym którym Bóg dał wiele od razu, a tym najwięcej może. Nic bez pracy dziecię moje, wszystko się nabywa w pocie czoła, w serca pocie. Widziałeś jak towarzysze przyjęli dziś wystąpienie twoje? toż samo czeka cię na świecie.— Pamiętaj! A po wiekach które nas poprzedziły, po wieszczach którzy im śpie-



wali, po arcydziełach co nas karmią tchnąc życiem przeszłości, którego są najwyższym wyrazem, jakże to wiele potrzeba ażeby ośmielić się stanąć na scenie, ująć lutnię i zwołać ku sobie słuchaczy. Ten tłum któremu śpiewać będziesz, składa się z tysiąca ludzi, a każdy z nich przychodzi inszym, a dla nich wszystkich jest pieśń jedna! Musisz skrępować ich, pociągnąć, przekształcić, zmusić żeby weszli w ciebie i poszli za tobą. Czémże powinien być śpiew który ma zwyciężyć tysiące miłości własnych i złamać lody wstrętów, obojętności, odrętwień?— jakiej to potęgi potrzeba żeby wyjść z tej walki zwyciężcą? ile życia wyszafować, ile łez wylać, ile własnych piersi naszarpać?

Professor szedł i mówił, ale widocznie zapominał o uczniu który go słuchał, i lały mu się z piersi wyrazy jakby rozmawiał sam z sobą, a gdy westchnąwszy obejrzał się na Szarskiego, rozpoczął nieco inaczej.

— Tak, chłopcze, rzekł — potrzeba pracować koniecznie, pracować wiele, żeby coś zrobić na świecie. Człowiek myśli i pióra, jakim sądzę że się być czujesz powołanym, musi być naprzód wyższym od ogółu którego chce być przewodzcą, tłumaczem, pocieszycielem, kaznodzieją... Dwojakie więc zadanie, i jak kapłan musisz stanąć na świeczniku, i sukni twojego domowego żywota nie splamić nie powinno, bo ten co się w imie najwznioślejszych uczuć odzywa,

sam pierwszy obowiązany mieć je w piersi i na ręku;— jako człowiek ducha i myśli, powinien być o stopień wyżej, o krok naprzód przed ludem który za n'm idzie, musi odgadnąć przyszłość ku której dąży, uczucie którym jutro serce jego zabije, kierunek Boży na jutro... Wiele tu pomaga geniusz, talent, instynkt i duch stwórcy który w kolebce jeszcze wiorał na czoło dziecięcia, ale nasionko dane ci w posagu, ty sam, ty sam tylko wypielęgnować musisz i powinieś. Nauczyciele, księgi, świat, są to słupy gdzie nigdzie porazstawiane po stepie, wśród którego wieść się potrzeba samemu okiem, sercem i głową— O! pracować musisz, pracować wiele— Bóg ci da myśl i uczucie, ale one nie przemówią z ciebie dopóki ich nierozpowijesz, nierozwinięsz ich skrzydeł, nierozwiążesz ust ich pracą żelazną... W młodej piersi rwą się niecierpliwe, gwałtownie i zarodki idei i uczuć nasiona, stukając o ściany ciasne jak zwierz zamknięty w klatce, ale nie jeden, nie jeden zamorzył w sobie co przyniósł z drugiego świata nie karmiąc myśli swojej, wysuszając ją pragnieniem i głodem, a z uczucia robiąc bydlęce narzędzie głupiego powszedniego życia!

Szarski słuchał, a że raz pierwszy słowa tak wielkie i wzniosłe, tak przejęte łzawem doświadczeniem obijały się o ucho jego i piersi, uczył jakby nań zlewał się zdrój ożywczy— otwierały się w oczach je-

go nieznanne i tajemnicze drogi żywota i w dali błyskały niewidziane horyzonty. Nie zastraszała go praca, nie wątpił o siłach, a jednak razem z pragnieniem przejmował go strach jakiś niepojęty i dreszcz przebiegał młodzieńca.

— Patrzaj co masz przed sobą, rzekł dalej idąc nauczyciel— masz nauczyć się całego świata, pokochać go, poznać siebie, poznać ludzi, a potem jeszcze zbadać całą mądrość przeszłą, wszystko co ludzie kiedy stworzyli, żeby nie powtórzyć słabiej co wprzód gorąco już wypowiedzianém było— w ostatku to narzędzie twoje, język i literaturę na której skibę pot twego czoła ma upaść, musisz przeniknąć, musisz się ich wyuczyć...

— Będę się uczył, odpowiedział Szarski ochotnie, ożywiony słowami z duszy pochodzącemi starego nauczyciela— ten ujął go za rękę serdecznie.

— O tak! rzekł— uczyć się, uczyć! uczyć potrzeba całe życie, choćby dla przekonania się w ostatku, że nauka jest niewyczerpaném źródłem rokoszy, pokarmu i zawodów. Powiedzą ci później mój kochany niedowarzeni mędrkowie, że nauka i ślęczenie zabijają natchnienie, niszczą oryginalność, zacierają indywidualność— ale to fałsz! to fałsz! Sobą być można zawsze, panem pracy i myśli, ale pracować i myśleć potrzeba! Praca tylko dać może skrzydła natchnieniu.

I szli tak długo o zmierzchu, pustemi już ulicami pałacowego ogrodu, a professor mówił i wzdychał, jakby rad był, że się miał przed kim wywnętrzyć. Poczynał do ucznia a kończył do siebie, tak się w nim mnogo zebrało, z czém się wylać potrzebował. To znowu pocziwy przypomniawszy sobie młodego chłopaka, zwracał się do niego i po chwili uniesiony zapominał o nim. Ale żadne ze słów jego nie zostało stracone; te prawdy nawet, których Szarski pojąć jeszcze nie mógł, jak aforyzmy i zadania nierozwiązane pozostały w jego umyśle, przechowując się dla przyszłości. Chciwie ich słuchał a im wznioślejsze i wyższe, tém go bardziej nęciły.

Mrok coraz gęstszy poczynał się rozciągać i wieczór chłodnym od stawu powiewał wiatrem, gdy nareście nauczyciel któremu płaszcz nieposłuszny ciągle spadał z ramienia, postrzegł że późno już było i szybko zawrócił się niepoprzestając rozmowy.

— A kochasz że ty naturę? spytał z westchnieniem poglądając w blaski wieczorne na niebie i szarą usypiającą ziemię— a bijeż ci serce do codziennych piękności świata, które powszednich nie uderzają ludzi?

— A panie profesorze gorąco odparł Szarski— nie raz aż mi tego wstyd, aż się ze mnie śmieją?

— Niech-że się śmieją, to najlepszy znak! równie porywczco przerwał stary klepiąc Stasia po ramieniu, daj się im śmiać i wysmiewać, oni cię sami o tém



nie wiedząc, uczą cierpliwości której każdemu na świecie wiele, a w życiu pracy naszej ogromnie, ogromnie potrzeba! Z kogo się śmieją nie dla tego że głupi, ale dla tego że inny od tłumu lub widzi to wszędzie czego nie dopatrzą drudzy— ten ma przyszłość przed sobą.

Gdy to mówił, wychodzili już coraz śpieszniejszym krokiem z alei i zbliżali się do wielkiego gmachu szkolnego, w którego skrzydle professor skromne miał mieszkanie. Spójrzanie na te mury podobne trochę do czystego, białego więzienia, wyrwało westchnienie z piersi starego: pomyślał coś, zawahał się i obracając do Szarskiego, rzekł nieśmiało.

— Chodź no — zajdź do mnie, dam ci książek... jak przeczytasz, odniesiesz mi je, i weźmiesz inne. Nie opuszczaj nauki szkolnej dla czytania, ale ci czytać potrzeba, jeśli doprawdy myślisz pójść tą drogą.

— O! pragnę tego panie profesorze, ale, dodał nieśmiało uczeń— gdybym jeszcze mógł spytać, czy bardzo złe było ćwiczenie moje?

Ostatnie słowa wymówił spuszczać oczy i bardzo po cichu, a professor dobrodusznie się na nie uśmiechnął.

— *Gens irritabile vatum!* szepnął do siebie— już ciż nie było to złe bardzo kiedy mnie uderzyło, kiedy się zajął tobą— ale nie myśl znowu, żebyś w wiosnaie zobaczył niewprawném okiem, to czego przed

toją nie widzieli drudzy. Udało ci się schwytać kilka dźwięków szczęśliwych, kilka form dowodzących że masz przecucie piękności, ale myśl twoja nie wyleciała wyżej, bo jeszcze skrzydeł jój braknie.

— Skrzydeł Ikara może — odważył się szepnąć Szarski.

— Choćby takimi podlecieć warto, dziecko moje — lepiej to, niżeli pełzać po ziemi. Sąż inne dla ludzi? Szczęśliwy jeszcze kto się choć na chwilę zbliżył ku słońcu, a potem wpadł w morze.. w morze zapomnienia.. Zapomnienia! powtórzył nauczyciel niespokojnie — A tak! o wilku mowa zaprawdę, i ja bo się porządnie zapomniałem, a tu noc! Chodźmy prędkiej, chodźmy panie Stanisławie.

Stali już przed wielką budową gimnazjalną professor ruszył żywo, potknął się razy kilka dla krótkiego wzroku, płaszcz mu spadał z ramion nieustannie, nareście weszli przez dwa czy trzy wschodki wiodące do szczupłego mieszkania, które literat zajmował z żoną i dziećmi — w sien i do pokojów. Ciąśniutko tu było i duszno — i nie dziw że na widok izdebek w których dzieci płakały, jejmość się zakłopotana krzątała, a dwóch młodszych professorów rozprawiało na kanapie trochę się starając przypodobać pięknej pani przygotowującej herbatę — stary nauczyciel zasępił czoło. Wszedł bardzo po cichutku, nieśmiało, jakby oczekiwał niechybnej bury która

go spotkać miała, i przerwawszy zaledwo gderanie żony zastępującej mu drogę, słówkiem bojaźliwem i pokorném—wraz z uczniem onieśmielonym do reszty, na lewo drzwi do gabinecziku swego otworzył. Sam znalazł sobie świecę i siarniczkę, ognia powoli zrobił, a gdy pokoiak rozświecił się blaskiem łójówki, Szarski postrzegł biblioteczkę całą zastawioną półkami, zarzuconą papierami a tak zacieśnioną mnóstwem literackich gratów, że w niej z trudnością dwóm się było można obrócić. Professor milczący począł okiem i myślą chodzić po półkach od jednej do drugiej, szukać, wyciągać, mrużyć coś pod nosem—złożył wreszcie pakiecik spory i oddał go oczekującemu.

—Naści, na—to wybor dobry— a czytaj z uwagą, a ucz się smakować, nie połykaj po żarłocku. Myśl, kształć się, i niech cię Bóg dziecię moje błogosławi.

Wtém professorowa wpadła do izdebki, ciekawie poglądając na męża i ucznia.

—Gdzieżeś to ty był? spytała żywo— a tu dyrektor przysyłał po ciebie — i — —

—Zaraz, zaraz, rzekł zafrasowany stary— w ten moment moja duszko..

— I pieniędzy mi potrzeba—z wymówką poczęła żona. Szarski chwycił książki pokłonił się, ucałował rękę jejmości i znikł uciekając uszczęśliwiony, a pę-



dził do domu jakby mu już istotnie na barkach skrzydła wyrosły.

Tych kilka książek które niósł z sobą, a więcej jeszcze słowa poczciwego nauczyciela, wstrzęsły młodym umysłem i nieostróżnie może, ale nieodwołanie pchnęły go w drogę, z której już zejść nie mógł.

Począł marzyć, serce mu biło i przyszłość zarysowywała się przed nim tak jasno, tak wyraziście, jakby jedna chwila przybliżyła go ku niej latami całymi.

Zaledwie Szarski okazał się w ganku dworku, na którego baryerach siedzieli wszyscy uczniowie i sam nawet pan Jacenty na honorowém miejscu, bo przy ścianie, obskoczono go zapytaniami i wymówkami.

— Aha! a z nami na przechadzkę to nie łaska!

— Niby chory, a po nocy gdzieś lata!

— A gdzieżeś to waćpan bywał? zapytał naprężając się dozorca— chciałeś chodzić, juściż sądzę żeśmy warci, żebyś nie odbiegał towarzystwa naszego.

— Nie miałem wcale myśli iść gdziekolwiek, odpowiedział zdyszany Szarski, ale ledwieś pan odszedł, przybył tu professor... i zabrał mnie z sobą do ogrodu.

— Jakto? i do nocy z nim chodziliście? zapytał znów z niedowierzaniem i trochę zwykłej sobie za zdrości pan Jacenty.

— Wracam w téj chwili wprost od profesora,

który mi książki pożyczył— odparł z niejaką dumą Szarski— nigdzie więcej nogą nie byłem.

— To się okaże! to się okaże! rzekł dozorca— a teraz podobno czas na wieczerzę.

Ta przechadzka której zresztą byli świadkowie, poddanie ksiązek Szarskiemu, długa z nim rozmowa, zmieniły wprędce usposobienie współuczniów do szyderstwa— zazdrościli wszyscy potroszę Stasiowi, a pan dozorca ruszał tylko ramionami, niemogąc pojąć jak pan professor wybrał sobie takiego chłystka na konferencyą wieczorną; niemniej jednak i w jego oczach postawiło to lepiej poetę. Nieśmiano z niego tak bardzo żartować, widząc że nauczyciel zachęcał, poczęto się domyślać że to może nie ze wszystkiem jest śmieszném i dozorca choć w złym humorze u wieczerzy siedział, ale już bardzo poważny.

---

Dzień ten w życiu Szarskiego stanowił epokę i popchnął młodego chłopaka drogą ku przyszłości. Dziecię niemających rodziców, którzy radzi byli żeby potrafił na chleb sobie zapracować, zbił się ze ścieżki jaka mu wyznaczoną wcześniej przez nich była i całkiem oddał literaturze. Słęczenie jego nad książkami nie uderzało wszakże dopóki był w szkołach, bo uchodziło za pilność tylko z której się cieszą— zamiarem ojca było później oddać go do uni-

wersytetu i sposobić na lekarza. Szczęśliwie ukończywszy szkoły, Szarski powrócił do domu, pożegnawszy dworek ów gdzie mu świat się rozwidnił, ze świadectwem, z nagrodą, ale z niepokojem o jutro. Droga którą odbywał, wiodła go przez najpiękniejszy bór w całej może Litwie, dni były piękne, wspomnienie przeminionej i zamkniętej już części życia, poruszało piersią i czoło rozchmurzyć się musiało. Jednym okiem płakał po miasteczku które pożegnał, po towarzyszach z którymi niewiedział czy się spotka kiedy znowu, drugim uśmiechał się do większego świata, do żywszych źródeł nauki i do całej, ogromnej, niewyczerpanej swój przyszłości. Na każdym popasie i noclegu rodziły się myśli nowe, wiersze nowe i plany dzieł i olbrzymie przedsięwzięcia, choć w uszach brzmiały jeszcze pożegnalne słowa starego nauczyciela, który ze łzami w oczach prorokował mu — tylko cierniową drogę..

Biedny starzec! jakże nie miał zastraszać drugich, kiedy sam stérawszy życie, kończył je nieznany, zakopany w kącie, wśród doskwierającego niedostatku i ludzi co go nie rozumieli począwszy od własnej żony. Zdawało mu się, że każdy z wesolej młodości przejść później musi w znudzoną uliczkę życia, która w końcu nie wiezie do niczego, prócz rozbicia o mur głowy. To też żegnając Szarskiego, zamiast mu

dodać odwagi, sypnął przed nim opadłemi nadziejami swemi, jak wieszczbą dla niego.

— Musisz już widzę pójść tą drogą, rzekł ściskając młode dłonie — ale skończysz jak ja, kochane dziecię, niedobiwszy się ani współczucia, ani wianka, ani nawet spokojnego chleba kawałka. Widziałem cię tego dnia, gdyś raz pierwszy czytać miał swoje ćwiczenie o wiośnie, łzy ci się mało nie puściły z oczów takeś się uląkł zuchwalstwa swojego, w które cię gwałtowna potrzeba objawienia się na zewnątrz wtrąciła. Tacy ludzie jak ty nie zdobędą świata, ale kończą jak ja, jak wielu a bardzo wielu niestety — pośmiewiskiem będąc dla tłumu, a politowaniem dla swoich. Mniej talentu, mniej serca, mniej szczerości i wiary, a więcej ufności w siebie, udawania, komedyj i popisów — ot, czego potrzeba żeby zdobyć na świecie wyższe miejsca, które genjusz tylko koniecznością swojej natury i to nie rychło, a mierność zręcznością osiąga — od których najpotężniejsze talenta odpycha pierwszy szarlatan, co nosa zadrze i głośno prawić będzie sam nie wiedząc o czem, tam gdzie ty słowa wyrzec nie potrafisz — A! i ja kiedyś marzyłem wiele, schnąc nad udoskonaleniem siebie, by być szerszemu kołu społeczeństwa użytecznym — i ja jak ty, gorzej — o chlebie i wodzie, o głodzie i niedostatku biłem się w górę, i ja czułem w mej piersi natchnienie, ogień święty, miłość

ludzi, coś oznajmującego mi, że mnie Bóg powołał na wieszczą, na pracownika do winnicy swojej — i ja cierpiałem ufając zawsze w jutro aż do pierwszego włosa siwego, aż do pierwszej zmarszczki na czole i tego braku siły, tego zarodku odczarowania, które oznajmuje że słońce życia zeszło nam już z południa— i ja— a wkońcu, dodał z westchnieniem nauczyciel, widzisz co mnie spotkało — mała miścina istne *in pace*, w którym zamurowany pozostać muszę na wieki! Professorstwo nawet wyżebrać musiałem, i nie sobiem je winien lecz żonie; podrzędne stanowisko, zupełna nicość, a na dni starości mojej, niedostatek prawie z pełną skarbnicą tego wszystkiego, com miał zrobić a nie mógł, com był powinien a nie dopełnił. Śmieję się teraz patrząc na teki moje, w których śpią spowinięte jak mumje, i poemata z piastowskich czasów i dzieje Jagiellonów i glossarium dawniej mowy naszej i tysiące dzieł nasiona. Ta ręka, ani ta głowa już ich nie skończy, a zkad wziąć do nich materiału? Zajrzę do tych zaschłych kwiatków młodości, westchnę, łąz je odwilżę i idę, do klasy— na grammatykę, lub do pana dyrektora pokazać się, stanąć w kątku i nie przemówiwszy słowa zniknąć. Nie żałuję się na los ten, bo natura musi wiele wydać nierozwiniętych pączków nim piękny kwiat jeden urodzi; jest to jej prawem, a my drobne jednostki skarżyć się na to nie powinniśmy; ale patrz,



panie Stanisławie—całe moje szczęście w tém życiu ducha, pracy, nauki— a ja siedzę w kącie dokąd szmer jego nawet nie dochodzi, gdzie niema ani książki, ani ludzi, ani żywota mojego— gdzie trzeba z głodu umierać— O! takie ubóstwo jak moje, gdy z kilkorgiem dzieci, dla ich powszedniego chleba, sobie od ust śpieczonych chleb duszny odejmować trzeba—to straszna klęska, to wielkie cierpienie.

Mówił stary i łza kręciła mu się w oku, ale ją otarł szybko.

— Boję się żeby i z tobą tak nie było, i dla tego ci maluję czego nikt nie dojrzał dotąd, bo niema tyle litości na świecie, żeby po nim warto było nosić cierpienie— na tym wielkim targu miłości własnych, nikt go i za grosz nie kupi— Zresztą? czy to życie tak długie, czy to my tylko jedni cierpimy?

I rozśmiał się staruszek machając ręką. Poszli jeszcze na ostatnią rozmowę do pałacowego ogrodu, usiedli w wielkiej murowanej altanie nad stawem i żegnali się długo jak syn z ojcem, jak towarzysz z ukochanym towarzyszem; potem Staś siadł do bryczki i opuścił miasteczko, u wrót jego polecając się Aniołom Stróżom, których kościołek stał w bramach.

I jechał ku domowi, a czém był bliżej, tém niepokój opanowywał go większy— Co powie ojciec, co matka, na jego zamiary i sny przyszłości, komu się z nimi powierzy? Gdy trzeciego dnia, wśród pła-

skiej okolicy, wśród starych drzew ogrodu, ukazał się czarny dwór Krasnobrodzki i kopułki kaplicy— tchu mu zabrakło w piersi.

Ojciec Szarskiego, nie młody już człowiek, był po staroświecku surowym dla żony i dzieci. Sześcioro ich miał na głowie, sercem kłopotał się o nich, zwłaszcza że mu zdrowie nie służyło, a życia sobie nie obiecywał długiego; ale obchodził się z nimi wedle tradycyji domowych, z niczém nieułagodzoną ostrością, właściwą charakterowi. Litwin to był i zawzięty gospodarz, oszczędny do przesady, gdera jakich mało, w domu pan absolutny i niepojmujący choć sam niegdyś młodym być musiał, żeby kto nim być mógł z kolei. Żonę którą kochał, za pierwszą tylko uważał sługę i kierował nią jak sam chciał; ludzie się go obawiali acz znali sprawiedliwość jego, a dzieci drżały na sam widok żółtej twarzy i sumiastego wąsa pana sędziego.

O świat bardzo dbał mało, a żył tylko w gospodarstwie i zbieraniu grosza— było to celem jego życia, zabawą, — wszystkiém.

Dom też w Krasnobrodzie mało był uczęszczany, sąsiad chyba w potrzebie pieniędzy i to ze stemplovanym papierkiem za pazuchą a dobrą ewikcyą w kieszeni, zawitał do niego; żydzi nie kupowali tu aż do koła wszystko było zjedzione do ziarnka, a każdy uciekał od pana sędziego, bo życie i stosunki z nim



wcale nie były miłe. Szanowano go wszakże, bo pod tą skorupą szorstką było w nim wiele uczuć zasługujących na szacunek powszechny, które się czynem dopiero objawiały. Jako urzędnik, nie przyjął wprawdzie w miasteczku siedząc nikogo i łyżką nawet barszczu codziennego, z nikim się chlebem nie przełamał, ale też nie sprzedał sprawiedliwości, ani za pieniądze, ani za przyjaźń sąsiedzką, ani za uścisk ręki wielkiego pana. Nic nie robił dla oka, nic dla ludzi, nie ustępował z drogi nikomu, powiedział każdemu prawdę bez ogródki, a jeśli się w czém mylił co mu się często zdarzało, to osobliwszą mieszaniwą wyobrażeń się rządził, uporu też jego nikt przełamać nie mógł.

Obok niego, jako towarzyszka życia stała poczciwa żona, powolnego umysłu i charakteru, a tak nawykła do posłuszeństwa i ujarzmiona do pracy, że cieniem chodziła za mężem i była tylko wykonawcą biernym jego rozkazów. Serce nawet potrafił w niej zasuszyć i przytłumić pan sędzia, że się ani bić, ani odezwać bez pozwolenia jego nie śmiało—patrzała wprzód w oczy panu swemu, nim myśl, nim uczucie wyraziła, dla własnych dzieci nie śmiejąc być matką. I chłodu i pracowitości i skępstwa potrafił ją mąż nauczyć, wszelką w niej zabijając władzę, wolę i samoistność. Zastąpiło ją uwielbienie dla głowy domu, cześć jego rozumu, wiara nieograniczona

w jego najwyższą mądrość i poddanie się niewolnicze. Pan Szarski począł wespół z nią wychowanie dzieci wedle stariej metody, która naprzód dogadzała oszczędności Litwina, potem miała tę zasługę w oczach jego, że była tradycyjną, prawieczną. Obchodzono się z niemi ostro, surowo, zimno, nigdy im nie odstawiając serca, nigdy nie dogadzając w niczem, a nie myśląc, że te posłuszne lalki kiedyś w świat puszczone, przywykły opierać się na kimś zawsze, paść potem mogą bezsilne w śród drogi, gdy im zabraknie podpory.

Stanisław był najstarszym z rodzeństwa, i nierozwiniętemu jeszcze w czasie dzieciństwa swojego systematowi wychowania ojcowskiego, winien był trochę więcej swobody i niezupełne zabicie w nim własnego życia. Ale w miarę jak rósł, jak przychodzili na świat bracia i siostry, pomnażało się rodzeństwo i ojciec umacniał w powziętych ideach swoich, a matka słabła przed nim, coraz ciężiej jakoś poczęło mu być na świecie. Szczęściem przyszły szkoły, polecał trochę za dwór Krasnobrodzki i odetchnął, a choć ojciec surowość i dozorcę i nauczycielom zalecał względem dziecka, żadna wszakże niewoli domowej wyrównać nie mogła.

To też ile razy przyszło pod dach rodzinny powracać, z radością którą budziło przywiązanie ku niemu, mieszał się strach i niepokój nieopisany, bo

dnie spędzane u rodziców były dniami niewoli babilońskiej. Ojciec, zaledwie wstąpił na próg, obejmował na chwilę przelaną innym władzę swoją i miotał młodym chłopcem nielitościwie.

Dwie łzy puściły się z oczów Stanisława, gdy bryczka którą powoził fornał równie przestraszony jak panicz — bo mu w drodze koń zakulał — zastukotała na mostku ostatnim i wtoczyła się w dziedziniec.

Jeszcze chwila — a trzeba było stanąć przed straszonym sędzią — wózek się zastanowił, i nim Staś wyskoczył aby powitać ojca, matkę, braci i siostry, już oko sędziego z ławki na której siadywał dozierając z daleka gospodarstwa — dostrzegło kulawego konia i pan Szarski przybiegł cały rozogniony, z góry wpadając na fornala. Nie myślał już witać syna, który stał strwożony nie mogąc ani przybliżyć się do ojca, ani przed ojcem uścisnąć matki i rodzeństwa — ale pochwycił parobka za ramię i grzmiącym głosem zakrzyknął.

— Co to jest? Abramek kuleje? Abramek kuleje?

— Ja nie winien proszę JW pana — począł wyprostowując się fornał cały drżący z przestachu — *musi* się gdzieś podbił, bo nie był kuty, a ja już nogę opatrywałem — niema nic...

— Czyś ty go tylko gdzie na krętym zawrócie, albo prowadząc po swojemu do wody nie spleczył

łajdaku? zawołał sędzia—oj! będąż basy, będą basy, jeśli się to okaże!

To mówiąc ujął Szarski Abramka za pęcinę silną dłonią, popatrzał w kopyt który sam oczyścił, pokręcił głową i dopiero nakiwawszy fernalowi pod nosem, podał synowi rękę do pocałowania, ale bez najmniejszej oznaki czułości. Spójrzył na niego jakby szukał za co pogdérać zaraz, odebrał listy nauczycieli i świadectwa, począł je czytać, a chłopiec po cichu poszedł ucałować rękę matki drżącój i rzędem stojących siostr i braci.

Sędzia rozpatrywał się w papierach, niczém nieokazując w twarzy jakie na nim czyniły wrażenie, złożył je, obejrzał się, dostrzegł, że młodsi stoją w ganku i donośnie zawołał:

—No! do roboty! będzie czas ze Stanisławem się zobaczyć, teraz godzina lekcyi—godzina pracy—do swego!

Dzieci znikły natychmiast, została tylko matka, to na syna, to na męża spoglądając bojaźliwie.

—Kontent jestem z wasana, rzekł ojciec po małej pauzie do Stanisława, który pośpieszył drugi raz rękę jego ucałować, szkoły skończyłeś dobrze, pochwały ci oddają—dopełniłeś obowiązku. Dziękować ci za to nie będę, boś zrobił tylko to, coś był powinien—ja na was w pocie czoła pracuję, wy także



na swoją przyszłość zarabiać powinniście. Dziś, masz dnia resztę na odpoczynek i pogadankę z matką, a że młodemu czas drogi, ja się zaś nié mam kim wyręczyć — jutro do gospodarstwa.

Stanisław śmielszy był trochę, póki z niego swoboda szkolna nie wywietrzała, postanowił więc korzystając z dobrego usposobienia ojca i własnej śmiałości, na razie zrobić uwagę potrzebną, któraby później może przyjętą już być nie mogła.

— Rozkaz ojca dobrodzieja święty dla mnie — rzekł głosem trochę za nadto odważnym widać, bo sędzia brew namarszczył i głowę odwrócił zdziwiony — ale...

— Co? ale? jakie ale? zkąd to przyjechało to *ale*?

Zaczerwienił się Stanisław, ale dokończył.

— Jeżeli ojciec dobrodziej pozwoli mi dalej naukom się oddawać, czas wakacyjny zaledwie wystarczy na przygotowanie się do egzaminu...

Sędzia nigdy nie odstępywał swego, choćby nawet w głębi uznał że się omylił — zwłaszcza z dziećmi.

— Wasan myślisz mnie już uczyć? spytał — dla tego żeś szóstą klasę skończył? aja, kpie jakiś, piąty krzyżyk kończę, to trochę więcej niż szosta klasa! Znajdzie się czas na wszystko, byle bąków nie zbijać i do góry brzuchem nie leżeć; powyznaczam



godziny, a chcę żebyś waść się z gospodarstwem oswoił i mnie w nim pomagał.

— A teraz — dodał wskazując ręką — idź waść do oficyny — jest tam izdebka, z Falszewiczem stać będziesz razem, rozpakuj się i uporządkuj.

Takie było w domu przyjęcie poety; ale mimo surowości ojca, pozorniej obojętności matki, nieśmiałości rodzeństwa, niewygód mieszkania zajmowanego na wspólnie z bakalarzem młodszych braci, niejakim Falszewiczem, nieznośną kompaturą, mającą tę tylko zasługę, że była posłuszną i taną — Staś czuł się szczęśliwym w Krasnobrodzie.

On kochał to miejsce ciężkich prób, ale drogich dzieciństwa wspomnień, i powitał je niemal ze łzami; każdy kątek przypominał mu jaką chwilę przebytą, rzadko miłą, prawie zawsze straszną, ale skryształowaną już w głowie i sercu poety w ten brylant drogi, który się pamiątką nazywa. Pomimo że Stanisław był już dorosłym, i inni rówiesnicy jego, używali na świecie zupełnej swobody, on najmniejszej nie miał w domu. Nie mówię już że mu brakło najpierwszych wygod życia, bo na to się nie uskarżał i nie bolał, choć często wstyd było w przerobionem widocznie odzieniu ojcowskiem lub z wytartemi łokciami i dziurawemi bótami jechać do kościoła — ale do serca nie miał nikogo. Poczciwa matka słuchała wszystkiego prócz uskarżeń na ojca, na które milkła

4\*\*

jak ściana, zagryzała usta i dawała do zrozumienia zaraz, że nawet uszami uczestniczką ich być nie chce;—bracia byli tak młodzi, siostry tak dziecinne, a tak rzadko było się można z nimi spotkać sam na sam i poufale, że Stanisław żył zupełnie samotnie i w sobie. Falszewicz bakalarz z którym mieszkać był zmuszony, więcej mu ciążył niż osładzał tę pustynię. Był to jeden z tych głupców, którzy się wyuczyć mogą parę rzeczy i całe życie je powtarzać, ale sądu nie mają żadnego, i wloką się po drodze poziomej omackiém. Pomnażało to głupotę jego, że się napijał trochę, a sędziego tak się obawiał, iż drżał na samą myśl obrażenia go czémkolwiek i gotów był nawet donosić mu co gdzie zobaczył, byle choć trochę łaski u niego pozyskać.

Sądził się on o wiele lepszym od szóstoklasisty mającego dopiero iść do uniwersytetu, a przecucie mimowolne umysłowej Stanisława wyższości, czyniło go dlań zazdrosnym i niechętnym. Że zaś ojciec postawił go z nim razem, Falszewicz wziął sobie za obowiązek pilnować Stasia i dokuczać mu ile mógł. Nie było sposobu trzech słów z nim pomówić, bo prócz gramatyki i rudymentów elementarnych, które z książki, nie szcędząc linii jako środka wykładu, powtarzał—prócz plotek domowych i kilku piosnek ulubionych, głowę miał pustą jak stare pudło nadgniłe na strychu. Na samo spójrzanie na jego fa-

cyatę, całą oblaną czerwonością, a niekiedy aż granatową, spłaszczoną nakształt mordy mopsiej, z czołem niskim nad którym włos szczecinowaty do góry porastał, z ogromnemi odstającemi uszami i nosem gułkowatym — na postać ku ziemi pochyloną z nadzwyczaj długimi rękami, zwykle wiszącymi w dłuższych jeszcze kapoty rękawach bezwładnie — odpadała ochota zaczepić go nawet.

Pierwszy wieczor przeszedł jeszcze jakokolwiek, Falszewicz choć zamyślony i usiłujący udawać starszego i zwierchnika, był znośny; — nazajutrz zaraz ojciec postawił Stanisława przy młockach, wprowadzie z książką, ale mu ledwie parę razy dał wybiedz do domu. Tymczasem ciekawy a głupi ów nauczyciel, napadł na papiery studenta i począł je Nielitościwie wertować. Włosy powstały mu na głowie, gdy ogromny sekstern wierszy zobaczył i dowiedział się z nadpisu, że to były poezje pana Stanisława. Probował je czytać, a niezrozumiawszy nic prawie, rozgniewał się i rozpłomienił bardziej jeszcze, schował *corpus delicti* do kieszeni, stancyą na klucz zamknął, a sam co najprędzej poleciał z donosem do sędziego.

Sędzia wedle zwyczaju był na polu, ale to nie wstrzymało gorliwego delatora, który sadząc przez płoty i rowy, zdyszany cały poleciał do niego na poletek. Widząc go w tak niezwyczajnej porze gonia-

cego za sobą, pan Szarski domyślił się, że to nie było bez kozéry, powstał z półkopka na którym siedział i pośpieszył wyprostowany ku niemu.

Falszewicz tak był rozgniewany i zburzony swojem odkryciem, a rad, że tą przepotęzną gorliwością na kieliszek starki może zasłużyć, iż prawie mówić nie mógł; zdjął czapkę z daleka, starając się wysapać zawczasu.

— Czegoż to aż tu mnie wasan łapiesz? zapytał sędzia.

— Jest racya, proszę JWpana, odparł dobywając papierów z uśmiechem lisim Falszewicz, odkryła się śliczna rzecz! JWpan zna moje przywiązanie do swojej osoby — otoż — jak tylko pan Stanisław poszedł do stodoły, przez życzliwość, przez gorliwość chciałem zajrzeć do jego papierów co tam stoi — bo ja się to na tém znam! Ha! ha! choć z czwartej wyszedłem, ale i szóstoklasistę w kąć zapędzę. Kiedy ja do tych papierów proszę JWpana — a tu co? — ot co — pokazuje się, że pan Stanisław wiersze pisze!! podniósł głos i ogromnie oczy wytrzeszczył, dodając wagi swój rewelacyi.

— Słyszysz JWpan — wiersze pisze!

Począł przewracać schwytny sekstern i wpadając na miejsce założone wcześniej kawałkiem papieru od cukru, dodał cały drżąc z ukontentowania.

—Ale to nic jeszcze! — niech no JWpan patrzy! ot co! ot! *Do nieznannej kochanki!*

Sędzia pobladł, zadrżał, osłupiał, w milczeniu wziął papier w rękę chcąc się naocznie przekonać o zbrodni, spójrzył, zaciął wargi i widać było, że w nim wewnątrz się burzyło, ale rozum gniewu na wierzch nie puszczał.

—Dziękuję waćpanu, rzekł głosem zmienionym chowając papiery—powiedz waćpan mojej żonie, żeby ci dała kieliszek starki — Ze Stasiem ja się rozmówię...

Falszewicz z radości zatartł aż ręce i ukłonił się nisko.

—Już to proszę JWpana, że nikt pewnie gorliwiej mu nie służy.

—Wierzę waćpanu, wierzę, odwracając się odparł sędzia, ale ruszaj do młodszych, ze starszym ja sobie dam rady.

Staś ani się domyślał burzy jaka go czekała za powrotem wieczornym do domu; chmurna twarz ojca nic mu z razu nie zapowiadała, dopiero gdy przy powitaniu zamiast spytać o pańszczyznę i podać rękę do pocałowania, sędzia usunął ją i groźnie spójrzył mu w oczy—postrzegł nie wiedząc o co chodzi, że będzie miał ciężką chwilę do przebycia.

—A dobrze żeś przyszedł, odezwał się syczącym



głosem Szarski — mam tu ci coś powiedzieć — Słuchaj — co to jest??

I wskazał sekstern założony jeszcze sinym papierem na nieszczęsném westchnieniu do nieznajomój kochanki — potężnym i coraz groźniejszym powtarzając głosem: Co to jest? co to jest?

Stanisław pobladł, zadrżał, zmięszał się.

— To są ćwiczenia — odparł po cichu.

— Za takie ćwiczenia i nauczyciela i ucznia w istocie oćwiczyć warto — przerwał gwałtownie ojciec. Do czego waćpanu wiersze? do czego smarkaczowi kochanka? To o tēm wać myślałeś w szkołach!!.

Stanisław oczy spuścił i serce tak mu w piersi bić przestało jakby miał w miejscu umrzeć, ale nielitościwy ojciec, choć widział tę męczarnię, nie darował synowi ani jednego słowa wyrzutu, kłórego słuchali nadbiegająca matka, bracia i z zawęgła niepocziwy Falszewicz.

— To taka to wasza nauka! to u waści w głowie! ale ja rychło boćkowskim batogiem wypędzę te ideały. Jeśli mi wasan dwa wiersze jeszcze napiszesz, klnę się że za każdą syllabę, po dziesięć nahajów wyliczę, a znasz mnie waćpan, że darmo nie straszę! Teraz precz, do stancyi i ani mi się pokazuj na oczy.

Stanisław odszedł pół martwy, ledwie się wlokąc, dosunął do łóżka i upadł na nie tłumiąc łzy, których się wstydził. Sędzia wrócił do dworu, braciom i siostram zakazano widywać winowajcy, matka naturalnie ani się śmiała wstawić nawet za nim, a Falszewicz uśmiechając się sam do siebie, poszedł zaraz nasycać się upokorzeniem nienawistnego szóstkasisty.

Zapalił sobie fajeczkę bakónu, która po kieliszku starki najlepiej mu smakowała i począł śpiewając przechadzać się po ciasnej izdebce, humorem swym urągając cierpieniu młodego człowieka, na którego z bydlęcém szyderstwem poglądał.

---

Pomimo odosobnienia w jakim żyli państwo Szarscy, których rzadko sąsiad odwiedził i to nigdy bez interesu, niewielka liczba krewnych całkiem z niemi nie zerwała stosunków. Rodzina ta niegdyś w swoim kątku bardzo można i znacząca, miała w nim jeszcze związki familijne z przedniejszemi domami. A że sędzia jak na szlachetkę miał się dobrze i uczciwym był człowiekiem, nie wzdrygano się mimo jego dziwactwa i braku wychowania, uznawać za krewniaka, a nawet parę razy do roku być u niego z ceremonjalną wizytą. Od stryjecznych stryjeczny czy może dalszy jeszcze, pan Adam Szarski, zajmował

dość znakomite stanowisko między obywatelstwem okolicy. Był to człowiek bardzo bogaty, jedną tylko mający córkę, wychowany sam starannie, dom utrzymujący na wielką stopę, słowem do wyższego już niby należący świata.

W głębi nie był to zły człowiek, miał swoje dobrą stronę, ale wszystkie niemal przymioty jego psuła duma, żyłka do arystokracji, pragnienie połączenia z panami, ubieganie się o dobry ton i nazwisko magnata, słowem chętką zrzucenia z siebie skóry szlacheckiej. Majątek a nawet urodzenie dawały mu do tego niejakie prawa, ale Szarscy co niegdyś krewnili się z Puciatami, Sołohubami, Sapiehami i Radziwiłłami nawet, doznali losu wspólnego wielu innym rodzinom. Podupadłszy na fortunie przez nieopatrzność rozrzutność dwóch z kolei pokoleń, zmuszeni zostali blisko przez lat sto wegetować prawie zapomnieni i wyszedłszy z koła arystokracji, nie wiedzieli którymi drzwiami doń wrócić.

W ogólności, jak tylko przerwie się raz czémkolwiek tradycya państwa, jak tylko pokoleń kilka przywdzieje szaraczek szlachecki, a starać się przestanie o coraz świetniejsze związki, wnet i po wiekowych zasługach — nanowo się trzeba dorabiać przyjęcia do ściśniętego grona, w którym miejsca wszystkie zajęte, które raz wyszłych z trudnością nazad przypuszcza. Choć więc już dziad pana Adama Szarskie-

go dorobiwszy się na dzierżawach znacznego majątku, zostawił synowi prawie magnacką fortunę, choć syn jej jeszcze przyrobił, a wnuk pomnożył pracą i ożenieniem, choć pan Adam odebrał jak najstarsze wychowanie i po francuzku lepiej umiał jak po polsku, co jest już znamieniem i piętnem najarystokratyczniejszym, przyjmowano go wprawdzie wszędzie, ale czuć było można w grzeczności z jaką witano, że nie myślano dopuszczać go do poufałości zupełnej, ani z sobą postawić na równi. Napróżno silił się w przyjęcia, dawał bale, naśladował wszystkie najmodniejsze głupstwa i wmawiał sobie najdziksze nałogi kursujące po świecie, do którego tak pragnął należeć — próżno sprowadził kucharza cudzoziemca, wybudował pałac, sprawił liberyą i ustanowił w swym domu ceremonjał wcale nie wiejski a dosyć śmieszny — panowie na to wszystko jeszcze kręcili nosem. Jedli, pili, ściskali, winszowali, pożyczali pieniędzy, przyjaźnili się nawet, ale zawsze w obejściu ich znać było, że raczyli zstąpić do niego i wymagali wdzięczności za łaskę jaką mu zrobić raczyli.

Żona pana Adama, była już nawet córką tej kasty tak zazdrośnej, należała do niej krwią i duchem, a jednak mężowi indigenatu wyrobić nie mogła. Poszła ona za pana Adama z przywiązania i kochała go bardzo, to jest tyle, ile prawdziwa wielka pani kochać może, bo tu i miłość ma swoje oddzielne wa-



runki. Naprzód, powinna być przyzwoitą, to jest choć na pozor chłodną, powtóre musi być nie śmieszna, bo śmieszność za kryminał gorszy zbrodni się uważa, wreszcie nie powinna wymagać ani ofiar, ani poświęcenia zdrowia, ani najmniejszej przykrostki, i nie mówić o sobie, nie popisywać się z sobą, pokrywając nawet ile możności zalotnością swobodną, a niekiedy bardzo daleko posuniętą, dla odwrócenia uwagi. Pani Marya (tak ją zwano), kochała też męża bardzo, ale w sposób przyzwoity, tak, że niktby tego po niej nie poznał, gdyby powszechnie przyjętém i uznaném nie było, że jest heroiną przywiązania. Oboje zaś państwo Szarscy ubóstwiali, rozpadali się nad jedynaczką córką swoją, śliczném dziecięciem, a raczej miluchną już panienczką, bo Adelka choć w kapelusiku szwajcarskim i spodenkach chodziła, miała już podobno rok piętnasty.

Adelka... jak tu ją wam opisać? zdaje mi się że dla tak młodziuchnej istoty dość pasportowego rysopisu, bo wszystkie dziewczątka tego wieku są trochę do siebie podobne, z małemi wariantami— świat je dopiero potem przerabia na to czém być mają. Adelka miała oczy czarne prześliczne, z bardzo długimi rzęsami, twarz doskonałego owalu, włos bujny ciemno-orzechowy, była nadzwyczaj białą, rumianą, świeżą, bardzo swawolną i samowolną bo też niezmiernie pieszczoną, a w maleńkiej jej figurce



tylę się zawierało wdzięku, że tego drobnego cacka, nie zmieniliby rodzice na najdorodniejszą dziewę. Zdawało się, że Adelka nie wyrośnie już nawet z trochę niepokojącej małości, bo się zupełnie uformowała; ale taką miała szykowność, taki wdzięk ruchów, taką form doskonałość, że niemal strach brał, żeby się to nie popsuło jednym całem więcej podrastając.

Taki był skład domu krewnych państwa Szarskich, o których gdy kto nawiasem wspomniał w Krasnobrodzie, pan sędzia skłaniał głowę z szyderską trochę uniżonością, i szeptał podnosząc rękę do góry.

— Wielkie pany! wielkie pany! wysokie progi na szlacheckie nogi.. Jasnie Wielmożni państwo Szarscy...!

Jednakże sędzia szanował ten dom i nie zrywał z nim stosunków; na imieniny pana Adama i samęj pani jeździł wystrojony, przybyłych do siebie przyjmował nadzwyczaj grzecznie, a nawet pilnował gęby żeby im nic przykrego nie powiedzieć, o co u niego najtrudniej było, bo zadomowienie uczyniło go aż do zbytku prawdomównym. Kiedy niekiedy, pan Adam sam lub z żoną i córką przyjeżdżał do Krasnobrodu, zwykle po południu i spędzał u kuzynka godzinę jaką, wszystko u niego chwalać niezmiernie, choć w istocie nie było się nad czém unosić, zwłaszcza dla takiego jak pan Adam człowieka, przywy-

kłego do wytworniejszego rodzaju życia, do obyczajów innych i różnych nawet wcale warunków materialnej exystencji. Pani sędzina która nigdzie nie wyjeżdżała z domu, pomimo grzecznych zaprosin nie bywała u Adamowstwa, i w ciągu lat kilkunastu, parę razy tylko zebrawszy się na nowy czepek, jadła u nich wielkonocne święcone — nie miano jęj jednak tego za złe, bo wiadano jak mało zależała od siebie.

W parę dni po opisanych wypadkach, trafiło się, że przypadła doroczna wizyta pana Adama w Krasnymbrodzie, a że tam nikt prawie nie bywał prócz urzędników za interesami, jak tylko postrzeżono powóz zbliżający się drogą ku dworowi, wszystko co żyło, poznawszy konie i pojazd pana Adama, ruszyło się do niespodzianych przygotowywać odwiedzin. Żeby jakkolwiek przyjąć choćby nie tak wymyślnego nawet gościa, wiele w istocie brakło, bo w domu opuszczonym ani jednego porządnego pokoju nie było. Skoro wiadomość o gościu gruchnęła, wszyscy począwszy od samego pana sędziego, jęli się porządkować naprędcę. Z sieni musiano wynosić skóry i balejki, z pokoju gościunego motki i garnuszki, dzieci potrzeba było odziewać, samym się przebierać, zamiatać, kadzić, ścierać, ustawiać. A że sędzia się niecierpliwił, sędzina płakała, na dzieciach zaś krupięło się, słudzy potracili głowy, i gdy koczyk pana Adama zasta-

nowił się przed gankiem, spotkał wynoszących jeszcze stolik brudny w jedną, a naczki w drugą stronę.

Ale pan Adam gdy chciał, umiał nic nie widzieć, i powitawszy kuzyna w progu, odwrócił się zaraz ku drzewom których wzrost począł wychwalać, zazdroszcząc ich Krasnobrodowi, a tak długo unosił się nad nimi, póki drugą stroną domu reszty gratów nie powynoszono. Dopiero przeczuwszy, że już do pokoju wykadzonego różkiem wejść można, ruszył się gość ku niemu.

Tu już na powitanie jego gotowa czekała pani sędzina w prawie świeżym czepku i nowiuteńkim perkalowym szlafroczku, dwie starsze dziewczątka widocznie naprędce uczesane i jeden chłopczyk zapinający jeszcze skórzany pasek, który mu świeżo włożyć dozwolono. Dym bursztynu pomieszanego ze smołką i łupinkami jabłek, unosił się jeszcze w sinawych obłoczkach po izbie, trzymając się za ręce z pyłem podniesionym przez szybkie zamiatanie — ale pan Adam z uśmiechem wszedłszy, zdawał się na nic niemiłego nie uważać i choć się trochę krztusił, złożył to na męczący go już od tygodnia kaszel.

Sędzia swoim zwyczajem surowy i ponury, zasiadł rozmową bawić kuzyna, sędzina wyszła zaraz myśleć o ciężkiem zadaniu herbaty, do której nic prócz chleba i suchych czarnawczyckich obwarzanechków nie było, a dzieci obrawszy ostrożnie pozycyę

we drzwiach od drugiej izby, ztamtąd się paradnemu gościowi tchórzliwie przypatrywały. Z kolei przyszła mowa do konsolacyi, o której Szarski z obcemi mówiąc, zawsze z nadzwyczajną odzywał się czułością, a pan Adam upomniał się o Stanisława, który w tej chwili odkomenderowany był do stodoły.

—A! powinszować kuzynowi kochanemu, rzekł z uśmiechem—słyszałem że Staś powrócił skończywszy szkoły z wielką pochwałą; powiadano mi, że chłopiec bardzo zdatny, był słyszę jednym z pierwszych i wziął nagrodę. Ale gdzież to kochane dziecko, chciałbym się bliżej poznać ze Stasiem?

Pan Szarski mimo swój prawdomówność, nie śmiejąc się przyznać że szóstoklasista zastępuje gumienego, wytłómaczył polowaniem nieprzytomność Stanisława, a sam ruszywszy się zaraz wysłał Falszewicza żeby go zastąpił w stodole i przypędził do pokoju, zaleciwszy żeby się przyzwoicie ubrał.

W kilka chwil potem wszedł i Stanisław w nowym mundurze, gdyż choć klasy skończył, innego nad te odzienia nie miał. Pan Adam niezmiernie uprzejmie zbliżył się do niego i tysiącznemi obsypawszy pochwałami, rozpytując go o szkoły, o towarzyszków, nauczycieli i dalsze projekta, posadził przy sobie.

Położenie Stanisława było nadzwyczaj przykre; przytomność ojca paraliżowała go zupełnie, spójrznie jego odejmowało mu mowę; nie wiedział co po-

cząć z sobą. Ale kiedy kto pragnie brać co za dobrą monetę, wszystko mu wówczas dobre, i pan Adam najmniej znaczące pół słówko, z najlepszej sobie tłómaczył strony, odkrywając w niém zaraz coś bardzo dowcipnego i trafnego.

— Zapewne Staś pojedzie do Wilna, spytał pan Adam, bo szkoda żeby takie zdolności, zagrzebał na wsi, przy gospodarstwie..?

Ojciec odpowiedział za niego skinieniem głowy.

— Tak jest, panie dobrodzieju, choć to nam bardzo ciężko, ale musimy się ściągnąć żeby go do Wilna wyprowadzić.

— Na jakiż oddział?

— A na medycynę, rzekł sędzia — to co chleb daje najłatwiej.

Pan Adam zmięszał się, chodziło mu o imie Szarskich, którego żaden jeszcze medyk nie nosił.

— Piękna nauka, rzekł połykając ślinkę — ale czy tylko Staś ma do niej pociąg jaki?

Staś naturalnie oczy spuścił i słowa nie śmiał odpowiedzieć.

— Już to czy ma czy niema, odparł sędzia, musimy naprzód myśleć o powszednim chlebie, to grunt.

— Ale zdaje mi się kuzynie kochany, że go twoje dzieci i tak mieć będą.



— Sześcioro! sześcioro! poważnie odparł sędzia, ja nie długowieczny, niech się na gotowe nie spuszcza.

Na tém urwał się niemiły przedmiot, a widać było, że ta medycyna strasznie przykre choć nieokazane jawniej na panu Adamie uczyniła wrażenie.

— Wiele jeszcze czasu ma Staś przepędzić w domu?—zapytał po chwili.

— Kilka tygodni, nim się zbiorę na grosz, na odzienie, na wyprawienie go, bo to wszystko kosztuje, a czasy ciężkie, rzekł sędzia, i od gęby sobie odrywać potrzeba.

— Radbym się ze Stasiem bliżej poznać, przerwał pan Adam, pozwólże mu panie sędzio, na jaki tydzień do mnie przyjechać—zrobisz mi wielką łaskę.

Stasiowi aż serce uderzyło, ale prócz ukłonu na nic się nie zebrał, bo woli własnej nie miał. Sędzia widocznie się zmieszał—nie chciał odmówić, nie życzył sobie pozwolić. Potrzeba było dać koni, dać może kilka złotych na drogę, rachował i to, że nowy mundur codzień występować będzie i znacznie się przyszarza, nie chciał też od boku swego puszczać Stanisława, bo się obawiał towarzystwa które mu głowę zawrócić mogło—ale z tak grzecznym kuzynkiem nie było sposobu. Począł tak naglić, tak nacierać, tak może skutkiem rachuby jakiej napadać na sędziego, że ten wreszcie dał słowo, iż Stasia przyśle na tydzień do Mruczyniec.

Tą chwilą spodziewanego odetchnienia zabiło serce młodemu chłopcu, ale drogo ją okupić było potrzeba. Wiedział Stanisław że po odjeździe pana Adama, zniesie niewinnie burzę, wymówki i łajania, a nim go do Mruczyniec wyprawią, wymęczyć się będzie musiał kilkodniowém prześladowaniem. Najniespodzianiej jednak wszystko to go minęło.

— Ot wiész co, kochany sędzio, rzekł ściskając go za ręce pan Adam, który zdawał się uparcie stać przy swój myśli pochwycenia na czas jakiś Stanisława — daj mi Stasia zaraz, nie będziesz go potrzebował odsyłać, zabierze się w moment, a ja dłużej się nim pocieszę.

Sędzia widocznie się zafrasował, nie będąc pewien ani całości bótów, ani wyprania bielizny studenta, opierał się, wywijał, ale im silniej wykręcał, tém silniej nastawał pan Adam. W ostatku, po cichój naradzie z sędziwą w drugim pokoju, gdy się okazały i nowe przyszwyy i koszule białe, choć zły i zniecierpliwiony, na odjazd pozwolił.

Staś poleciał do oficyny robić tłumoczek, a w pół godziny później, po mozolnie odbytej herbacie, którą pan Adam przełknął jak miksę, byli już na drodze do Mruczyniec.

Tu całkiem inna atmosfera otoczyła młodego chłopaka, wśród której chociaż się czuł nie swój, bo mu nieśmiałość jego wrodzona i wyrobiona obejściem domowych ciężych i nie dozwalała pokazać się kim był w istocie — lżej daleko, swobodniej było Stasiowi. Gdyby nie ciągłe upokorzenia na jakie go narażała nieznajomość świata, i nieżnośni pańscy słudzy, byłby prawie szczęśliwy. Miał tu książki, czas do dumania, wolności trochę i spokoju których dotąd nie zaznał. Pan Adam przytém, ona sama i Adelka nawet niezmiernie byli grzeczni, uprzejmi i uprzedzający dla Stasia.

Po kilku jednak dniach oswoił się ze wszystkiém ze wszystkiemi i odetchnął. Nie pierwszy to już raz przybywał do Mruczyniec, dokąd go prawie co wakacyi i świąt na dni kilka zabierał pan Adam—znajomość jego z Adelką była stara, i podobno nawet ów wiersz do nieznajomój kochanki, wspomnieniem czarnych jój oczek był natchniony.

To dziecię pieszczone, strojne, miluchne nie mogło być Stanisławowi obojętne—była to pierwsza kobieta do której się poufalej zbliżał, pierwszy ideał jaki mu zabłysnął na ziemi. Bawili się z nią dniami całemi i dziewczęcę przecuciem już, poczynają zalotnie się uśmiechać do kuzynka, którego uwielbienie i miłość dla siebie instynktem poznało. Państwo Adamowie albo tego nie widzieli, lub nie myśleli zważać na

to, co słusznie za niewinne uważali dzieciństwo. Towarzyszka zwykła Adeli, francuzka panna Susse, w tych platonicznych miłostkach dwojga wyrostków, miała sobie zabawkę, śmiała się z nich i ledwie im nie pomagała. Poczęło się to od wejrzeń, od słówek, od zrywanych razem kwiatków, od przepisanej piosneczki i ciągnęło wesoło dalej a dalej z dnia na dzień.

Tymczasem korzystając z pory, pan Adam zbliżał się także do Stasia, usiłując wybadać, a że go ta projektowana medycyna dusiła, próbował czy nie znajdzie w chłopcu wątku jakiego do opozycyi woli ojcowskiej. Chciał nawet, jak się zdawało, wziąć na siebie ciężar przerabiania sędziego, gdyby się powód znalazł do tego.

Dostarczyła go poezja—Staś nadto był młody, zbyt otwarty, żeby się z czém ukryć potrafił; drugiego więc dnia zapał z jakim się rzucił do książek, rozmowa, półsłówka, odkryły w nim poetę.

—A cóż to będzie z medycyną?—zapytał pan Adam.

Stanisław westchnął tylko głęboko.

—Nie godzi się zdaje mi się, rzekł poważnie kuzyn,—zagrzebywać daru Bożego marnie, powinieneś ojca prosić żeby cię pokierował drogą właściwszą— a ja — ja bym ci w tém u ojca mógł dopomóc.

Na samą myśl sprzeciwienia się ojcu, Stanisław zadrżał, pobladł i stanął jak wryty.

—A! panie! zawołał, to być nigdy nie może — ojciec co raz postanowił, od tego nigdy nie odstąpi. Zmiłuj się pan, nie mów mu nawet o tém, nie darowałby mi nigdy samej myśli. Pan Adam pokręcił tylko głową.

—Ale wiesz-że do czego to prowadzi? zapytał — nie będziesz ani poetą i pisarzem dobrym, ani lekarzem wziętym — chybisz swoje powołanie i zmarnujesz życie.

—Cóż na to poradzić! rzekł ośmielony Stanisław, będę w dzień pracował dla chleba, a w nocy dla serca i duszy.

Łzy zakręciły mu się w oku i więcej nie mówili już o tém, a pan Adam żywo tylko ramionami ruszył zniecierpliwiony, ale przy każdej okoliczności nie omieszkiwał przypominać, jak ważną jest rzeczą ażeby życiem kierować wedle przyrodzonych zdolności, ku powołaniu jakiegoś ciągnących. Znajdowały się i przykłady wypaczonych doli ludzkich, przez nieposłuszeństwo głosowi wewnętrznemu.

Wszystkiego tego słuchał Staś pilnie, i coraz głębiej położeniem swoim się biedził, nie widząc na nie ratunku.

Jak sen przechodziły dnie pobytu w Mruczyńcach, chłopak drżał na myśl powrotu z téj atmosfery dostatku, swobody, grzeczności, do Krasnobrodzkiej oficyny, stodoły, Falszewicza i utrapień domowych—



ale odpychając groźby zatruwające mu szczęście chwilowe, sercem całym Ignął do otaczającego świata.

A! drogie to były chwile — komuż ich kilka na brzegu życia nie błysło? Przeznaczone na pamiątki, snuły się złociste, idealne, przebierając natychmiast w widma niepochwycone... Dzień wczorajszy po nocy marzeń już wyglądał jak poemat, ranek widziany wieczorem już był pieśnią zachwycającą, a młoda dusza z siłą sobie właściwą, każdą chwilę wnet stroiła w szaty nieśmiertelne, mieszcząc ją w najdroższym serca kątku. Wszystko tu jak w heroicznym wiekach było epoką, a najdrobniejszy wypadek, słowo, ruch — olbrzymie przybierały rozmiary. Wielka jest władza serca w tej chwili pierwszych uczuć i wrażeń: tworzy ona z niczego nawet; cóż gdy cudny Opatrzność da jej wątek? Naówczas serce śpiewa epos życia, której, gdy ją przerwie rzeczywistość kamienna, nigdy potem dokończyć, nigdy powtórzyć nie potrafi.

Stas się całkiem zapominał na tém miękkim posłaniu marzeń: budził się z gorączką, zasypiał rozogniony, liczył z przestachem chwile zbliżające go do odjazdu, z niesmakiem i wstrętem myśl jego zatrzymywała się na Krasnobrodzie, usiłował o nim zapomnieć i pod różnemi pozorami odkładał powrót, który im bardziej się przeciągał, tém istotnie był groźniejszy.

Tymczasem dnie bieżyły czarownie, wśród nieustannych wypadków, niedostrzeżonych oczom cudzym, a dla dwojga tych istot ważnych jak największe w świecie wstrząśnienia. Jednego dnia Adelka była smutna, nadąsana i godzin kilka nic nie mówiła do Stanisława — Staś przeżył cały wiek rozpaczy; to znówu młody chłopak oniesmielony słowem odsunął się od niej i nazajutrz wróciła mu wszystkie jego pamiątki — a wieczorem zbliżyli się do siebie i poprzysięgli wiekuiste przywiązanie. Data dnia tego, godzina wieczora, fizyognomija nieba i ziemi, wryły się głęboko w pamięci obojga, — bo chwila ta była pierwszą krótkiego ich życia uroczystością. Nie mogli zamienić pierścioaków, bo ich nie mieli, ale zastąpiły je dwie gałązki niezapominajek zerwane w ogrodzie — które prędko, o! prędko! uwiędły na ich sercach i zeschły na piersi gorącej. Po tym wieczorze pamiętnym, który Stanisława uniósł do siódmego nieba i wylał się z niego cudną ogniem pieśnią erotyczną — kochankowie uważając się za niezłomnym ślubem związanych, uspokoili się nieco, a Staś nawet przestał się tak bardzo obawiać powrotu do domu, pragnąc cierpieć dla niej i wyzywając nawet boleści, by niemi dowiódł swą miłość.

Dni następnych, ostatnich, których każda minuta policzona była, żyli tylko z sobą i w sobie, oboje tworząc przyszłość i po swojemu rozwiązując wiel-

kie trudności, jak węzły gordyjskie, mieczem młodości i zapału! Adela ofiarowała się paść do nóg rodziców i wybłagać u nich pozwolenia. Stanisław miał z uszanowaniem ale z niepohamowaną mocą charakteru, powiedzieć wszystko ojcu i nie dać się złamać, ani groźbą, ani postrachem, ani najwymyślniejszą męczarnią.

Dla czegoż te sny i uczucia młodości tak piękne, uroczyste, tak poetycznemi odziane barwami, tak są nietrwałe i kruche? dla czego dojrzały człowiek chowając je w duszy, śmieje się z nich sam i urąga im, nie umiejąc poszanować świętej niewinności wyobrażeń pierwszej doby? Kiedyż w nas więcej jest uczucia, szlachetności zapału, miłości, poświęcenia i wiary we wszystko wielkie i piękne? wart że rozum i chłód późniejszy tych uniesień tak śmiesznych a tak wielkich swoją prostotą?

Niestety! jest to tylko chwila w życiu — tylko chwila, której przeczeniem cała reszta dni zastygłych, znudzonych i obrachowanych; szalonym tylko, co mieli szczęście postradać przytomność w tej epoce, przeciąga się ona po za zwykłe granice. A z pod siwego włosa, jak się to dziwnie wydaje ten rozkwit bujny, niepojęty, śmieszny a nieodżałowany! i któżby to nie dał skarbów lat późniejszych za zwrót jednej godziny z tych dni uroczych, za jedno takie serca uderzenie, za jeden taki polot w niebiosy. Ale

nic nie powraca! nie się nie powtarza! a czas żelazną ręką wiedzie nas na górę, na szczyt tysy z którego strąca — w wieczność.

Nareszcie nadszedł i smutny, uroczysty wieczór pożegnania, wieczór ostatni. Sędzia niedoczekawszy się syna, zniecierpliwiony przystał po niego bryczkę i kazał fornałowi powiedzieć, żeby się stawił nazajutrz raniuteńko do Krasnobrodu. Stasiowi rozdarło się serce, ale posłusznym być musiał.

Szczęściem wieczór był cudny, a panna Susse lubiła bardzo przechadzki, wywiodła więc Adelę której towarzyszył naturalnie Stanisław, i ledwie się oddalili od domu, dwoje młodych znikli jej z oczów, biegnąc naprzód, by swobodnie pomówić z sobą. Oboje tży mieli w oczach i chwyciwszy się za ręce, stali w milczeniu pod lipami, nie mogąc przemówić słowa.

— A! mój Boże, zawołał nareszcie Stanisław, to wieczór ostatni. Kto wie na jak długo, na jakie wieki rozdzielić się musimy!

— Ale przyjedziesz do nas, nim te strony opuścisz? spytała wzruszona Adela.

— Nie wiem, nie wiem! zależę od ojca! a czy pozwoli?

— Ja się o to nie pytam! ja chcę! ja każę... ja się gniewać będę!

— Wykradnę się a przyjadę!



— Tak! o! tak, musimy się widzieć! pamiętaj! milczeli znowu, ale patrzali na siebie.

— I chowaj niezapominajkę! dodała Adela.

— Możesz-że wątpić? godziż się mnie posądzać?

— Pojedziesz do miasta, nowi ludzie, nowe twarze cię otoczą, wy zapominacie tak łatwo!

— O! a wy? Adelko!

— My, kochamy raz i na zawsze!

— Raz i na zawsze! powtórzył Stanisław— teraz, ja ci powiem, pamiętaj, pamiętaj! te słowa.

I znowu poszli spuściwszy główki smętnie, aż do końca ogrodu, podali sobie ręce, ścisnęli dłonie, a gdy panna Susse nadeszła, mrok tylko nie dozwoił jej dójrzeć błyszczących łez, które się w ich oczach kręciły.

Nazajutrz do dnia jeszcze, wszyscy spali w Mru-  
czyńcach, gdy Stanisław odjeżdżał do domu, zwrócił się ku oknom mieszkania Adelki i w jednym z nich zobaczył zdaleka białą twarzyczkę i białą chustkę, która go żegnała..

Ręką przycisnął do serca zeschłą już niezapominajkę, fornał zaciął konie i wielkie topole dziedzińca zakryły mu szczęście jego na zawsze.

Pożądliwém okiem napróżno Staś upatrywał miasta, za każdém rozstąpieniem się czarnych lasów,



które je osłaniały przed niecierpliwym młodzieńcem. Włokąc się drogą piaszczystą powoli, posyłał wejście przed siebie i spotykał tylko drzewa, tylko piaski i coraz gęściej po nad gościńcem porozstawiane karczemki. Myśl jego to wyprzedzała konie, to się zwracała ku domowi i Mruczyńcom; trudno mu było przeszłość pogodzić z przyszłością, a gwałtem chciał je z sobą pobratać. W pośrodku każdego z marseń młodzieńczych stawał surowy ojciec i twardą ręką odtrącał go z obranej ścieżki. Ostatnich kilka tygodni goryczą napełniły serce jego, i przeżył je w prześladowaniu za poezję, w służbie nieznośnej, w upokorzeniach wszelkiego rodzaju, a gdy nadszedł odjazd do Wilna, ojciec mu zapowiedział stanowczo, że jeśli sobie z głowy nie wybije literatury, piosnek i wszelkich głupstw tego rodzaju, wyprze się go i do domu nie przyjmie. Musiał się więc zapisać na medycynę — obiecując wszakże pracować we dwoje i literaturę choć ukradkiem uprawiać. Z bardzo szczupłym wyprawionym fundusikiem, a mnóstwem przepisów i zaleceń oszczędności, Stanisław ani przeczuwał z wielą mu przyjdzie walczyć trudnościami, w życiu które rozpoczynał.

Od czegoż to niewyczerpane zapasy odwagi i zapału, któremi piersi człowieka napełnia młodość? Możnaż z niemi zwątpić, zawahać się i upaść jak padają starzy?

Wszystko więc, nawet trudne zagadnienia przyszłości, powoli w głowie Stanisława poczęły przybierać barwy wiosenne i przedzierzgać się w nadzieje—wyglądał tylko miasta by je powitać krzyżem świętym, modlitwą i pokłonem.

Wtém nad samą piaszczystą drogą ukazała się z lewój strony stojąca karczemka, przed którą stało parę bryczek i buda żydowska, a że słabe konięta chłopskie któremi Staś jechał, już tak były zmęczone że się ledwie wlokły, furman się zatrzymać musiał.

Był to widocznie jeden z tych domów szynkowych, które zapowiadają miasto, postawiony bez nadziei by doń kto na dłużej zajechał, a więc bez obszernych stajen, i udający daleko coś lepszego niżeli był w istocie. Nad dolném mieszkaniem, w piasku zarytém, udajacém sutereny, a galeryjką okrażoném, wznoił się ganeczek z wykwintnemi słupkami i wejściem po wschodkach. W oknach izdebki gościnnój widać było zawieszzone przed kilką zapewne laty firanki i dwie doniczki geranium i karolinki.

Gospościa całkiem już po miejsku przybrana, i nie bez wdzięku, częstowała właśnie w téj chwili z kwadratowej flaszki furmanów, uśmiechając się i szczenioczając, a drugie dziewczę młodsze od niej stało na galeryi, mizdrząc się może z nałogu, bo nie było do kogo. Zresztą karczemka ta która zwykle bywała stacją furmanów co konie w piaskach zamęczyli, a

zwabiła ich tannością wódki pieprzem tureckim podprawianej — stanowiła także kres dla odprowadzających przyjaciół, co się bez kilkakrotnych uścisków rozstać nie mogli. W jej jedynej a dość lichiej izdebce, której całą ozdobą był tapczan, ławy, podarta firanka i nędzna kwiatków zapomnianych zieloność, nieraz śpiano przywiezionego z miasta szampa, nieraz też odbywały się nocne bulki, na które w mieście miejsca zabrakło.

Smutne to było jak każda pod miastem gospoda, woniejąca pijaństwem, będąca zwykle przytułkiem najostatniejszej wygnanej z grodu hałastry — odrapane ściany, spłowiały szyld (*armes parlantes*, bo wyobrażał butel i kieliszek), poobrywana miejscami galeryjka i powyłukane okna nie dodawały jej wdzięku, a kilka chudych sosen, ani ją ocieniały, ani zdobiły. Do koła były tylko piaski i łyse wzgórza. Ale mimo smutku jakim wiało od gospody, trzeba się było zatrzymać dla koni. Staś spójrzył zniecierpliwiony do koła.

Wtém, o cudo! na galeryi spostrzegł jednego naprzód, potem dwóch, trzech, czterech towarzyszków szkolnych, jak on widać jadących do Wilna.

— A! szanowny Piwonija! zakrzyknęli chórem — witaj nam poeto wiosny! witaj i chodź do nas.. a nie, to cię tu za uszy pociągniemy.

Stęskniony za młodem towarzystwem, Staś jednym susem z bryczki poskoczył do nich, i znalazł się w uściskach najpoufalszych swoich rowieśników.

— A! chwałaż Bogu żeśmy cię spotkali, zawołał Paweł Szczerba, przyjaciel od serca Stanisława, wjedziemy już razem do tego przekłętego czy zakłętego Wilna, do którego suniemy się, suniemy i dosunąć nie możemy.

— A naprzód, przerwał Bolesław Mszyński, który był łakomy jak dzieciak— zbierzmy resztkę naszych zapasów podróżnych i nim konie wytchną, urznijmy sobie piknik na prędcie! Ja do składki ofiaruję niedogryzek wędzonej kiełbasy!

— Żarłoczysko, rzekł Paweł ruszając ramionami, żebyś ty choć na chwilę o brzuchu zapomniał!

— Chodźmy do stancyi! dodał Michał Żryłto, poczciwy litwin— tam się i nagadamy i obmyślim..

— Chodźmy! chodźmy! potwierdził ostatni pan Korczak już pod wąsem, słuszny i więcej od nich wszystkich na męczyznę wyglądający współkolega.

Zabierali się do pokoiku, kiedy ktoś szósty jeszcze, ze drzwi od szynkowni się pokazał. Był to widocznie jak oni młody uczeń, tylko ze szkół innych i nieznajomy im wcale, do Wilna do uniwersytetu dążący, ale nie wiadomo z kim i jak tu przyjechał, a buty miał jakoś bardzo spylone.

Młodzi chłopcy spojrzeli na niego, on na nich.



Nieznajomy w dosyć wytartej surducinie mundurowej, z której był ogromnie wyrósł, w wykrzywionych butach i połatanych spodniach, w czapeczce, której sukno z granatowego na sine prawie spłowiało,— pomimo niepozornej odzieży, miał minę tak dumną, pewną siebie, odważną i spokojną, tak z góry na nich poglądał, że ich wszystkich potęgą swego wzroku uderzył. A jednak iskra geniuszu nie świeciła na nizkiem jego czole, ani w rysach pospolitych przebijał się talent potężny, którym twarz tchnie i goreje; silna tylko wola, uparta jakaś duma, mówiła przez zamknięte jego usta i pogardliwe niemal spójrzenie.

Z przyszłym kolegą jakże się tak minąć na sucho, nie spytawszy, nie powitawszy się nawet; szóstoklasiści nadto znali swe obowiązki akademików, by go nie zaczepiając potrafić tylko w sieni i obojętnie odejść.

Paweł Szczerba i Michał Żryłło pierwsi się stawili do przywitania, gdy nieznajomy wcale go od nich nawet nie oczekując, nie uchyliwszy czapki, dość dumnie ich sam zaczepił.

— Panowie koledzy, rzekł podnosząc głowę— pewnie jak ja do Wilna dążycie? a nie podwieźliście mnie czasem?

— Z całego serca! odezwał się pierwszy Stanisław ja mam miejsce na bryczce.



— A jakżeś się tu dostał? spytał Szczerba.

— O! jak! ciekawiście, odparł uśmiechając się niemal zwycięzko nieznajomy — to dość długa historia; koniec końcem zem się aż tu oparł — a że mi się tego kawałka drogi piechoto już iść nie chce, i do miasta tak wnijsć samemu nie miło — przysiądę się do którego z was!

I nieproszony wszedł razem z niemi do stancyjki rozsiadając się pierwszy na ławie.

To wmieszanie się nowego towarzysza, trochę oziębilo przywitanie i rozmowę młodych ludzi, ale w ich wieku znajomość prędko się wiąże, a w pół godziny już byli jak dziesięcioletni przyjaciele.

Nieznajomy rozparłszy się na ławie z miną zawsze zuchwałą i wyższością którą przybrał od razu, począł im rozpowiadać swoje dzieje, a nie tylko że się im nie zdawał chcieć pokryć ubóstwa które mu towarzyszyło w pielgrzymce przez ogromny kraju kawał, ale się niemi wynosił i chlubił jak hydrą zwyciężoną.

— Idę, rzekł, aż z Podola, chociaż prawdę rzekłszy i jechałem trochę, ale i o kiju dobrą część drogi odbyłem.. Uśmiechnął się — Dziś już została mi tylko trzygroszówka w kieszeni i pierściołek, ostatni klejnot szlacheckiego domu, którego sprzedaż ma mnie utrzymać przez kilka pierwszych w Wilnie miesięcy. Doprawdy rokoszną i poetyczną odby-

łem drogę i nie żałuję niczego, chyba ostatnich butów podartych. . . To mówiąc podniósł nogę i pokazał ledwie trzymające się resztki podeszew, przez które wycierały palce.

— Ale nim sprzedasz pierścionek, nim znajdziesz znajomych i porobisz przyjaciół, jakże sobie dasz rady? spytał go Michał.

— Ho! ho! nie turbuj się o mnie! śmiejąc się zawołał młody awanturnik którego Bazylewiczem nazywać będziemy — naprzód oto znajomych już mam; powtóre tak jestem pewien że sobie radę dać muszę i na wierzch wypłynę, iż o tem ani myślę!

Młodzię z uwielbieniem spójrzała na kolegę, on na nich z wyższością i niemal politowaniem, a uczuciem swęj siły.

— No! zawołał — dawajcie tam jeść jeśli co macie w torbach, ja wam apetyt mój ofiaruję do składki. . . Któs tu wspomniał o kiełbasie, ja się zgadzam i na nią, hom głodny szalenie!

Wesoło rozpoczęła się ta uczta improwizowana, którą składała szkaradna herbata miejscowa, owa kiełbasa po śledztwie w bardzo maleńkim zjawiająca się kawałeczku, bułki, ser, masło i jaja. Wszystko to młodym, zgłodniałym, gadającym i niemającym czasu smakować, wydało się doskonałe, a Bazylewicz jadł za czterech i przyznać mu potrzeba, że bez najmniejszej ceremonii z przed nosa wszystkim

zmiałał bez wyboru — co mu się tylko nawinęło, — co na placu to nieprzyjaciel!

Rozpoczęła się rozmowa gwarna, urywana, ochocza.

— A ty Stanisławie, spytał Szczerba, na co myślisz chodzić? czemu się oddajesz!

— Medycynie! cicho i smutnie westchnął Szarski — a ty?

— Ale bo i ja na medycynę ruszam, zawołał Szczerba — więc witaj kolego — Bardzom temu rad że na jednej siądziemy ławie, ale nie pojmuję co to się stało: byłeś najpierwszym uczniem z literatury i języków, pisałeś wiersze i mowy lepiej od nas wszystkich, a podobno i od profesora... i myślisz chodzić na medycynę!

— Taka jest wola moich rodziców, odpowiedział Stanisław.

Bazylewicz porwał się z ławy, z zapalem zbyt przesadzonym żeby miał być całkiem naturalny i trochę dla efektu nie podrobiony.

— Co ja słyszę! zakrzyknął — Cześć i poszanowanie rodzicom! — ale godziż się ich słuchać gdzie chodzi o losy żywota i o wykształcenie na jedyniej drodze, którą nam ojciec-Stwórca wyznaczył! Bóg wiał w pierś twoję poezyę, byś był serc lekarzem, nie żebyś ją zamorzył w sobie na usługę lada kpa który

niestrawności dostanie— Wyższa jest missya poety i świętokradztwem jest ją poświęcać tak lekko!

— Tam do kata! szepnął Michał, jadł dobrze, ale peroruje jeszcze lepiej.. nabrał siły..

— Jam ubogi! odparł Staś czerwieniąc się cały.

— Jam podobno uboższy od ciebie, przerwał po-  
pędliwie gestykulując Bazylewicz — tyś przyjechał  
wozem, ja tu się przywlokłem o kiju, jak żebrak—  
ty masz grosz w kieszeni, ja tak jak nic! ty masz  
rodziców co się z tobą chlebem dzielą, ja do mo-  
ich odezwać się nie mogę bez grzechu, a jak mnie  
widzisz, ja przecie— ja! nie idę na tę waszą medy-  
cynę chlebobajną, na którą by mi pójść było łatwo  
z moją pamięcią i zdatnością, ale na literaturę do  
której powołuje mnie rozkaz Boży.

Zarozumiałość Bazylewicza byłaby śmieszna, gdy-  
by heroiczną prawie swą szczerotą się nie stała, ale  
w niej coś trąciło komedią i chęcią popisu, i to  
niszczyło wrażenie jakie mógł zrobić na rowieśnikach.  
Dziwili mu się, ale pokochać nie mogli. On spójrzył  
na nich z góry i zamilkł.

— No— a ty panie Bolesławie? zapytał przerywa-  
jąc potok wymowy Szczerba — z czémże jedziesz  
do Wilna..

— Idę na prawo!

— Cha! cha! byle idąc na prawo w lewo nie zba-  
czać, mieszając się gwałtem do rozmowy przerwał



Bazylewicz — i to chleba kawał, często lepszy od innych.

— Juściż pozwól że i nauka! zawołał trochę obrażony Bolesław.

— Nauki prawa nie rozumiem, odezwał się wciąż zajadając zarozumiąły przybylec — całe prawo Bóg zapisał w piersi ludzkiej, a historia prawa jest zeznaniem ludzkich grzechów i błędów. Niewarto się tego uczyć.

— No, a ty Michalonie? rzekł odwracając się Bolesław jakby nie słyszał perory, bo nie chciał się kłócić, a Bazylewicz go niecierpliwił srodze.

— Ja, dalibóg wam powiem, że sam nie wiem co ze mną będzie — odparł śmiejąc się Żryłto; rodziców nie mam którzyby mną pokierowali, opiekun daje mi zupełną swobodę wyboru, szczególniej skłonności nie czuję do niczego. Ot — rozpatrzę się, — powącham, a nie wiem jeszcze co mi do serca przypadnie.

— I pójdziesz za sercem! wydekłamował Bazylewicz — co chwałę i *dank* daję postanowieniu.

— *Ago gratias!* rzekł kłaniając się nisko Michał.

— No, kolój spowiedzi na Korczaka, przerwał Bolesław wesoło, a ty co myślisz najszanowniejszy z drągów?

— Patrz! zaśmiał się wyrostły i pod wąsem Korczak, przyjmując przeżwisko bez gniewu, aż do uniwersytetu mnie tym drągiem prowadzić będziecie.



Cóżem ja winien żem was przerósł i mam minę kapitana od dragonów?— A wiecie że mam być przecie księdzem, i że wszyscy wiele was jest, trochę poczekawszy w rękę mnie całować musicie!

— Cha! cha! rozśmieli się chórem koledzy. Korczak proboszczem, kanonikiem, a może biskupem! dalibóg to nie do wiary— on co jeszcze w płątej klasie rozpoczął tak śliczny romans z towarzyszeniem gitary...

— Tak, i wcześniej od drugich go począwszy, prędkiej od innych go skończył— smutnie odpowiedział zagadniony— bądź co bądź, czeka mnie suknia księża i na łysinie korona..

— A zatém jest nas tu— policzył Paweł Szerba— dwóch doktorów, ksiądz, literat, prawnik i— decydujże się Żryłto, a prędko, żebym wiedział jak cię zadeterminować.

— Ciągnijmy na węzełki, zawołał Bolesław wyjmując chustkę— niech los rozstrzygaczem będzie.

— A dobrze! może mi to wybor ułatwi, śmiejąc się rzekł Żryłto— będę się już trzymał rozkazów Jaśnie Wielmożnego losu.

— Na! masz! ciągnij i niech się twój los razem z tym węzłem gordyjskim rozwiąże! poważnie odezwał się Bolesław— cztery rogi każdy oznaczony inaczej, reprezentują teologję, medycynę, prawo i literaturę... o filozofii mowy niema, bo pamiętam żeś

zawsze podpowiadania potrzebował, gdy przyszło dziewięć razy dziewięć.

Żryłło zbliżył się, zastanowił, postać i węzeł pościągął szparko, ciekawie się w nim rozpatrując.

— No! a cóż to znaczy! zapytał.

— Postrzyżyny! i ty masz być księdzem! zaśmiał się Bolesław.

— Zapewne! rzekł Żryłło, co z tego to nic nie będzie.

— O dzieci! dzieci! przerwał ze swęj ławy Bazylewicz — szczęśliwiście że z losem tak sobie żartować możecie..

— I z losem i z losu! okręcając się na pięcie powtórzył Żryłło — ksiądz nie ksiądz — proponuję dalszą drogę, bo robi się ciemno, do Wilna po piasku jeszcze kawał, a bardzo wątpię żeby na nasz wjazd illuminowano miasto — zatem manatki na plecy i do budy!

To mówiąc wysypała się młodzież śpiewająca i wrzawliwa na ganek, ze stukotem pozbiegali na dół, a że Bazylewicza nie bardzo kto miał ochotę zabierać, Stanisław wsadził go na swoją bryczkę i tak pojechali dalej.

W końcu prawie ulicy Trockiej, za kościołem księży Franciszkanów, był dom niepoczesny, nakształt zajezdnej gospody, utrzymywany przez pewnego spe-

kulanta nazwiskiem Horyłkę, człowieka który najmował mieszkania dniowo, tygodniowo, miesięcznie, rocznie, miał przytém rodzaj lichój garkuchni a nawet kawiarenki dla oszczędnych podróżnych. Nie wiele mogąc rachować na zamożniejszą klasę, lubił szczególnie pan Horyłka najmować swe stancyjki, pojedynczo i po dwie na różne termina, ubogim akademikom. Dom jego przedewszystkiém odznaczał się brudem i tannością swoją — gospodarz który się napijał i z żoną nieustannie darł koty, z największą sztuką trzymał się przy swój antreprzyzie, co chwila grożąc upadkiem, i nie tracąc ducha podbijanego gorzałką szedł dalej chwytając się to tego, to owego, a wciąż rachując więcej na cuda i na księżąt niemieckich, niż na zwykły, naturalny bieg rzeczy. Horyłka wcale już był nie młody; mówiono, że niegdyś służywał dworsko, że był kędyś kuchmistrem nawet, a dorobiwszy się trochę grosza włożył go w dom zajezdny. Ale że na wstępie na nowe gospodarstwo ożenił się z ładną dziewczynką o wiele od jego tysiny młodszą, a może gorszą od niego, jakoś im ręką nie poszło. Bóg wie tam co się w jego domu działo, małżeństwo było bardzo nie zgodne, oboje chwyтали z niewielkiego fundusiku, jejmość już parę razy porzucała jegomości, jegomość czasem się porywał do cybucha, z roku na rok szło gorzej, jednak choć na włosku, Horyłka kamienicy się trzymał.

Winien był dość grosza w rzeźni, u piekarza, po sklepikach, i właścicielowi kamienicy, zapożyczał się u przyjaciół, pieniądź niewystarczający na wszystko topniał w jego rękach, ale się to jakoś wlekło i wlekło z dnia na dzień. Coraz mniej nauczywszy się rachować na nieświadomych miejscowości książąt niemieckich, których jakoś widać nie było, i na bogatych podróżnych o których marzył tylko, choć ci na Trocką ulicę do tak niepozornego domu nie zajeżdżali chyba wypadkiem; zwrócił się powoli ze spekulacją na studentów, porozdzielał dom na małe stancyjki, podejmował się wiktować, opierać i utrzymywać przybyłych akademików i już poczynał rachować, że w końcu roku powinny mu się wrócić z lichwą kilkoletnie jego straty.

Ruchliwy to był człowiek, krzykliwy niezmiernie, cały Boży dzień latał z kluczami po domu, sługi pędzał, porządek robił, ale go nikt jakoś nie słuchał, wszystko szło opak, a Horyłka w dodatku choćby go najpilniejsza pędziła potrzeba, wśród najgwałtowniejszego pośpiechu, byle gawędka się trafiła, zatrzymywał się godzinami nie mogąc gęby powściągnąć.

Pił po troszę wódkę od rana, a cokolwiek zalawsz głowę taką czuł potrzebę wywnętrzania się, że pierwszemu kogo spotkał opowiadał całe swe życie, plany, spekulacje, nieszczęścia, odkrywając głębie za-



krwawionego serca. Nadewszystko lubił się szeroko rozwodzić nad małżeńskim swém pozyciem i doznaniem niepowodzeniem w tym stanie, o czém więcej mówił niżby należało, narażając się na uśmiech, nieumiejąc nawet łzami wyżebrać litości, tak był starowina pocieszny.

Żony jego już znowu nie było w domu, bo gdzieś od niego powędrowała, a Horyłka sam na barkach dźwigał cały ciężar domu. Wspomagali go w tém gruba Magda, szafarka, najbliższa powiernica i przyjaciółka, i Hersz faktor gospody, prawa ręka, zastępca, *alter ego* gospodarza.

Hersz nadewszystko mu był potrzebny, choć jak pijawka go wysysał, ale bez niego kroku nie stąpił Horyłka. Któżby zajechał do brudnego domku na Trockiej ulicy, gdyby usłużny żydek nie stał we wrotach jak żywy szyld gospody i nie uganiał się łapiąc przejeżdżających, których mu fizyognomija wskazywała jako kandydatów dla domu.

Gdy nadeszła pora zjazdu akademików, Hersz i Horyłka nie mieli chwili spoczynku, nieustannie czatując na przybywających, a faktor nie dość że zachwalał i zapraszał, ale z gorliwości często chwycił za konie, czepiał się bryczek, i durzył młodzież złote jej obiecując góry.

Horyłka także ze swój strony nie próżnował, wy-



skakując nie raz o ile mu powaga jego dozwalała, aż do środka bruku i nęcąc młodzież facyatą domu, która na ten cel sama tylko odnowioną została.

Dom na tę chwilę roku, dla niego stanowczą, przybrał był sukienkę schludną od strony ulicy, pomalowano nawet okiennice i część dziedzińca widoczniejszą wysypano żółtym piaskiem, galeryjka wreszcie u wchodu do traktyeru i billardu olejno się zielonym kolorem okryła. Trzeba go było słyszeć, nieoszacowanego gadułę gospodarza, gdy w zapale rozpowiadał podróżnym, o wygodzie i osobliwszych korzyściach, swego hotelu.

— Panie dobrodzieju! panie dobrodzieju! co to za ulica! pierwsza ulica w mieście, wstawiona męczeństwem Franciszkanów! mój dom pierwszy na całej ulicy, tego nikt zaprzeczyć nie może! wygodniejszego niema na całym świecie! Cichy, ciepły, czysty—porządek jak w klasztorze, bezpieczeństwo największe.. od centrum niedaleko—kościół starożytny pod bokiem! Kuchnia u mnie jaką się ani Malinowski ani Nowiszewski nie pochwała! szlachecka, zdrowa, a nawet wykwintna, co dzień naleśniki z powidłami! Wszelkie wygody!—proszę tylko spojrzeć, żebrzę o bezstronny rzut oka! Dla uczących się niema jak to mieszkanie nieco na ustroni! Zimową porą jak w uchu, korytarze zamcyste, bezpieczeństwo! bezpieczeństwo! rzecz największa w mieście pełném oszu-

stów i złodziei— za które *chonorem* ręczę; można w korytarzu worek złota położyć!

Niewiele jednak jakoś zabiegi Hersza i wymowa samego pana Horyłki pomagały; akademicy jechali tłumami, a izdebki dotąd stały jeszcze niezajęte; gospodarz nieszczęście swoje poczynął przypisywać intrygom współzawodników, a że zwykł był początek wszystkich swych niepowodzeń składać na żonę, i tu już jój manewrów się domyślał.

— Słyszysz Hersz, szeptał do faktora pod wieczór; to nic innego tylko intrygi tej niegodziwój! to jój ręka, jój robota! Ja się na tém znam, ona to robi wszystko, szyje mi bóty.

Żyd ruszał ramionami w milczeniu.

— Ale już ty mi nie gadaj— ciągnął dalej Horyłko ruch ten biorąc za przeczenie— jój to robota jak Boga mego kocham... intryga czarna! dom mój osławia i odstręcza od niego— tegoby nie było żeby mnie los zawistny z tą kobietą nie związał..

Już byli oba z Herszem trochę nosy pospuszczali na kwintę, gdy im Pan Bóg zesał całą furę naszych akademików w ręce. A że to byli piérwszoroczni studenci, po większej części ubodzy chłopcy i nie miasta nieznający, zdało im się, że ich sam Pan Bóg do tego szczęśliwego doprowadził portu. Zaprosiwszy ich tymczasowo tylko na noc, Horyłka i Hersz tak

podurzyli młodych chłopaków, że wszyscy się u nich na próbę ulokowali miesięcznie.

Stancyjka, którą zajął Staś przyjmując do niej Bazylewicza, co się już ani myślał z nim rozstawać—była dosyć ciasna, w miarę ciemna a wedle wszelkiego podobieństwa i zimną być obiecywała; ale Horytko (od czego głowa?) wszystkie jej wady, umiał dzieciakom niedoświadczoneg wytlómaczyć na przymioty. Zbyteczny blask, według niego, dla oczu pracujących był szkodliwy, obszerność nie mogłaby się pogodzić z ciepłem, a szpary i dziury miały tylko odświeżać powietrze. Upatrywał nawet wielką korzyść w tém, że okno wychodziło na kawał brudnego dziedzińca, bo nikt szpiegować nie mógł co się działo wewnątrz, a żaden widok zewnętrzny i wrzawa uliczna nie miały im robić dystrakcyi.

Stanisławowi wszędzie było dobrze, choć Bazylewicz wparł mu się na kwaterę, zamącił spokój i natychmiast ustanawiając z mocy koleżeństwa zupełną wspólność własności której sam nie miał—cudzą począł swobodnie i zamaszysto rozporządzać. Jakże było biednego, biedniejszego od siebie wypędzić na ulicę, i odmówić mu przytułku dla dogodzenia fantazyi?? Reszta towarzyszków w tymże domu w dwóch obszerniejszych rozłożyła się izbach, a to sąsiedztwo wszystkim im wielce było na rękę, bo się wspólnie ratować i wspierać mogli. Pierwsze dni były jak

zawsze pełne zajęć i zachwytu. Staś jakby się obawiał żeby mu wszystko nie pouciekało, obejrzeć chciał razem całe Wilno, pamiątki jego, okolice i osobliwości. Polecieli drapać się na górę Zamkową, do sterczących zwalisk górnego zamku, do katedry, na grób nieznany Witolda, na Bekieszówkę, po nad Wilią do gruzów pałacu Barbary, do Ostrój-Bramy — obiegali kościoły, zachwycali się uroczemi widokami tego grodu, którego każda piędź ziemi, przesiąkła tysiącem pamiątek. Głowa się paliła poecie na samą myśl, że depcze pobojuwisko, przez które przeszło tyle wieków, bohaterów, ludów, zapału i poświęceń. Nie było chwili czasu żeby odetchnąć, bo z jednej strony wpisy, rozpoczynające się prelekcyę, z drugiej porywające życie akademickie, tysiączne pokusy i roztargnienia ogarniały ich, chwytając myśl, serce i przytomność, wprawiając w rodzaj rokosznej gorączki. Któż z nas nie pamięta tego szалу dni pierwszych i rozmarzenia w jakim poczynął żywot akademicki, będący nieustannem pasmem zachwyków? Zetknięcie się tylu młodości z sobą, jak skupienie w jedno ściśnięte ognisko promieni słonecznych, musiało wyrodzić stan całkiem nowy i niezwyčajny w innych życia warunkach. Z drugiej strony nic nie przeważało, nie poskramiało go, bo nauczyciele nawet i co się tylko z tym młodym ludem stykało, porwane wirem niepohamowanym, zamiast



go uśmierzać, pędem jego schwycone leciało na głębiny. Każdy jednak charakter, każda osobistość odrębna, występowała tu jak w wielkiej chemicznej mieszaninie różnorodne ciała, wedle natury swój zastosunkowując się z drugimi. Stanisław, żyjąc głębią swęj duszy, w sobie cały, dał się pochwyć i pociągnąć tłumowi, owładnąc towarzystwem i na wstępie stracił wolę, której rozwinąć nigdy nie miał sposobności, a użyć nie umiał dotąd. Bazylewicz przeciwnie szedł z głową w górę zadartą, postugując się wszystkimi, jak gdyby wszyscy byli dla niego stworzeni, i przebojem drogę sobie torował zwycięzko. Szczerba znowu, praktyczniejszy od innych, przybrał ton i powagę mistrza względem młodszych, zdrową radą sobie i drugim postugując. Niewiele mówił, chwili czasu nie zmarnował, czując ważność każdéj godziny i każdego najmniej znaczącego kroku.

Bolesław Mszyński zajadał się tymczasem, nawet od pierwszego dnia występu stołowego pana Horyłki, nie mogąc z kuchnią jego pogodzić i dosztukowując łakociami, których miał zawsze pełne kieszenie. Co do ważniejszych spraw życia zdał się na Szczerbę, a póki grosza stawało, używał. Michał Żryłło zawiązał natychmiast mnóstwo przyjaźni, stosunków, znajomości i rozpoczynał swój zawód akademicki, najserdeczniejszém koleżeństwem. Korczak wreszcie zamyślając o stanie duchownym i starając o umie-



szczenie w Seminarium, smętnie poglądał na nęcący świat, którego wyrzec się musiał.

Bazylewicz dniem i nocą nie przestawał namawiać Stanisława, aby szedł raczej za sercem niż za wolą rodziców, a posłuszeństwo ojcu, czynił w oczach jego prawie występkiem przeciw Bogu. Nie śmiał jednak Szarski pójść za radą jego i wpisać się na oddział literacki, który go tak nęcił; rozpoczął medycynę mimo szyderstw podolaka, spoglądając tylko ze smutnym podziwem na odważnego kolegę, co się sam o swęj sile, rzucał w świat z taką wiarą w przyszłość i powodzenie.

Z tydzień blisko chodził Bazylewicz po mieście nikogo w niem znajomego nie mając, żeby gdzieś sprzedać swój pierścionek i mieć grosz na pierwsze życia potrzeby, a tymczasem brał u Stanisława co chciał i bez zastanowienia posługiwał się jego mieniem i kieszenią. Nareszcie po wielu trudnościach, pierścionek kupił Fiorentini, a Bazylewicz sprawiwszy nowy mundur, ufny w to że musi znaleźć zajęcie i zarobek gdy się wyczerpie zapasik, wyniósł się od Stanisława, utrzymując, że dom Horyłki był nieznośną dziurą, w której żyć było niepodobna.

Ale kilka tygodni z nim przebytych, widok aż do przesady posuniętej odwagi i silniejszej woli nieuznającej nad sobą żadnego prawa któreby nią kierowało — głębokie na nim uczynił wrażenie. Stanisław

z razu zawahał się co miał począć dalej, i czując jak mu nauka medycyny i atmosfera tego wydziału nie przypadła do smaku, począł zamyślać coraz częściej o przesadzeniu się na oddział literacki. Szczerba który patrzył na ten duszny bój w młodym chłopcu, nic nie mówił dopóki sądził, że się skończy poddaniem rozkazowi rodziców, ale wreszcie zastraszony rozdrażnieniem towarzysza, wszedł jednego wieczora do Stasia z zamiarem szczerego rozmówienia się z nim o tém. Zastał go nad dramatami Szekspira w tłumaczeniu niemieckim, obok sekstern anatomii rzucony rozpaczliwie na ziemię — rozgorączkowanego, z płonąca piersią, głową i zażawionemi oczyma.

— Słuchaj! powitał go w progu Stanisław, to nad siły moje — od jutra porzucam medycynę i poczynam literaturę — dziej się wola Boża!

— A ojciec co na to powie? spytał zimno Szczerba.

— Albo mi przebaczy, albo mnie wypędzi! rzekł Staś.

— Jeśli cię wypędzi, co rychlej być może, myśl jak sobie dasz radę zawczasu! — zawołał przyjaciel.

— Nie widzisz że tylu innych, którzy bez niczyjej opieki idą nie obawiając się o siebie? a Bazylewicz?

— Nie mierz się z nim, zawołał Szczerba, nie podobałbyś tak wielkiemu zadaniu; na to mieć potrzeba jego zarozumiałość, ufność w siebie, pogardę ludzi,

i więcej niż ty charakteru. Tam gdzie się on śmieje, tybyś płakał, a kto zapłacze, ten stawkę przegrał.

— Cóż robić?

— Iść dalej póki można, i nie oglądać się po bokach.

— Iść mówisz, iść! wstając zawołał Stanisław — iść przeciwko skłonności, przeciw prądowi i wodzie, bez zapału i ochoty, dla chleba tylko! Cóż ze mnie będzie? Chybię powołanie jedno, nie wydołam drugiemu, ku któremu wstręt czuję — stracę życie..

— Pisz do rodziców, rzekł Szczerba, jeśli na to pozwolą, nic nie mam przeciwko temu, ale wiedząc o niebezpieczeństwie, znając ojca, narazić się na to, czemu także nie podołasz, czego ramiona twoje nie dźwigną, uważ czy bezpiecznie?

To mówiąc i widząc smutek i niepewność w jakiej Stanisław trwał od dni kilku, wziął go Szczerba i wyprowadził na miasto. Chciał go rozerwać widokiem ulicy i ruchu których z okna izdebki nigdy nie był świadkiem lokator pana Horyłki, i powiódł z sobą ku murom akademickim. Rozmawiając o rzeczach obojętnych zbliżyli się ku owej kawiarni Julki na-przeciw dzwonnicy, umieszczonej na dole w dwóch ciasnych izdebkach, której głównymi gośćmi byli zawsze akademicy. Niewolno im było wprawdzie znajdować się w tego rodzaju miejscach publicznych, ale umyślnie dla młodzieży usłużna gosposia, która secinami szklaek kawy czy cykoryi codziennie karmi-

ła zgłodniałych, miała parę izdebek osobnych, we własnym ich przyjmując mieszkaniu. Kawiarnia oficjalna stała pustką, ale do kątką tego docisnąć się było trudno. Na kufrach, kanapie, łóżku nawet i kilku połamanych krzesłach, w kominie niekiedy zasiadali weseli chłopcy, nad kubkiem fajansowym kawy z ogromną bułką i napełniając dymem szczupłe ciupki, gwarzyli wesoło. Iluż to się tu na całe życie trwałych zawiązywało przyjaźni, ile wysnuło projektów które los, okoliczności i wytrwałość ziściły— ile wykwitło nadziei mających jutro zwiędnąć na zawsze, zabitych wiekiem trumny!

A jak zaraźliwe wesele tryskało z tych młodych piersi, nieprzerwaną płynąc z nich pieśnią życia, i porywając wirem swym co tylko musnęło na drodze! Jak tam było dobrze, raźnie, wygodnie, miło— choć często stojąc na jednej nodze piło się tę kawę zastygłą z suchą bułką, z przyskwarzoną śmietanką, na którą się godzinę czekało, nim z kolei doszła aspiranta! Ta kawa zdrowa i posilna, bo podobno cykoryi więcej w niej było niż czego, dla wielu zastępowała obiad niedostateczny, odegrzewaną wieczrę i zużyte pracą krzepiła siły; gdy towarzysząca jej rozmowa, wesołość i wrzawa były też dla duszy pokarmem.

Staś jeszcze się nie był nigdy odważył zająć do akademickiej kawiarni, do której go pierwszy raz wciągnął i zaprosił Szczerba.



— Ja funduję, rzekł z uśmiechem używając zwykłego wyrazu — chodź, zobaczysz ludzi, rozerwiesz się, a szklanka kawy ci nie zaszkodzi bo Horyłka nas nie bardzo wyśmienicie karmi. Zmógł się nieboraczysko na pierwszy obiad i pierwszą wieczerzę z chrustem na smalcu; nie wiem do czego dalej dójdziemy, ale się obawiam, żebyśmy na ćwikle i musztardzie zamiast sztukamięsy, nie jechali do końca roku.

Weszli tedy przez niskie drzwiczki do sklepionój izdebki i zastali nadspodziewany tłum gości. Bazylewicz najlepsze między niemi w pośrodku zabrawszy krzesło, głośno i krzykliwie perorował, na kufrze ujrzeni Bolesława ze szklanką pożywającego nie wiem drugą czy trzecią porcyę, z rozjaśnioną twarzą; do koła siedzieli, stali, zwijali się znajomi i nieznajomi.

W małej próżni naprzeciw Bazylewicza, osobliwsza figura zajmowała stosunkowo wielką dla siebie przestrzeń, a z nacisku po kątach miarkować było można że się dla niej rozstąpili akademicy. Bohaterem tym, zwracającym uwagę wszystkich, był człowiek już nie młody, zwiędłój i bladój twarzy, w dziurawych i wykrzywionych butach, w spodenkach letnich jeszcze choć już dobry jesienny chłodek dokucał, w granatowym fraku z krótkim stanem a długimi połami— który z dziwną miną pół obłąkanego, na wpół napiętego, z ruchem teatralnym deklamował



cós, a jak się zdało tańcem nawet sobie do mimiki i wyrażenia uczuć swoich pomagał, bo nogę jedną miał podniesioną gdy weszli nowi spektatorowie.

Był to ów sławny Krysztalewicz, którego dzieciątki i berlinki akademickie żywiły, trochę może w istocie na umyśle obłąkany, zawsze prawie pijany i na zawołanie poeta. Miał on pełne kieszenie wierszy swoją ręką przepisanych, które ofiarował za kilka groszy, obowiązując się prócz tego dla szcudrobliwszych mecenasów, poezye swe deklamować, wyśpiewywać i wytańcowywać.

Nie wiem jakim sercem młodzież śmiać się mogła z upodlonego, spadłego w żebractwo i głupotę człowieka, ale to pewno, że Krysztalewicz winien był zajęciu jakie obudzał, grosz który go karmił. Mniej śmieszny, możeby jeść i pić za co nie miał. U każdego wyłudził śmiechem grosik jaki, szklankę kawy posilnej, lub kieliszek wódki lepiej mu smakującej jeszcze.

W chwili gdy wchodzili skończył się właśnie mimodram Krysztalewicza i rozpoczynało, na wezwanie publiczności, opowiadanie ciekawych przygod życia poety, o których w formie autobiografii już był cały foliant zapisał nieszczęśliwy manjak. Sny jego, cierpienia, niedostatki, trybulacye autorskie, historye dziurawych jego butów i kłótnie z gospodyniami, pomieszane razem, składały osobliwszą całość, popląta-

na, poprzerewaną wierszydłami, wyśpiewaną w tonie elegjacko-patetycznym, na której mdłym tle rzadko coś dobitniej i w wyrazistszych zajaśniało obrysach. Krysztalewicz bowiem miał szczególny talent wskakiwania z przedmiotu na przedmiot, jak Tatarzy w biegu przesiadają się z konia na konia, tak że gdy wracał do pierwszego założenia, już śladu jego w pamięci słuchaczy nie pozostawało. Były tam najpociesniejsze drobnostki, przez powiększające szkło egoizmu widziane ze strony tragicznej, i opisy łatania podartego fraka i pielgrzymki z rękopismami do księgarni Zawadzkiego i wystawianie dobroczynności pana Strumillo i poemat nędzy i diwagacye pijaństwa. Mieścił się tu i ów sławny epigram poety, w którym z właściwym sobie talentem związał razem pochwałę swego dobroczyńcy z ostrym przycinaniem nielitościwemu bibliopoli.

Strumillo — aż miło.

A Zawadzkiego, jakby nie było.

O! i tysiące innych rzeczy, w nienaśladowany sposób splełanych nakształt kłębka różnofarbnych nici, z którym by się młody kotek pobawił.

Przybyli, stanawszy przy drzwiach, bo dalej posunąć się nie było podobna, wysłuchali część pamiętników Krysztalewicza, a Staś przerażone oczy wlepił w tę postać obłąkaną, służącą za urągowisko kolegom.

— Na Boga, rzekł do Szczerby, to jakiś nieszczęśliwy— obłąkany człowiek!

— To tylko poeta! odparł Paweł z uśmiechem, poeta który także może marzył w dniach młodości o szczytach Parnasu i wieńcach z rąk siostr dziewięciu, — który pił i upił się z Kastalskiego źródła, a dziś chodzi z dziurawemi łokciami, w koszlawych butach i żyje jałmużną, płacąc za nią swoim szaleństwem.

Stanisław uczuł w sercu boleść przeszywającą, oko jego spoczęło na nieszczęśliwym, ale w tej twarzy której wyraz stał nałóg, zniszczonej, strupiałej, nie było nic już coby nawet litość wzbudzić mogło— spodenie tylko wywoływało ją może.

Bazylewicz który w tej chwili ujrzał stojących u drzwi Stanisława i Pawła, wnet po swojemu rzadzić się począł robiąc miejsce znajomym i wołając dla nich głośno o kawę.

On tu już był jak domowy i Fruzia, pierwszy garson, Natałka najładniejsza z dziewcząt, a nawet sama gospoia ukrywająca się w drugiej ciupce przed natarczywą młodzieżą i niekiedy tylko ukazująca się w ważnych okolicznościach dla zrobienia porządku lub załatwienia sporu— znały go i poważały.

Michał Żryłto dowodził także gromadą, ale na inny sposób: Bazylewicz bowiem uzurpował władzę nie pytając jak się to komu zda i chwytając za

berło przemocą, a Michał wpływ swój cały winien był miłości towarzyszków.

— Jak ci się to zda? począł Bazylewicz obracając się do Stasia—alboż nie wysmienity nasz Krysztalewicz!

— Ja w nim widzę bolesne dla mnie urągawisko, strach jakiś porywa mnie gdy nań patrzę. Jest-że to koniec do którego wiedzie literatura i poezya?—szał, pijaństwo, nędza i pośmiewisko!

— O ba! odparł niewzruszony Bazylewicz, wszystkiemi drogami dojść do tego można; któż mu winien że nie miał ani talentu ani siły? Po co było puszczać się trudnym gościńcem po którym zdążając za drugimi zadychać się musiał, rozbić głowę i poranić słabe nogi? Każda walka ma ofiary swoje, każda gałąź kwitnąca pączki które zjada robactwo i niszczy zgnilizna. Cóż mi tam, że jeden ciemiega śpił się, oszalał, butów nie ma i mrze głodem?

— A! ty nie masz serca! zawołał Stanisław oburzony, któremu łzy dobywały się z oczów.

— Mam, szydząc odparł Bazylewicz — ale go na błazeństwa nie szafuję i chowam całe na to, co go warto!

— Pamiętaj tylko, odrzekł Staś, że gdy go później dobrać zechcesz, możesz je znaleźć zeschłe, zwiędłe i bez życia.



— A! w takim razie, niezmiészany rzekł student— albo go odżywię wołą potężną, lub.. lub się bez niego obejdę.

— Krysztalewicz wytańcuj nam swoją Ode do Gollizny — przerwały obce głosy; oto są goście nowi, nowe dziesiąteczki, może berlinki— kto wie! pokaż co umiesz!

I powtarzali jak na uczonego pudła wołając— pokaż co umiesz! pokaż co umiesz!

Jakkolwiek dobrze już podpity i dość bogaty by o nowe nie dbać laury i zdobycze, poeta, posłuszny woli ogółu, obrócił się do Pawła i Stasia, i płatającym się językiem począł ich witać niewyraźnie.

Ale Staś pierzchnął od niego jak od najstraszniejszego widma.

---

Wśród potężnie rozwiniętego w różnych kierunkach życia umysłowego, wśród świata przesiękłego nauką— Stanisław nie mógł pozostać widzem obojętnym, podbudzało go wszystko do myślenia, przyswajania sobie wrażeń i pojęć, do tworzenia. Na chwilę tylko uśmierzony popęd znowu wziął górę, i uczeń medycyny, różnie się przed sobą tłumacząc, opuszczał lekcye Bielkiewicza, piękne wykłady Fonberga, fizykę Drzewińskiego, by ukradkiem podsłuchiwać co tam rozprawiał o literaturze łacińskiej krotochwilny



Capelli, co poważny czytał Borowski, lub dziwacznie komentował ponury Münich. Skarby myśli ludzkiej, osłonięte przed nim szatą niezrozumiałych języków, podwójnie go nęciły, urokiem zagadki i wielkością swój sławy: wyrwał się na lekcye filologów, na czytania z dziejów, literatury i wśród nich czuł się dopiero w swoim żywiole. Tak walcząc z obowiązkiem i skłonnością, niszczył się targany na dwie strony, ale nie będąc rozkazami ojca przynaglany, bo sędzia rzadko i krótko pisywał do syna, nie przypuszczając nawet żeby śmiał mu być nieposłusznym—przechylał się coraz ku temu co go już w szkołach pociągało, ku literaturze. Wkrótce seksterna anatomii, na których ledwie początki osteologii ponotował, zmieniły się w raptularze literackie, książki fizyki i chemii w grammatyki, słowniki i historye, a patrzący na to Szczerba milczał tylko, nie śmiejąc już łąć, a nie chcąc potakiwać. Tymczasem Bazylewicz, który często odwiedzał Stasia, zawsze go po swojemu napędzał, aby na nic nie zważając, szedł drogą jaką mu wyznaczył los dając talent, z zamiłowaniem poezyi i literatury — siebie mu stawiał za przykład i naśmiewał się z tchórzliwości towarzysza, którą dzieciństwem nazywał.

— Gdybym ja był na twojém miejscu, mówił mu, napisałbym otwarcie do rodziców — no! a jeśliby się sprzeciwiali, pogrozili, czyż to bez ich pomo-

cy rady sobie nie dać! Starszy pan Bóg jak pan Rymsza.

— A! tu nie chodzi o pomoc — ale mieć sobie zagrodzony nieposłuszeństwem dóm rodziców, wyrzec się ich serca, nie ujrzeć więcej tych miejsc ukochanych! tych ukochanych twarzy! a! to okropne, to straszniejsze nad wszystko.

— Jesteś baba! wyrzekł na to Bazylewicz, rodzice twoi pewnie więcej mają rozsądku i serca niżeli ty im przypisujesz; uwłacza im to nawet że ich pośadać możesz o obojętność, głupotę i okrucieństwo!

Staś mówić już nie śmiał.

Walczył jeszcze z sobą, słabo się opierając pragnieniu codzien biorącemu górę; nareszcie dnia jednego, całą siłą woli rzucił się gdzie go wołały losy, a namyśliwszy się napisał list do matki, w którym z pokorą i błaganiem, i położenie swoje i postanowienie niezłomne zwrócenia się na drogę którą uważał za jedyną dla siebie, wyłożył. Wiedział on dobrze, że matka do nikogo nie pisuje, od nikogo listów nie odbiera, że to pismo wpaść musi w ręce ojca, ale może umyślnie, mimo to, wyprawił je na pocztę.

Z biciem serca oczekiwał odpowiedzi... ale długo a długo jej nie było; nareszcie jednego dnia zjawił się pocztylion i oddał mu list w szarej kopercie, na którym z drżeniem poznał Stanisław rękę ojcowską.

Ta ćwiartka papieru zawierała wyrok jego życia lub śmierci, przebaczenia lub odrzucenia; nim się ją ośmielił otworzyć, Staś rzucił się na kolana, modląc całą duszą. Wielkiej potrzebował odwagi by rzucić okiem na list który mu z rąk wypadł; szczęściem na tę chwilę właśnie nadszedł Szczerba i poznawszy o co chodzi, a ulitowawszy się nad znękanym, sam rozłamał pieczętkę. W twarzy jego wyczytał Szarski wyrok swój, bo Paweł pobladł, zadrgały mu ręce i papier powoli upadł na stół.

W milczeniu, ze łzami Szczerba uściskał Stasia.

— Stało się, rzekł, choć nie wierzę by serce ojca i matki na zawsze mogło się odwrócić od dziecięcia; nie masz już prawa odezwać się do nich i czekać tylko musisz ich litości. Zrobiłeś jakieś chciat, jakom ja ci odradzał, posłuchałeś Bazylewicza, miejże się pójsć dalej bez niczyjój rady i własnym kierunkiem. Ojciec odmawia ci nazwiska syna, wypiera się w tobie dziecięcia i nie chce więcój wiedzieć o tobie, zostawując cię własnym twym środkiem, gdyś zażądał mieć wolę własną....

Staś jak słup, martwy ręce ścisnął, ściał wargi i zamilkł, widać na nim było niezmierną boleść, ale ją tłumił w sobie — Szczerba nie opuszczał go na chwilę.

— Złe się zrobiło, rzekł— ale jeśli nie chcesz lub nie możesz starać się o przebaczenie, myśl teraz co

poczniesz. Dopóki my co mamy podzielim się z tobą, ale to nie potrwa długo. Tymczasem porzuć osobną stancję, wnoś się do nas i przyjmij co mamy.

Uściskali się w milczeniu.

— Nie trap się zbytecznie, dodał Szczerba — mówieś mi o bogatych krewnych, udaj się do nich, może ci oni dopomogą

— Nigdy! zakrzyknął Stanisław, któremu na myśl przyszła Adela — nigdy! będę pracował i wyżyję z własnej pracy.

— A gdybyś przez nich spróbował zmiękczyć ojca? rzekł zcicha Szczerba.

Staś pomyślał.

— Spróbuję jeszcze, odparł — chociaż nie wiem czy jest kto coby się potrafił ośmielić do niego z prośbą, instancją, uwagą.. i ktoby co u niego przeciw niemu uzyskał. Właśnie ci majętni krewni nasi nie rądzi byli mojej medycynie, powinni by się więc wstać za mną do ojca. Nie mam najmniejszej nadziei, ale nie chcę wyrzucać sobie żem czegokolwiek co zrobioném być mogło, zaniedbał..

Jeszcze nie wyszedł Szczerba, gdy Horyłka, który czy się jakiej zmiany w losie swego lokatora domyślał, czy podsłuchał rozmowy, wsunął się brząkając kluczami i zażywając tabaki do pokoiku z miłą zafrasowaną. Spójrzył ukradkiem na Stanisława,

nieco się skłonił i czegoś zdawał po stacyjce rozglądać.

— Coś tu u pana, rzekł po chwili — i krzesółko nadłamane i okno nadbite..

— Wszakżeś mi je tak oddał? rzekł Stanisław.

— Tak? tego sobie nie przypominam, odparł Horyłka, u mnie zawsze zdaje się wszystko we wzorowym porządku.. Ale o to mniejsza, prawować się nie będziemy.. miałem spytać.. bo to mi potrzebne do dalszych planów, czy pan tę stacyjkę zechce dłużej zajmować?

— Jak to? spytał Stanisław — wszakże zapłacona za kwartał z góry — a ten się dopiero rozpoczął?

— Na kwartał! tak jest! bez wątpienia — rzekł tykając ślinę Horyłka — na kwartał.. ale po kwartale...

— Po kwartale pomówimy o tém — odpowiedział Szarski.

— Bo jeśliby ona była panu niedogodna, zwłaszcza że coś zdaje się chłodna, a piec popękał — mruknał Horyłka — na cóżby ją dłużej zajmować? mam właśnie lokatora, któryby najął ją rocznie.

— Ależ zapłacona! rzekł Stanisław z oburzeniem.

— Cóż to zapłacona? tak jest! zapłacona — ale jeżeli się przy wyjściu kontraktu okażą z mojej strony pretensye, a pan będziesz miał jaki ambaras w ich załatwieniu, nie lepiej-że to wcześniej pokombinować?



Akademicy spojrzeli po sobie.

— Ja jestem spokojny i uczciwy człowiek, ciągnął dalej Horyłka— tego mi nikt nie zarzuci żebym do kogo szukał przyczepki.. i gdyby nie ta szelma żona, z pozwoleniem panów— przez którą wszystko się pogmatwało— o! inaczejbym ja stał! Panowie nie wiedzą co mnie ta niewdzięcznica kosztuje!

— Ale cóż to ma do stancyi? spytał Szczerba.

— Po co to już w bawełnę obwijać — dokończył Horyłka odważnie, zbliżając się do Stasia— mówmy lepiej otwarcie, pan Szarski podobno w ambarasie na dal.. ja to wiem, ja wiem wszystko..

— Jakże wiedzieć możesz? chyba słuchasz pode drzwiami? spytał Szczerba.

Horyłka się zmięszał i łysinę potarł.

— No, już jak ono jest to jest— otwarcie — na co panu dalej ta stancya, niech się pan wyniesie do życziwych kolegów, a ja tu kogo innego postawię..

— Ale ja za nią zapłaciłem?

— Co to, zapłaciłem? rozogniając się zawołał gospodarz — a pretensye? a jak ich nie będzie czém opłacić? Ot— ja mogę skwitować pana choć krzesło nadłamane, i podłogę szarować potrzeba i szyba pęknięta i na ścianach androny popisane a pan lepiej się wynieś sobie.

— A gdybyśmy my z panem Szarskim, razem

wszyscy się z waćpana domu wynieśli? spytał oburzony Szczerba.

Horyłka zmieszał się niezmiernie i dopiero się opatrzył że za daleko zajechał; ale nadrabiając rezonem, począł się śmiać.

— Wolne żarty panów! a gdzie taki dom drugi i taką jak moja kuchnię znajdziecie! gdzie takiego gospodarza który się rujnuje dla waszój wygody? Zresztą ja tylko radziłem, a wolno postąpić jak się podoba— uważaj pan jak lepiej. Mnie stancyjka potrzebna, bo wkrótce nadjechać mają z trupą całą wołyżerowie z Wiednia— słyszy pan! z Wiednia! którzy pragną i dobijają się zająć dom mój, znany w całej Europie, bez pochlebstwa— a jednego pokoju dla samego antreprenera właśnie mi braknie... mogliśmy ułożyć się korzystnie.

— W istocie, rzekł Szczerba — może to i dobra rada, wróć pan pieniądze Szarskiemu, a my weźmiemy go do siebie.

Horyłka oczy wytrzeszczył i chrząknął.

— Co się tycze pieniędzy — pieniędzy! przełknął powoli— to jest wiadomo całej Europie, że mnie ta szelma, z pozwoleniem, zrujnowała, kompletnie zrujnowała. Zresztą ja muszę w każdej operacyi zarobić... więc i tu... pieniędzy nie dam, ale jakiś czas karmić mogę...

Tegoż wieczora zaskoczony Stanisław, ugodziwszy

się o zamianę mieszkania na jadło, opuścił izdebkę w której od wyjścia Bazylewicza sam był i spokojny żył z myślami swemi, wynosząc się na łaskę współuczniów, do dwóch obszernych pokojów które oni w kilku zajmowali. Było to pierwsze upokorzenie i pierwszy krok do nowego życia.

---

Czas biegł żywo, Stanisław pracował teraz we dwoje, widząc że na pracy własnej całe oprzeć musiał życie. Otoczyli go nowi towarzysze, wcale różni od tych z którymi uczęszczał na medycynę, każdy bowiem oddział miał sobie właściwą fizyognomją. Medycy, po większej części chłopcy ubodzy a pracowici, garnęli się do swęj nauki z zapałem rażnie jakoś i ochoczo, smutne swe studia usiłując rozweselać humorem nieustannie podtrzymywanym skupianiem się w gronka dla nauki i dodania sobie ducha. Pomiedzy niemi, począwszy od najznakomitszych intelligencyj do najpłytszych umysłów, szereg zdolności był niezmiernie rozmaity, wychowanie też, obyczaje, usposobienia najróżniejsze. Szyderstwo chłodne i niewiara szeroko tu panowały, choć były i wyjątki; ogół wszakże składał się z materyalistów. Gdyby nie młode uczucia szlachetne których wygasić nie mógł sceptycyzm zaraźliwy, kupka ta byłaby straszna, tak zimno już uczyła się patrzeć na świat, cią-

gle do czynienia mając z trupami lub człowiekiem w stanie anormalnym, schorzałym i upadłym; ale i tu święte idee braterstwa, poświęcenia, uczucia honoru żyły na ruinach bujnie i rozjaśniały szary horyzont materyalizmu.

Ideje te pomiędzy garścią medyków niemal do exaltacji dochodziły, tak żywo były uczute sercami, bo człowiek z jednej strony stygnąć musi, drugą szukać czémby się rozgrzał i poruszył.

W oddziale literackim stosunkowo daleko mniej licznym, składającym się z uczniów uboższych może jeszcze, których popęd niezłomny do studyów niewdzięcznych nakłaniał, większa była jednolitość usposobień i fizyognomia jednostajniejsza daleko. Było ich niewiele, zamyślonych, zapracowanych, niepewnych jutra, po większej części wyglądających w przyszłości ciężkiego chleba nauczycielskiego; a obok wytartych mundurów tych cierpliwych wyznawców nauki, zaledwie parę wytworniejszych fraków bogatych chłopców, którym tylko o stopień chodziło, ukazywały się na ławach rzadko zajętych.

Większa część uczniów oddziału literackiego, miała usposobienia na które rachowała i odznaczała się też nieodłączną od nich w młodym wieku zarozumiałością. Bazylewicz nieźle reprezentował ten ogół złożony z ludzi, którzy wiedzieli że chyba niezmiernym talentem i nadzwyczajną pracą dobić się

czegoś potrafią, tak rola którą szli uprawiać, była nieplenna

Mniej tu było braterstwa, związku, serdeczności, wesela niż pomiędzy medykami, bo każdy chodził z sobą, myślał o sobie, ufał w siebie a rzadki miał ochotę się rozśmiać.

Kilku uczniów instytutu pedagogicznego, jeszcze butniejszych, bo wybranych i będących celem zazdrości, zasiadali niemal odcięci i samotni na ławach nieludnych wcale. Staś nie znalazł tu ani przyjaciół, ani młodości.

Wcześniej pomarszczone czoła, zawczasu ściśnięte serca które zamykały się w sobie, by całą swą siłę wylać w jakiejś pracy; Bazylewicz powitał go jako towarzysza ledwie nie szyderstwem.

— Tak trzeba było zrobić od razu, rzekł śmiejąc się — baba jesteś! wahasz się; ciężko ci pójdzie na świecie, ale lepiej późno niż nigdy.

Staś postrzegł zaraz że nie wszędzie zarozumiałość odpowiadała zdolności i służyć mogła za jej miarę; połowa najpewniejszych siebie, jak Bazylewicz, mierne bardzo miała talenta, ale nadstarczała za nie wmawiając sobie i drugim, że w łonie swém kołysze genjusz, który się za chwilę rozwinie. Byli tam i ci ludzie osobliwsi, których natura uposaża najszczodrzej, pamięcią, bystrością, pojęciem, łatwością chwytania i przyswajania cudzego, a którzy



z najpiérwszych uczniów, pobrawszy medale, nani-zawszy wieńców, wychodzą w świat niezdolni zastosować to co nabyli. Na całe życie zostaje im to czego się wyuczyli, z zarozumiałością i pychą studencką— ale nie więcej. Obok nich trafiały się mniej pospolite charaktery młodzieży bojaźliwej, na pozór roztargnionej, niepamiętnej, uczącej się z trudnością, zawsze myślą uciekającej z miejsca w którym być powinna, zaledwie mogącej przeleść examena— co oswobodzone później z więzów pedagogicznych i formuł naukowych, wychodzą na świat gasząc jednym zamachem wielkie te luminarze szkolne, którym na ławie ledwie sięgali po kolana.

Do tej właśnie kategorii umysłów należał Stanisław, nieufny w siły swoje, bojaźliwy, chwilami tylko zbierający się na gorączkową odwagę, a resztę czasu dający się zacierać wszystkim kto chciał. Bazylewicz który mniej od niego i mógł i umiał, ale z tego co posiadał doskonale potrafił korzystać i popisywać się zręcznie— brał górę nad Stanisławem i nad wielą innymi, a z tymi których pożyć nie mógł, tak śmiało występował do walki, tak z nich sztydzić umiał, tak się im urągał, tak mało dbał o nich, że w końcu przy nim zostawała wygrana.

Wszyscy współuczniowie Szarskiego, już w chwilach wolnych roili o autorstwie, probowali sił swoich i rzucali się do tworzenia.

Bazylewicz chwycił się świeżej naówczas formy Sonetów, tłumaczył Petrarkę, tworzył piosnki i tak je deklamował, że wszelką rozbrajał krytykę, bo słysząc go śmiać się było potrzeba do rozpuku, a sądzić niepodobna.

Stanisław nie mniej ni więcej, począł razem tragedya, poemat, romans i historyą... Myśl jego płodna wolała tworzyć wielkie pomysły, które jednym rzutem oka w duszy oglądał w całym świetle jakiego nigdy podobno dostąpić nie miały, niżeli je powoli i mozolnie dokonywać. Omylony tém, że widział pięknem, a raczej jak pięknem-by być mogło to co obmyślał w chwili zapału, Stanisław porywał się do dzieła, i na pierwszej karcie niewprawną skreślonej ręką, blade znajdując tylko odbicia świetnego obrazu, opuszczał dłonie bezsilne.

Brał się do czego innego — i z innem było toż samo. Nie wiedział jeszcze, że sam zapal nawet, kiedy unosi nad ziemię, nad chłodne strefy pracy, jest niemal przeszkodą dla poety - artysty, który mozolnie odtwarzać musi obraz wypiastowany w swjej duszy. Nie wiedział, że zapal potrzeba było skryształizować w sobie i w jego formie dopiero odlać spizowy posąg; o! wiele rzeczy nie wiedział jeszcze i zrażał się niepowodzeniem co chwila, próbując w jakiby sposób myśl cudna w której się przeglądał, od

razu wylać się mogła cała, potężna, silna, barwna jak jój nieśmiertelny prototyp.

O! inaczej to w duszy patrzeć na te obrazy odbijające się w niej z niebios, a inaczej, inaczej, ulepić je z gliny i błota! Jeden tylko Bóg, mógł na swe dzieło wejrzawszy, powiedzieć że było dobre; a artysta! artysta chyba upadłszy na duchu, na umyśle i wyobraźni, przeżywszy się moralnie, pokłaśnie temu co stworzył.

Ci co nie znają prototypa, a błądą tylko jego kopję mają przed oczyma, śnić z niej będą o arcydziele; ale twórca co nie zabył wielkiego swego marzenia, z politowaniem patrzeć musi na cień ideału, w gniewie mając ochotę sto razy skruszyć swe dzieło.

Bazylewicz całe pracował inaczej; myśl jego i wyobraźnia działały leniwo, nie miał nigdy przed sobą całego jednolitego obrazu: zaświtało mu coś zdala, a w wykonaniu dopiero szukał i trafiał przypadkowe piękności. Przychodziły mu one żmudnie, stroił je, wdzięczył, rozsadzał, przybierał; to też gdy później spójrzył na tak utworzone dzieło przypadku i trafu, rozmiłowywał się w tej mozaice miłością wielką i lubował się nią jak najdroższém dziecięciem.

Źle tam było przyjść doń ze szczerą krytyką, na którą odpowiadał śmiechem, urąganiem, gniewem nawet i oburzeniem. Zlepki te jego zdawały mu się

tak niezawodnie arcydziełami, że gdy je odśpiewywał, lada szmer świętokradzki do wściekłego gniewu go doprowadzał.

Daleko im wszakże było do doskonałości, do mierności nawet, brakło wszelkiego wdzięku—znać było pracę mozolną w tych wyrazach posprzęganych z wysiłkiem wielkim, którym kazano brzęczeć, dzwonić, stukać i hałasować, żeby pokryć nicosć tego co obwijały. Forma jego podobną była do owych cukierków sprzedawanych w papierkach malowanych, w których więcej farby, obwijadeł, pstrocizny i dodatków niż cukru i smaku.

A że żaden poeta śpiewać nie może sam sobie, a każdy potrzebuje uznania, schodzili się nasi młodzi czytać wzajemnie swe roboty, radzić się i dopatrywać wrażenia jakie robili na sobie. Już też i sława ich drobna rozchodzić się poczyniała z ławy na ławę, nie przestąpiwszy jednak drzwi sali. Na tych posiedzeniach literackich, na których więcej jeszcze było dymu i wrzawy niż czytania, Bazylewicz zawsze wszystkich przekrzyczał i koniec końcem jeśli nie zachwycił, to wmówił, że zachwyćć był powinien, a gdy mu kto jaką uczynił uwagę, nigdy jęj nie przyjmując, zostawał uparcie przy swoim. Stanisław przeciwnie męczył się najniesprawiedliwszą nawet krytyką i poświęcał często dla niej to, co w jego oczach istotną stanowiło piękność. Trzeba mu było wysił-



ku odwagi, by się oprzeć lada polotnej uwadze najpowierzchniwszego umysłu. Sam nie dowierzając sobie, bo w duszy nosił ideał któremu zrównać kiedykolwiek rozpaczał, łatwo wierzył tym co w jego pieśniach plamy widzieli i skazy.

W ich sympatyach dla pisarzy była także wielka różnica. Bazylewicz tych tylko cenił, którzy w czemkolwiek byli do niego podobni; Stanisław przeciwnie, przymioty których mu brakło, głosy jakich mu natura nie dała, brał do serca, umiejac uczuć nie tylko ten rodzaj piękności wyłączny, jeden, który snuł się z jego duszy, ale wszelaką piękność, najsprzecznijszą nawet z jego ideałem, ale jakąś stroną swoją odbijającą nieśmiertelny prototyp.

Jakkolwiek bądź, ogół zawsze ostalecznie sprawiedliwy w swych sądach, choć się dawał na chwilę zadurzyć krzykiem Bazylewicza, więcej jednak cenił Stanisława niż pierwszego, i smakował w tem co tworzyło serce, raczej niżeli w płodach głowy. Obiecywano sobie wiele po pierwszym, miłowano lepiej drugiego, zresztą talenta ich tak daleko stały od siebie, że ich z sobą porównywać nawet nie było można. Tamten zawsze był gotów, w śród ulicy nawet czytać, deklamować, popisywać się i zgarniać wieńce których był żądny. Staś prawie się wstydził tego co robił i sam pierwszy występował z krytyką, bo w chwili czytania tak mu się praca jego zdawała



słabą, że ledwie mógł usta otworzyć, wcześniej się do wad przyznając niżeli ich kto dójrzał—obwiniął się z góry, i błagał przebaczenia. To prawie całkiem zabijało wrażenie jakie mógł na słuchaczach uczynić.

Położenie Stanisława co dzień się stawało cięższem, a jutro groziło mu zupełnym niedostatkiem, jeśliby nie zapobiegł pracą wyczerpaniu bardzo już uszczuplonego zapasiku. Wprawdzie mieszkanie miał u kolegów i mógł na ten przytułek rachować; Horytko w skutek układu karmić go jeszcze obiecywał czas jakiś, ale nic nie miał więcej nad ten dach pożyczany i kawałek chleba. Z domu nic słyhać nie było, a nawet pan Adam Szarski do którego pisał, nic mu jeszcze nie odpowiedział.

Jednego wieczora powracając zamyślony na Trocką ulicę, wśród dość pustej drogi, bo to była sobota, podniósłszy oczy roztargnione, z wielkiem podziwieniem swoim spostrzegł jakąś znajomą postać we wrotach domu Horytki rozmawiającą z faktorem i gospodarzem. W pierwszej chwili nie mógł jakoś przypomnieć sobie ktoby to był, tak przytomność téj figury była niespodziewaną, ale gdy na widok przybywającego Szarskiego oddalać się zaczęła, poznał w niej Falszewicza. Zdziwił się, ale był pewien że się nie mylił.

Faktor i gospodarz stali jeszcze w progu, gdy niespokojny Stanisław nadbiegł do nich z zapytaniem.

— Kto to był taki?

Oba spojrzeli po sobie, a żyd odwrócił się ruszając ramionami.

— Nu, kto miał być? i co panu do tego! nasz znajomy, pan go nie znasz.

Horyłka pomruczał coś tylko pod nosem i natychmiast się rozeszli. Zjawienie się w Wilnie Falszewicza, przypominające Stanisławowi dom o którym bez żalu i strachu pomyśleć nie mógł, zniepokoiło go wielce, tak, że zburzony niém cały, nie mógł usnąć do poranka. Ale że dni następnych nie spotkał go nigdzie, ani zasłyszał o nim, począł w końcu sądzić, że mu się to widziało, w chorąg urodziło głowie.

Trzeciego dnia, naprzeciw Dominikanów, na trotuarze nos w nos, oko w oko zjawił mu się Falszewicz tak już widocznie, że wątpić o nim nie było podobna, gdyż dwóch takich fizioptomij pewnie na świecie znaleźć było trudno. Staś wstrząsł się cały i zacołał, a Falszewicz chciał umykać, ale zapóźno się do tego wzięwszy, pozostał jak przykuty.

— Co tu pan robisz?— zapytał słabym głosem Stanisław.

— A! a! to pan!... ja... przyjechałem za swojemi interesami... mam tu krewnych... w aptece...

— Co się dzieje w Krasnobrodzie, — na miłość Bo-

żą — powiedz mi pan, co się dzieje w Krasnobrodzie?

— A co się ma dziać? czy to pan myślisz, że tam bardzo znać żeś pan ubył?

— Ojciec mój!

— Zakazał nawet wspominać pana, a mówią nawet że zrobił już i testament i zupełnie wydziedziczył.

— A matka? — przerwał Staś łamiąc rękę.

— Pani sędzina podziela całkiem zdanie JW. sędziego, odrzekł ze czkawką Falszewicz — zresztą nie się pan odemnie nie dowiesz... bo nawet JW. sędzia przewidując, że mogę być nagabany przez pana, zakazał mi się z nim wdawać.

Wymówiwszy te kilka słów z coraz wzrastającym złym humorem, Falszewicz już się chciał oddalić pomrukując coś niezrozumiałego, gdy Staś, któremu ta wstrętliwa figura, w tej chwili dom przypominająca, drogą się stawała, wstrzymał go chwytając za rękę. Szczęśliwa myśl, że Falszewicza trunkiem ująć było łatwo, przychodziła mu do głowy; ostatnich kilka złotych miał jeszcze w kieszeni.

— Panie Falszewicz, rzekł głosem błagającym — pogadajmy — jest tu cukiernia niedaleko, możebyś się czém posilił. Pedagog chciał uciekać i wstrzymał się, oczy mu błysły nabrzękle, oblizał się, zająknął.

— Ale co tam! tego nie potrzeba... prawda, że

człowiek t $\acute{e}$ m miastem zmęczony na śmierć, a w gębie nic nie miałem od rana...

Wódkę słychać było mocno od niego pomimo zaklęcia, że nic w gębie nie miał dzień cały; Staś widząc że się słabo broni, począł mocniej nalegać.

— Chodźmy panie Falszewicz— rzekł chwytając go za rękę— kieliszek słodkiej wódki nie zawadzi.

— Nigdy nie zawadzi!— zawołał pedagog słabnąc coraz— wódka *aqua vitae*; niech głupcy piją wino, to napój dla żołądka i dla kieszeni nie zdrowy... Wódka! w to mi graj! nigdy się człowiek nie oszołomi... a dla konkokcyi jedyna... no— ale gdzież ta cukiernia?

Staś pociągnął go za sobą uradowany.

Weszli do bocznej izdebki pierwszej cukierni jaka się trafiła, a Falszewicz okiem pożądlivości pełnem powiódł po butlach, z drugiego pokoju wyglądających, jak armia uszykowana do boju, w porządku i pełnych stojąca szeregach.

Przyniesiono wódkę. Staś usiadł i badać go zaczął.

— A! co się działo w Krasnobrodzie, kiedy list pański nadszedł, tego wypowiedzieć niepodobna, rzekł Falszewicz smakując w Crombambuli— pan sędzia rzucał się jak... jak dzik, pani sędzina płakała łamiąc ręce, my wszyscy staliśmy w największym strachu, nie śmiejąc pary z ust puścić. Nareszcie pan sędzia zawołał:—Nie mam syna! nie chcę go widzieć, nie chcę o nim słyszeć więcej! jak sobie posłał niech



się wyśpi!... nie chciał mi być posłuszny, niechże sam idzie o własnej sile.. z Panem Bogiem... zobaczymy jak daleko zajdzie. Odtąd nie było nawet wzmianki w domu o panu Stanisławie.

Drugi i trzeci kieliszek rozmówniejszym jeszcze i szerszym uczynił Falszewicza; przyznał się a raczej dał do zrozumienia, że został wysłany do Wilna, aby gospodarzowi domu *et quibus interest universis* zapowiedzieć, że sędzia za syna nie odpowiada i nie płaci.

Stanisław z tych poszarpanych, wstrzymywanych i wyrrywających się zeznań, wybadał tylko, że najmniejszej nie było nadziei przebaczenia, nawet w razie zupełnej uległości.

— Gdyby z głodu marł i jak syn marnotrawny teraz do domu mi wrócił, rzekł sędzia wedle Falszewicza — nie przebaczę, nie przyjmę! Jeśli mi się na oczy pokaże, a zechce przebłagać, na jedno tylko zezwoliłbym mógł jeszcze, niech porzuci uniwersytet i przyjedzie się uczyć posłuszeństwa na wsi... Nauki nie potrzebuje, bo mu ta widać głowę słabą zawraca, będzie ekonomował w Krasnobrodzie.

Nie było więc sposobu, nie było żadnej nadziei, bo powrócić do tego życia niewoli, po swobodzie której się skosztowało, Stanisław już nie mógł—trzeba więc było pozostać w Wilnie, myśleć samemu o sobie i wyrzec się rodzicielskiego domu.



Z westchnieniem wyszedł z cukierni akademik, wyprowadzając za sobą podpiętego bakalarza, który nareszcie trunkiem rozczulony, poczynął się już nad Stasiem litować.

— Dalibóg, rzekł — żał mi już pana — no! ale do czego to było robić! do czego!.. ot! głupstwo! Już teraz przeskoczywszy płot trudno na to poradzić! Doskonała wileńska wódeczka... niema co mówić! przed JW. sędzią nie przyznam się, żeśmy się widzieli... Bieda! bieda! i po wszystkiem, ale wódka, no! wódka.. dobranoc panu Stanisławowi!

Nazajutrz, Paweł Szczerba przyszedł z wiadomością, że jeden z professorów uniwersytetu potrzebujący dozorey do syna, zamierzał go sobie wybrać z uczniów oddziału literackiego. Było to ze wszechmiar pożądane i najdogodniejsze miejsce, o jakim Stanisław mógł marzyć, należało się więc starać o nie, i użyć wszelkich sprężyn, aby je posiadać. Mieszkanie, wygody życia, małą pensyjkę i protekcyę nauczyciela pozyskać, było rzeczą wielkiej wagi dla ubogiego ucznia, nie dziw też, że na sam odgłos o wakansie, wszystkie wytarte łokcie literackiego oddziału, poruszyły się żywo krzątając o otrzymanie tego miejsca, o wnijsćie do tego Eldorado.

Paweł Szczerba, nawet nie pytając przyjaciela, bez

jego wiadomości, poczynił był już wstępne starania dla Szarskiego, i otrzymał obietnicę, że Staś tegoż dnia prezentowany będzie profesorowi. Ta wiadomość ucieszyła niezmiernie biednego chłopca, ale go strach ogarnął jakiś i taka o siebie obawa, o brak sił do podołania wielkiemu zadaniu wychowania, którego sam jeszcze nie skończył, że ledwie się dał namówić na widzenie z nauczycielem. Godzina i miejsce były wyznaczone, Szczerba miał prezentować nieśmiałego towarzysza. W niepokoju, wahaniu, nadziejach przeszło pół dnia, a Stanisław słuchając prelekcji, ledwie łóżne z nich łapał słowa, tak mu serce biło i głowa gorzała.

Gdy weszli w podwórzec uniwersytecki i ujrzeni zdaleka profesora przechadzającego się pod arkadami, u wnijscia do biblioteki, Szarski stracił resztę odwagi, języka i przytomności, a Szczerba załamał ręce widząc, z jakim ukłonem i uśmiechem zadowolenia oddał się właśnie od profesora Bazylewicz.

Przeczuł on, że miejsce schwycone być już musiało—zbliżyli się wszakże, a po zmieszaniu nauczyciela, jego minie obojętnej i wejrzeniu które rzucił na prezentowanego, domyśleć się było łatwo, że z tego nic być nie może; przemówili słów kilka, rozmowa nie skierowała się nawet na przedmiot największej wagi, profesor szybko się ukłonił i oddalił prędzej jeszcze.

Szczerba stał osłupiały.

— Cóż w tém jest, rzekł— niema tu co robić— uchwyciono nam kondycyą z przed nosa... przysięgnę że ją Bazylewicz już otrzymał.

Zaledwie uszli kilka kroków, gdy na drodze trafiło się im dwóch towarzyszków, byli to Bolesław Mszyński i Korczak. Szczerba zły, począł się użalać przed niemi.

— Ale ha!— rzekł Bolesław, jakżeście bo mogli myśleć że w czémkolwiek uprzędzie Bazylewicza, ten sobie da radę wszędzie! Wczoraj jeszcze wiedział o wakansie, dziś rano widział się już w mieszkaniu z professorem, i tylko co, jak mi sam mówił, zawarł z nim umowę.

— Chyba nie wiedział, zawołał Szczerba— że my się o to miejsce staramy dla Stanisława.

— I owszem— odparł Bolesław— ale śmiał się, gdyśmy mu wspomnieli o tém. Głupibym był, rzekł, poświęcać się dla kogokolwiek, kiedy wierzę w to mocno, że ja światu potrzebniejszy od drugich— *Prima charitas ab ego*; niech sobie Stanisław i jego przyjaciele szukają innego miejsca.

— Słyszałem na moje uszy, dodał Korczak, jak spytany przez profesora o Szarskiego, odezwał się: Chłopiec z niejakim talentem, ale charakter słaby, kobięcy, przytém miałoby to minę, że pan professor

protegujesz go przeciw własnym rodzicom, którzy nie życzą sobie żeby się oddawał literaturze.

Szczerba wstrząsł się cały i już miał kląć swoim zwyczajem, gdy z wesołą miną zbliżył się ku nim obwiniony Bazylewicz, czapka na bakier a uśmiech na ustach.

Wszyscy zamilkli.

— No! a co? Łajecie mnie zapewne, zawołał śmiało — łajecie żem Stasiowi z przed nosa uchwycił miejsce... cha, cha, cha! nie prawdaż? Jakie z was dzieci? a cóż to? chcieliście żebym ja siebie dla niego poświęcił? Nie jestem wcale z rodzaju tych niewinnych baranków, którzy się zabijają na ofiarę — wolę drugich poświęcać sobie, niżeli być święconym, to darmo! Staś dziś, jutro otrzyma przebaczenie rodziców i będzie miał kawałek chleba, a ja go nie mam przed sobą i na tydzień. To miejsce było całą moją przyszłością.

— Mów sobie co chcesz, odparł Szczerba, ja ci ręki nie podam. Wolno ci się było starać jak chciałeś, ale nie ze szkoda Szarskiego — niechby wybierano między wami.

— Otoż wybierano! wybrano i koniec! — dumnie zawołał Bazylewicz, a kto mi nie poda ręki temu i ja mojej nie wyciągnę dłoni — mniejsza o to! cha! cha! nie buduję ja nic na przyjaźni i obejść się bez niej potrafię — bo idę o własnej sile.



To rzekłszy odwrócił się i świszcząc poszedł dalej.

Studenci poczęli z oburzeniem powstawać na niego i spisek już knować na zdrajcę, przybywało ich coraz więcej, gwar się powiększał, gdy Stanisław przerwał narady.

— Staję w jego obronie, rzekł; niema tu takiego grzechu jaki mu przypisujecie, położenie jego wymawia postępek, szedł i ubiegał się otwarcie. Dla mnie to miejsce było widocznie niestosowne, on je daleko lepiej zająć potrafi. Chodźmy!

I prawie gwałtem pociągnawszy Szczerbę, który oburzeniu swojemu nie mógł położyć tamy, Szarski odszedł z nim do domu, wciąż usiłując uniewinnić Bazylewicza.

Wypadek ten, zwracając uwagę Stanisława na własne położenie upokarzające i nieznośne, zmusił go co prędzej pomyśleć o jakimś rachunku. Wszyscy koledzy pod których żył dachem, których łaską i książką się żywił, byli ubodzy; czuł że choć mu tego nie okażą, musi być dla nich ciężarem—potrzeba było pomyśleć o sobie—ale rozglądając się w koło, nie widział żadnego sposobu, żadnego wyjścia. Na koszt skarbowy w instytucie przyjmowano z trudnością i tych tylko, którzy dali już dowody zdatności; na otwierające się wakanse było zapobiegliwych kandydatów mnóstwo, nadziei z téj strony mieć nie było można. Nauczycielów i prywatnych dozorców posa-



dy, już były od początku roku pozajmowane, trudno ich było teraz wyszukać, słowem napróżno silił się coś wynaleźć i męczył nie spotykając nic przed sobą, nie prócz nędzy, która wzrastała i coraz stawała się groźniejszą.

Napróżno Szčerba przeczuwając co się z nim działo, bo od niego nigdy słowa nie słyszał, rozweselał go, ukazywał jaśniejszą przyszłość, cytował przykłady cięższych położeń z których się nie jeden wywikłał szczęśliwie nie tracąc ducha, Szarski co dzień był chmurniejszym i nie mając wiary w siebie i przyszłość, szedł tylko dalej jak machina, której sprężyna jeszcze się była nie wysnuła zupełnie, ale za chwilę zatrzymać się musiała.

Pierwsze potrzeby życia, do których zaspokojenia nie mógł i nie chciał wzywać pomocy przyjaciół, tańcząc się nawet przed nimi z najdokuczliwszym niedostatkiem, zmusiły go już pozbyć się wszystkiego co tylko sprzedanem być mogło. Ubogie dziecię szlacheckie, syn skąpca, Szarski nie miał też wiele rzeczy zbytkowych, ale i tę odrobinę swęj wyprawy domowęj, puścił już pomiędzy żydów. Faktor Hersz, który przewidział doskonale ostateczność do jakiej Szarski przywiedzionym być musi, wcześniej zapobiegł temu, żeby graty jego przez inne ręce nie przeszły. On i dwóch jego współników czatowali na odarcie studenta, a przemyślny faktor tak wybierał

godziny szachrajki, żeby nikt ze współtowarzyszów Szarskiego nie stanął mu na przeszkodzie. Rozpoczęła się więc smutna komedia, której scen którą z uboższych akademików nie pamięta? Kropli litości i sumienia nie było w tych żydach, którzy z kolei przychodzili zniżać cenę każdego gałgana, dopóki go nie pochwycili, a gdy przyszło płacić, darli jeszcze, osobno faktor za nastreczenie kupców, osobno kupcy za daną gotówkę, oszukując na monecie, kradnąc i niedopłacając resztek, które niby przynieść mieli natychmiast i t. p. Niezmierna łatwowierność Stasia z jednej, a zręczność Hersza, który żył z tych machinacyj, z drugiej strony, czyniła ten handel prawdziwym rozbojem.

Kiedy już żyd poznał z kim miał do czynienia, używać począł wszelkich środków do skorzystania z nowicyusza; do targu sprowadzał bogatych niby, poważnych i niezmiernie sumiennych współbraci, z którymi Szarski nie śmiał się nawet spierać o cenę; z nimi z kolei powynosił dywaniki, płaszcze, surduyty, wszystko aż do kołder i prześcieradeł. Szczerba i towarzysze nie rychło to spostrzegli, bo chwilę do szachrajstw wybierano zawsze, gdy ich nie było w domu, a Staś doskonale się ukrywał z tém co robił. W krótkim przeciągu czasu resursa te, bardzo ograniczone, wyczerpały się wreszcie całkowicie, a Stasiowi pozostało zaledwie to, czego już sprzedać i

pozbyć się nie było można, dla małej wartości lub codziennej a koniecznej potrzeby.

Jednego poranku, gdy powróciwszy z prelekcij sam jeden błakał się po wspólnej kwaterze Szarski, z gorączkowym niepokojem o jutro, Hersz którego już nie widział oddawna, bo żyd nie miał przychodzić po co — zjawił się niespodzianie w progu.

— Dzień dobry jegomości.

Staś nawet nie odpowiedział tak był zaprzątniony; żydek usłużny powtórzył pozdrowienie:

— Dzień dobry jegomości.

— Czego chcesz? — spytał Szarski.

— Nu, nic! przyszedłem się tak dowiedzieć, może czego potrzeba...

— Nic nie trzeba... bo nic niema! odparł wzdychając akademik.

Żydek zamilkł na chwilę, ale widocznie go coś piekło.

— Żeby panicz wiedział, jak ja panicza kocham, odezwał się z cicha — przez pochlebstwa, mało takich *uściwych* paniczów... jabym chciał w czem jegomości dopomódz! na moje sumienie — *auf Nemunes*.

— Cóż ty mi dopomożesz? — śmiejąc się gorzko rzekł Szarski, do sprzedania nie mam już nic... resztęście wyciągnęli.

— Albo to ja *zględem* tego mówię! chowaj Boże! zawołał Hersz ruszając ramionami — *auf Nemunes.....*

ja sobie głowę łamuję, żeby co paniczowi zrobić! A spodziewam się, że jak się co znaleźć trafi... to i mnie biednemu żydkowi, także coś z tego kapnie...

Staś się zastanowił, tak dziwnie mu w uszach zabrzmiała dawno nie spotkana nadzieja.

— Cóż się może trafić? — spytał ciekawie.

Hersz zbliżył się tajemniczo, obejrzał i westchnął, jak gdyby wielki dźwignął ciężar.

— A cóż panicz da? — zapytał.

— Co ci mam dać? za co?

— Za co? a jak ja znajdę dla panicza lekkie pieniądze?

— Przyznam się, że cię nie rozumiem.

— Nu! nu! ja się już targować nie będę — *auf Nemunes*, ja znam że panicz poczciwy — dasz jęmość co zechcesz! spuszcza się na panicza.

Staś jeszcze stał nie pojmując, co żyd mu obiecywał i czego od niego żądał, gdy nareszcie Hersz tajemniczo się ku niemu przybliżył.

— Takie miejsce! taka kondycya, co aj waj! *auf Nemunes*..... lepszego chyba na świecie niema. Kupiec piérwszój gildy... a bogaty! a *Morejne*, gwałt! Jabym chciał mieć choć procent od procentu tego co on zbiera miesięcznie! On ma córkę? pan umie po francuzku?

Szczęściem, Stanisław nadspodziewanie dobrze mówił tym językiem, winien będąc swą wprawę, sta-



remu pijaczynie przybędzie francuzowi, który umarł w Krasnobrodzie.

— Umiem— odparł zbiedzony, przenikając już propozycją jaką ma uczynić żydek.

— Pan będziesz uczyć francuzkiego języka jego córkę. Ot! a co? zły interes? *Fein* dziewczynka! pierwszej gildy kupiec! ma sklep na Niemieckiej ulicy, ma drugiego w Słonimie, ma trzeciego w Grodnie, a w Zelwie to pierwszy na jarmarku! Kto jego nie zna! Dawid Abramowicz Białostocki— pan wie, pan musiał choć słyszeć o nim?

— Nie słyszałem— rzekł zimno Szarski.

— To pan widział sklep jego?

— Nie widziałem.

Żyd ruszył ramionami.

— On paniczowi dobrze zapłaci!

Staś pomyślał i zastanowił się nieco.

— Dziękuję ci, rzekł do faktora, dziękuję szczerze— chodźmy do Dawida Białostockiego, będę dawał lekcyje jego córce.

Żydek, który myślał, że akademik nie rychło się na to zgodzi i dla tego tak zalecał i Dawida i sklepy jego i znaczenie i bogactwo i córkę, widząc, że Staś łatwo przystał na propozycją, zacofał się nieco.

— Nu! nu! niech-no ja jemu wprzódzie oznajmię; ale pan umie tego po francuzku? *auf Nemunes?*

— Jużciżbym się nieumiejąc nie podejmował!



— Ja panicza znam! ja paniczowi wierzę! nu! nu! pogadamy *ob tego!* Ja przyjdę wieczorem. Ale panicz będzie o biednego faktorze pamiętał! Żebym ja tylko rzekł słowo, toby sto akademików dobijało się o to miejsce, ale *auf Nemunes* nie powiem nikomu! Ja to umyślnie dla pana wyszukał! A co mnie to już bótów kosztuje!

To mówiąc, usłyszawszy na wschodach powracających z prelekcij towarzyszków Szarskiego, żydek zwinął się, pokłonił i drapnął.

Dom Dawida Abramowicza Białostockiego, kupca pierwszej gildy, położony był przy ulicy Niemieckiej, która nigdy nie należała do najczystszych i najprzyjemniejszych w Wilnie. Ściśnięty wśród innych kamienic i zwrócony nieszczęśliwie tak, że słońce nigdy doń nie zaglądało, pomimo wielkości swęj i mocnej staręj budowy, niewygodny był i smutny. Oprócz dołu miał jeszcze dwa piętra, sutereny zamieszkaane przez posługaczy Dawida, który obszerny prowadząc handel, wielu do niego trzymał pomocników, i kilka po strychu rozsypanych izdebek, prawie zawsze pustką stojących. Na dole mieściły się trzy sklepy właściciela, a znaczną część domu zajmowała jego rodzina, składająca się z trzech już pokoleń. Na tyłach mieszkał ojciec Dawida, Abram Białostocki, sta-

ry żyd z długą siwą brodą, urodzony jeszcze w miasteczku od którego wziął nazwisko i pamiętający świetne czasy pani Krakowskiej i Wersalu polskiego. Ojciec jego a dziad Dawida, miał niegdyś zajęzdy dom w Białymstoku i na Kawaleryi Narodowej, stojącej tam czas jakiś, dorobił się kapitału, z którym Abram na większą już skalę handel rozpoczął.

Starzec żył tu z żoną swoją Ruchlą, prostą i brudną żydowicą w dostatku ale w niechlujstwie, do którego oboje przez skępstwo i nałóg przywykli; w izdebkach ciemnych, wilgotnych, zasuniętych w dziedzińce — ciesząc się wnukami swemi i utyskując nad tē, że pokolenie dalsze widzieli coraz dalej odbiegające od prawa Mojżeszowego i zwyczajów tradycyjnych ludu Izraelskiego. Stary Abram nosił się jeszcze modą średniowieczną, w spinanym na haftki żupanie długim, okładanym po brzegach wyłogami z aksamitu, a wychodząc na ulicę, co mu się rzadko trafiało prócz do szkoły, brał nań płaszcz z długimi rękawami taśmą pod szyją spięty, wysoką laskę ze skówką srebrną do ręki i wysoki kołpak sobolowy nieużywanym już kształtem zbudowany. Była to poważna figura ze zgasłym okiem, twarzą zamyśloną i posępną, pochylonym grzbietem, smutna, ponura, milcząca. Ruchla, która mniej jeszcze za próg się oddalała, pilnowała się jak on staroświeckiej lamowej załóżki, perłami sadzonych muszek i dawnego stroju

żydowie polskich; trzewiki nawet nosiła na wysokich korkach, na których choć niewygodnie chodzić jej było, dreptała starucha nieustannie, gdérząc *ex officio* na sługi swoje. Abram nie męszał się już wcale do spraw i handlu syna, całkiem oddawszy nabożeństwu i rozmyślaniom, a Dawid kiedy niekiedy tylko do niego po radę lub z ceremonialnym dla patryarchy rodu pokłonem przychodził. Niczym niezajęty, wszystko czas spędzał nad Talmudem, nie zrzucając prawie *Nefillim* i *Zizim*, rozpamiętywając komentarzysze uczonych rabinów i dziwiąc się tajemnicom jakich każda głoska pisma pełną była.

Na piérwszém pięttrze, którego okna wychodziły w ulicę, mieścił się Dawid Abramowicz Białostocki i młodsza część rodziny. Dawid już powierzchownie cokolwiek mniej był żydem, a choć jarmułki nie zrzucił jeszcze i głowę golił, pokrywał ją wychodząc na ulicę kapeluszem lub aksamitną czapką, nie nosił żupana tylko surdut i płaszcz zwyczajny, palone bóty wytwornéj roboty, a nawet rękawiczki. Był to mężczyzna bardzo przystojny, z czarném okiem żywém i bystrém, z brodką wykwintnie utrzymywaną w której się siwy włos srebrzeć zawczasu poczynał, trochę dumnego wyrazu twarzy, a pewien siebie, jak wszyscy którym się na świecie poszczęściło, i co swe szczęście zwykli przypisywać nie losowi, nie ludziom, ale samym tylko sobie.

On i żona jego mieszkając na pierwszym piętrze kamienicy, urządzone mieli pokoje gościnne z pewnym wykwintem, ale w nich jednak tyle tylko bawili, ile wymagała konieczność, zwykle zaś przebywali w izdebkach tegoż piętra od dziedzińca i galeryi wewnętrznych położonych, których utrzymanie i porządek niewiele się różniły od czystości i ładu Abramowego mieszkania. Sama jejmość, córka bardzo bogatego wileńskiego kupca, niegdyś znakomita piękność, chodziła z głową ogoloną i w muszkach, ale suknie na nią już były nowszego kroju i chętką elegancyi, widocznie się w nich przebijała. Rączki zdobiła mnóstwem pierścieni, na szabas miała atłasy i aksamity i batystowe chusteczki i bogate szale. To nie przeszkadzało jej bynajmniej zajmować się kuchnią, stać pilnie przy zamieszaniu *tokszynu*, przy pieczeniu *gugłów*, prezydować u garnków i trudnić się całym kobiecym gospodarstwem, do którego miała pomocnicę, starą żydowicę, zawołaną kucharkę, i młodszą służącą, bo Dawid był smakoszem i lubił jeść dobrze i wiele.

Dwoje dzieci Dawidowstwa już daleko dalej w reformie zaszli niż oni, bo Salomon chodził do szkół, włosy nosił długie i zrzucił resztki dawnego stroju, a młodziuchną Sarę wychowywano starannie pomimo oszczędności, usiłując z niej zrobić panienkę nie żydóweczkę. I Salomon i Sara, dzieci rodziców typem wschodniej piękności odznaczających się, wzięły po



nich rysy izraelskie w całej ich biblijnej czystości i wdzięku. Oboje byli do siebie podobni, z tą tylko różnicą, że czternasty naówczas rok kończąca Sara, była i od brata i od matki i od ojca piękniejszą. Rzadko nawet w izraelskiej rodzinie, wśród której nie brak niepospolitych piękności, trafia się coś tak wzniosłe i idealnie pięknego jak Sara—rzekłbyś, wskrzeszona jedna z tych bohaterek biblii, jedna z tych wdzięcznych dziewic cór Izraela, które w ognistych wyrazach malują nam księgi święte. W czternastu latach już się zdawała dojrzałą, tak kibić jej wysmukła, zręczna, doskonale utoczonemi zachwycała kształtami; tak nic nie brakło dziewczycy do wyrażenia typu, którego była urzeczywistnieniem szczęśliwem. Płeć jej, nadzwyczajnej śnieżnej białości, przejrzysta, atlasowa, ledwie się nieco rumieniła na twarzy, tak w cieniu i osłonie od powiewu wiatru, od spiekoty słońca, wypielęgnowana była. Profil twarzy azyatycki, nadzwyczaj był czystego rysunku i przedstawiał linią idealną nieporównanego wdzięku, oczy miały siłę wejrzenia potężną; osłonięte niezmierniej długości rzęsami, nad których arkadą łuk brwi zarysowywał się puszkim jedwabnym, patrzyły z skromnością dziewczczą i śmiałością rozpieszczonego dziecięcia na świat, którego jeszcze tak mało widziały. Niewielkie czoło, gładkie i jasne jak szyba jeziora w dzień pogodny, zdawało się niebo odbijać na sobie,



tak było spokojne; uśmiech ust odkrywał bielsze od pereł i piękniejsze od nich ząbki. Ale rzadko gość ten się na nich zjawiał, bo Sara od urodzenia była czegoś smutną, a rodzice wielce się tępem trąpili, że prawie dzieciństwa i młodości nie znała. Nie bawiły ją zabawki, nie rozrywała igraszka rówiesnic, lubiła dumać, czasem nuciła coś posłyszanego w ulicy, a gdy ją czytać uczyć poczęto, cała się rzuciła do książki.

I Dawid sam i jego żona bardzo na to kręcili głowami, nieradzi z usposobień dziecięcia, ale ciągłe obcowanie z niewiernymi, widok dziewic chrześcijańskich, powoli ich z tą skłonnością Sary oswajał i godził; postanowili po długich rozmyślach i naradach, dać jej nauczycieli języków i wychowywać jak najstaranniej. Sprzeciwiał się temu niezmiernie starzec Abram, jako rzeczy niezgodnej z prawami i zwyczajami, dowodząc, że kobieta czytać nawet umieć nie potrzebuje, ale już wykształceńszy Dawid i matka, nie spierając się z nim, po cichu swoje zrobili. Ukradkiem tedy fortepian wjechał jednego wieczora na pierwsze piętro i nazajutrz, (bo to się zawsze robiło jak najoszczędniej), wynaleziono jakiegoś żydka muzyka—przyszłe cudo, mające nie długo objeżdżać Europę i Azyę szukając pieniędzy w klawiszach, a tymczasem dawało lekcyę po dwa złote za godzinę—i instalowano go jako metra muzyki.

Hersz podjął się taniego i przyzwoitego wyszukać nauczyciela francuszczyzny, i pochodziwszy po głowie, zaproponował to miejsce Szarskiemu, spodziewając się go dobrze obedrzeć przy tój zručności.

Wieczorem, tegoż dnia, szli już na ulicę Niemiecką, a żydek ciągle dawał nauki swemu protegowanemu.

— Niech tylko jegomość uważa, mówił, trzeba naprzód prosić po pół rubla za godzinę, choć to i po dwa złote bardzo wiele! Oni bogaci, to zapłacą... ale czterdzieści groszy będzie dla mnie.

— Jak to? od godziny?

— Nu! a jużciż! a jakżeż! zawołał żydek — albo to ja nie nastreczam! albowy to panicz sam tu trafił? a to sześć godzin w tydzień, to dwanaście złotych, co, to jeszcze mało? czterdzieści ośm na miesiąc, czterysta ośmdziesiąt na dziesięć miesięcy, siedmdziesiąt dwa rubli! a wej! Samemu jednemu czy to z tego żyć nie można?

— Ale zlitujże się Hersz, zawołał w pół śmiejąc się, wpół smutnie przyszły nauczyciel francuzkiego języka — godziż ci się tak mnie odzierać?

— Co to obdzierać? jak to obdzierać? paniczu? panicyku? jegomość! *auf Nemunes*, kto inny dałby mnie po dwa złote, a to ja tylko dla was robię!

Stanisław oburzony już się chciał cofnąć i uciekać, gdy znowu na myśl mu przyszło, że był ciężarem

towarzyszom, że pracować musi na siebie a pracy znaleźć nie łatwo, westchnął więc i poszedł za przewodnikiem. Żyda czy sumienie tknęło, czy się niepokoił milczeniem Stanisława, i już w bramie stanawszy, rzekł:

— Ot tak! *auf Nemunes*, odstępuję — po złotemu tylko dla mnie, żebyś panicz wiedział co Hersz... ale słowo!

— Wiesz, zem nigdy nie zawiódł nikogo, odparł Stanisław, ze smutkiem wchodząc na ciemne i brudne wschodki. Hersz żywo pobiegł przodem.

Wdrapawszy się omackiem po ciasnych i niewygodnych stopniach na górę i omacawszy drzwi, gdy Szarski spodziewał się wniknąć do zwykłej niechlujnej izby żydowskiej, znalazł się nagle w saloniku, którego wytworność tem więcej go uderzyła, że wcale czego innego wyglądał.

Był to pokój obszerny, z dwoma oknami od ulicy, przystrojonymi w ciężkie z jedwabnej materyi firanki z brązowymi ozdobami; posadzkę miał woskowaną, meble rzeźbione z brązem, materyą wybite wzorzystą i pyszny żyrandol złożony, obwieszony szkiełkami szlifowanymi, wielkie piano mahoniowe i dywan, który pół prawie salonu zajmował. Po kątach stały dwie szafy ze szkłem, jedyne może przypomnienia gustu izraelskiego, w których nie bardzo smakowne, ale w mnogiej liczbie ułożone były na widoku srebra

stare i nowe, pamiątki wesel, szczątki wypraw i przepadłe może zastawy.

Były tam misy, dzbany, imbryki, tace, lichtarze, zbierana drużyna różnego pochodzenia i smaku, tak poustawiane, żeby gość jednym rzutem oka mógł kapitał ten leżący bez procentu ocenić i z niego wnieść o bogactwie gospodarza.

Pomimo elegancji salonu, powietrze w nim było zatęchłe, a nie zmiatany kurz szary, zdawna okrywał wszystkie sprzęty; znać było, że tu niekiedy przychodzono, ale nikt stale nie mieszkał.

Gdy nasz akademik pozostawiony sam na sam ze srebrami, ciekawie się po paradnej kupca komnacie rozglądał, Hersz poleciał tymczasem do dalszych pokojów i zniknął. Długą chwilę miał czas Szarski przypatrzeć się bogactwom Dawidowym i podziwiać ten przepych niepotrzebny, już rodzącą się objawiający próżnostkę; nareszcie dał się słyszeć chód poważny bótów skrzypiących, za nim ciche stąpanie kobięcych trzewików, za temi kłapanie chodaków Hersza, dobrze znajome uszom Szarskiego i naprzód Dawid Abramson Białostocki w paradnym szlafroku, potem żona jego w sukni floransowej i chustce bagdadzkiej, na końcu faktor w łapserdaku, weszli do salonu, w którym stał jak na mękach akademik.

Kupiec, (oddajmy mu należną sprawiedliwość), dotknął ręką jarmułki, co było z jego strony niepospo-



litą grzecznością względem kogoś, mającego mu się najmować na godziny, jękność ani kiwnąwszy głową wlepiła tylko oczy w przybylca i skrzywiła się widząc nauczyciela tak młodym, poczynając zaraz łajać Hersza za wybor niestosowny.

Hersz jął się tłumaczyć ogniście; rozmowa żydowska całkiem niezrozumiała dla Szarskiego, zaprzątęła wszystkich, bo i Dawid się wmięszał do niej, rodzice jednak nie przekonali faktora i po chwili już mrużąc tylko, zwolnili jakoś, grzeczniej się zwróciwszy do przyszłego nauczyciela. Tu sama jękność wzięła na się rolę czynną, przystąpiła bardzo blisko, popatrzyła się, obejrzała go od stóp do głowy i począła pytać z niejaką dumą, która zakrawała na wzgardę.

— Waćpan-że umiesz po francuzku?

— Umiem tyle, że uczyć mogę...

— A gdzie się waćpan uczył?

— W domu i w szkołach.

— Co to waść za jeden? obywatelskie dziecko? co?

— Syn sędziego! syn sędziego, z ..... powiatu!— przerwał faktor, wtrącając się do rozmowy i dodając coś niezrozumiałego po żydowsku, czego przy Stasiu nie chciał inaczej powiedzieć.

Oboje państwo poczęli dumać, niekiedy ruszając ramionami.



—Nu! nu! to dobrze, począł Dawid poprawując jarmużkę i z kolei poczynając traktowanie—Wasan możesz dawać naszej córce lekcyje francuzkiego języka?

—Dla tego tu przyszedł żeby się o to, jeśli będzie można, ułożyć.

—To jest bardzo delikatne dziecko! dodała śpiesznie kupcowa... trzeba żeby to wasan pamiętał! bardzo delikatne dziecko! z nią trzeba jak z jeneralską córką się obchodzić.

Staś ruszył tylko ramionami.

—Nu, co to długo gadać... metr muzyki bierze po pięćdziesiąt groszy godzinę, a my wasanu jako obywatelskiemu dziecku, damy już po dwa złote.

Szarski zaczerwienił się niezmiernie, wziął czapkę i nic nie mówiąc chciał już odchodzić. Dawid go złapał za rękę.

—Co to jest? dla czego pan idzie?

—Dla tego, rzekł, że za taką cenę zgodzić się nie mogę.

—Czemu nie mogę? dla czego nie mogę?—spyтали oboje—to jeszcze zła cena? a na fortepianie mamy godzinę za te pieniądze?

Hersz napróżno dawał znaki Szarskiemu ażeby milczał, akademik ich nie widział, a dotknięty do żywego, jak najprędzej chcąc się wyrwać od żydów, nie miał już powodu z niczem się kryć przed nie-

mi. Było to w charakterze jego że się taić nie potrafił.

— Panie kupiec, rzekł z pewną dumą podnosząc głowę— nie dawałbym ani tych, ani żadnych innych lekcyj, gdyby mnie niespodziany wypadek nie pozbawił sposobu do utrzymania... muszę szukać kawałka chleba, ale darmo pracować nie mogę.

— Jak to darmo? co to darmo?

— Tak jak darmo, bo Hersz weźmie mi połowę tego nędznego zarobku, za to, że go nastreczył.

Faktor aż się schwycił za głowę, Dawid spojrział na niego groźnie, ale żyd na chwilę tylko zmięszany, wnet odzyskał przytomność i żywo szwargocząc począł się tłumaczyć. Rozprawa ta gorętszą jeszcze była od pierwszej i daleko dłuższą; po czém mrużąc zwrócił się kupiec i kupcowa do Stanisława.

— To gałgan!— rzekł Dawid z pogardą, wy jemu więcej jak dziesięć groszy od nastreczenia dać nie powinniście, choćby poszło na sąd rabina, wygracie pewnie...

— Ale słowo moje!

— *Herszt!* słowo! spytała kupcowa— co to jest?

Dawid rozśmiał się tylko, i znowu począł traktować z żydem, a po chwili stanęła nareszcie ugoda, skutkiem której studentowi zostawało dwa złote od godziny, faktora zaś sam kupiec wziął na siebie.

Po najściślejszym obrachunku spodziewanych przychodów, pokazało się, że z zapracowanego grosza, Stanisław ledwie będzie mógł nadal opłacić stół, a na mieszkanie, suknie i obówie nie mu prawie nie pozostanie. Pomiarkował więc, że trzeba będzie wyrzec się jakkolwiek nędznego wiktury pana Horyłki składającego się z kawy, obiadu i wieczerzy, a poprzestać na skromniejszém utrzymaniu z pomocą bułek i taniój jakiej garkuchni. Ale jak mieszkając z towarzyszami usunąć się od podziału chleba powszedniego z niemi, na któryby zapraszać go musieli, choćby zań nie płacił? jak znowu żyć cudzém i być dla nich ciężarem?

Staś obmyślał długo, rachował, biedził się i postanowił poszukać nowego mieszkania, aby być zupełnie swobodnym i panem siebie. Hersz naturalnie zaraz się podjął wyszukać coś niezmiernie taniego a dogodnego i poleciał na miasto. Nazajutrz zdyszany przyniósł wiadomość, że w kamienicy Dawida Białostockiego była izdebka na tyle na strychach, którą kupiec nauczycielowi swój córki oddawał za trzy ruble miesięcznie. Było to nadspodziewanie tanio, a choć miejsce niedogodne, Stanisław poszedł ze swym przewodnikiem izdebkę zobaczyć. Przebywszy trzy piętra wschodów i galerye od dziedzińca, wdrapali się na rodzaj stromój drabinki ku strychowi i w ciemnym poddaszu, znaleźli wreszcie kłótkę bardzo ma-

lutką, widocznie od dawna pustką stojącą, w której ani stołu, ani stołka, ani nawet szyb połowy w niezamkniętym okienku nie było. Mieszkanie to niewygodne, smutne, ciasne, ściśle jednak biorąc wystarczyć mogło temu, któremu aby dach nad głową, aby spokój, wszędzie być mogło dobrze. Hersz, który się już gotował dowodzić, że izdebka była śliczna i gotowa dla kawalera, zdziwił się przekonawszy, że nie potrzebuje namawiać, gdy Staś poprosił go tylko o stół, ławę, tapczanik i naprawę okienka.

— Nu! nu! wszystko to będzie, rzekł żyd szparoko—już ja tu wyporządzę *fein*, ale panicz niech o mnie nie zapomni, bo i na tych lekcyach mnie skrzywdzili!! westchnął — Takiego mieszkania co tu bedel nawet nie zajdzie i nie trafi, na całe Wilno nie znaleźć!...

— Ale mnie samemu nie łatwo trafić tu będzie!— rzekł uśmiechając się Szarski.

— *A waj! auf nemunes* — sto lat jegomości! pan wszędzie trafi! pan szczęśliwy człowiek! panu idzie każda rzecz! I ścisnął go za łokieć.

Staś wesoło się jakoś rozśmiał, choć na sercu ciężki czuł smutek, ale żyd pocieszać go począł po swojemu.

Teraz pozostawało najtrudniejsze do dokonania — oznajmienie towarzyszom o nowym mieszkaniu, podziękowanie im za pomoc i wyniesienie się na to

smutne, dalekie, ale własne poddasze. Kilka już razy próbował o tém mówić Szarski, ale mu brakło odwagi. Drugiego czy trzeciego dnia począł się powoli pakować, chciał uciec od nich i nie przyznać się aż opuściwszy mieszkanie, ale baczne oko Szczerby dostrzegło przygotowań i wstrzymał Stasia za rękę w chwili gdy lichą swoją gromadził już pościatkę.

— Co to jest? zapytał go.

Zmieszany Szarski wyjąknął niewyraźnie:

— Przenoszę się na nowe mieszkanie.

— Dokąd? jakie? rzekł Szczerba — czemużeś mi nie mówił o tém? na co się taisz? Musisz robić głupstwo jakies przyjacielu! Bądź ze mną szczerzy! bądź szczerzy!

Staś rzucił mu się na szyję.

— Słuchaj, rzekł, ale się nie sprzeciwiaj; tyś młody i czuć to powinienes jak drogo kosztuje żyć łaską choćby najlepszego przyjaciela — Hersz nastęczył mi lekye...

— Hersz ci nastęczył!! a toż co znowu? chyba u żyda?

— Właśnie u żyda, rzekł Staś po cichu — i u żyda mieszkanie.

— I tyś to przyjął?

— Bez wahania; wolę to, niż żyć cudzém i z łaski.

— U żydów! u żydów!

— A! przesąd! rzekł Stanisław.



— Po części przesąd, po części wstręt nie bez przyczyny, który jest tylko chlebem oddanym za ich ku nam nienawiść! Zważ ile cię tam czeka upokorzeń i nędzy!

— O! drogi mój! cateż życie nie jestli dla mnie pełne tych samych przeznaczeń! zawołał młody człowiek, czując łzy zwilżające mu oczy — nie dolaż to moja, nie los-że to każdego z moich towarzyszków na roli, na której *pot siejem, a łzy zbieramy!* Wiem ja co mnie czeka, a bylebym miał trochę spokoju, wśród ubogich ścian czterech, które okolą marzenia moje, nieznane nikomu serca bicie i pokryją głowę zboląłą — czyż nie dosyć? Nie dosyć-że kawałka chleba, żeby wyżyło ciało, żeby się trzymała lepianka dopóki gość w niej mieszka, gość z nieba święty i wielki, duch co nas młodych ożywia?! Ty się obawiasz żydów dla mnie? a cały świat nie będziez mnie tém karmił całe życie co oni? pogardą? niezrozumieniem, zapoznaniem? a w najlepszym razie litością dumną i chłodną?

Szczerba potarł czoło i westchnął, nie wiedząc co odpowiedzieć na to, uczuł się głęboko wzruszonym.

— Rób co chcesz, rzekł z cicha — ale daj mi rękę i słowo Stanisławie, że będziemy zawsze z sobą jak brat z bratem, jak dziś jesteśmy, że nie minie dzień byśmy nie widzieli się z sobą, że w razie potrzeby wprost uciekniesz się do mnie... No... słowo i ręką!

—I rękę masz moję i serce na zawsze! zawołał Stanisław — na zawsze Pawle kochany; możesz-że ty wątpić o tém?

Nadeszli drudzy i rozmowa poczęta przerwała się przechodząc na nowinyienne, na spory naukowe, na te żywe wreszcie rozprawy o najszczytniejszych przedmiotach, do których młodzież tak jest skora, na które się rzuca zuchwale więcej zgadując sercem, niż rozwiązując głową wiekuiste przeznaczeń tajniki.

O! w młodości to tylko całe wieczory i noce spędzają się na nierozwikłanych o nieśmiertelności, o duszy, o celu człowieka i obowiązkach jego rozprawach; później myśl strwożona, co się na nie zuchwale targać i starała na nich zęby, już nie śmie dotknąć tych wielkich przedmiotów, jakieś zubożenie opamowuje człowieka, i woli świat i ludzi, drobnostki codzienne, plotkę uliczną niż wznioślejsze myśli, w których dawniej umiłowal był sobie. Zasiedli wszyscy i medycy i literaci i prawnicy i kandydaci do sukni duchownej, razem przy cienkiej z mlékiem herbacie i fajkach, do niewygadanych marzeń, które ich aż za północną zawiodły godzinę.

Czego tam nie dotknięto? co się tam nie ozwało w tém pasmie tysiąco-kolorowych pomysłów? Któż spisie ile błysnęło prawd wśród tumanów, którei młodość osłaniała nagie rzeczywistości światy?

—Ha! rzekł nareszcie wstając Szczerba, dość tego na dziś panowie—jutro rano wstać potrzeba, a Stanisław nas żegna.

—Jak to? co to ma znaczyć?—zawołano zewsząd, Stanisławie? dokądże to ruszasz? na wyspę Madagaskar królować, czy zdobywać Indye?

—Po prostu na strych do żyda! rzekł spokojnie literat—natchnienie przychodzi najłatwiej na miejscach górzystych, to rzecz dowiedziona; na trzecim więc piętrze czy wyżej podobno jeszcze, pocznę poemat mój o Chrobrym, dramat o Auguście i historię szlachty polskiej!!

Nazajutrz rano, szczupły węzełek manatków Stanisława, wzięwszy pod pachę Hersz zaniósł go na Niemiecką ulicę, gdzie nadspodziewanie okno zastali wyłatane, zydel, tapczan, jedno krzesło stare i stoliczek trochę kulawy, wypalony od węgla, brudny, ale dość obszerny na pomieszczenie książek i papierów studenta.

Staś rozglądał się w swojej smutnej jak więzienie ciupce, chciał spojrzeć przez szyby, ale z nich wychyliwszy się nawet przez pół, nie zobaczył prócz kawałka dachu pokrytego starą dziwnych kolorów dachówką i jednego poważnego komina, który się nad nim majestatycznie podnosił zdając się wzbijać ku niebu... Wyglądało tam jeszcze i okienko stry-

chowe, otwarte, wybite, puste, jak paszcza czarna ziewające wiekuistemi nudami. Widok był wcale nie wesoły, a wróbel i jaskółka nawet nie ożywiły go na chwilę.

Z okna spójrzał Staś na ściany polepione papierem, na podłogę z nierównych kilku desek złożoną, na piecyk popękany więcej z zimna może, niż z przepalenia, bo ani drzwiczek w nim, ani zamknięcia nie było, na garść słomy na której miał zasnąć w osamotnieniu; westchnął, ale nie dając się pochwyć smutkom, począł zaraz zajmować się gospodarstwem swoim. Nastąpiła z Herszem narada, a Staś aż się za głowę pochwyił rachując co mu tu jeszcze do pierwotnych potrzeb brakowało! Świec, lichtarza, dzbanka, miednicy—wszystko kupować musiał... a tu resztę złotych przepił nieszczęsny Falszewicz. Usłużny żydek wszakże podjął się tych sprawunków na kredyt, nie bez obwarowania sobie słusznie należących procentów.

Zamknawszy pierwszy raz mieszkanie swoje, poleciał uczeń na prelekcyę, pełną mając głowę gospodarstwa, przemyślając jak ją urządzi.

W samej bramie spotkali się z Bazylewiczem, który za katy teraz inaczej wyglądał, niż gdy się pierwszy raz w karczemce z sobą spotkali. Znać na nim było, że niedostatku nie cierpiał. Nowy, wcale pięknie zrobiony surducik, płaszcz z karmazynową mo-



dną kraciastą podszewką, rękawiczki glansowane, dawały mu pozor eleganta, a tak był rad z siebie i dumny sobą, że aż zdrowo było popatrzeć na niego. Zwrócił oczy na Stanisława zbladłego, schudzonego, zmienionego do niepoznania, i raczył się zbliżyć ku niemu.

— No? jak się masz, co mi to tak licho wyglądasz?

— Żyję — odparł Stanisław.

— Ale jak ci się powodzi?

— Powinienbyś poznać po twarzy.

— Cóż? źle! E! toś sam sobie winien bratku! Jużbym ci teraz nie radził literatury! Tu geniusze tylko *jak ja*, i ludzie ducha tęgiego, co wszędzie i w każdym położeniu dają sobie radę, wskórać coś mogą — tobie brak siły... tak że wątpię nawet o talencie.

— Nigdy i ja w swój talent nie wierzył — rzekł chłodno Stanisław.

— No! to szkoda żeś porzucił medycynę, tamtaby ci przynajmniej lekki chleb dać mogła.

Stanisław zamilkł ugodzony w serce, i nic nie mówiąc więcej weszli razem na salę. Profesora nie było jeszcze, a Bazylewicz wleciał zwycięzko, ręce podając na wszystkie strony witającym go towarzyszom. Po chwili odwrócił się do Szarskiego jakby coś sobie przypomniął.

— Słuchaj - no, rzekł — ty tam coś ciągle piszesz?



No! trafia ci się zręczność popisać z tém co napisałeś (dodał uśmiechając się z tej mizernej gry wyrazów); przyjaciel mój, professor Hipolit... wydaje Noworocznik—pocziwy człowiek wzywa do niego wszystkich i najmłodszych pracowników bez wyjątku. Masz pole... przyślij mi lukubracye swoje, ja je rozpatrzę... i zobaczymy... może się co da umieścić.

Jakkolwiek wezwanie to wcale nie miało formy pochlebnej, Szarski rad mu był w duszy, wdzięczny że go za coś liczone, i całą godzinę przemyślał co posłać może professorowi do Noworocznika. Ale gdy przyszło wybor uczynić, wszystko zdało mu się tak słabém w obec tego co czuł że mógłby napisać gdyby umiał, każdą rzecz tak widział uiegodną ludzi i druku, że w końcu prawie zrozpaczył o sobie i nie miał odwagi wyrywać z niedojrzałą pracą. Chciało mu się wszakże obok drugich wystąpić, chciał wiedzieć co ludzie o nim powiedzą, jakie też zrobi i czy uczyni wrażenie, a strach go ogarniał myśląc, że każdy sądzić będzie z tego co przeczyta, nie z tego co miał w duszy gdy pisał. Tak zaprzątiony i niespokojny powrócił do swojej izdebki, a gdy nadeszła godzina lekcyi, z ciężkiem westchnieniem zbiegł na dół do mieszkania kupca.

W sali już znalazł panią kupcową usadowioną na kanapie, podpartą na ręku i zadumaną. Dawid przechadzał się także w szlafroku, pantoflach, z cygarem

w ustach. Oboje ledwie skinęli głowami akademikowi, a matka wstała żeby zawołać córki. Stanisław tymczasem rozkładał książki, przygotowywał papier niepokojąc się uczennicą i nauką. W tém na szelest sukni we drzwiach, podniósł głowę, spójrzał i zdziwiony stanął wryty.

Tak uderzającej piękności nie widział jeszcze w swém życiu.

Sara weszła majestatyczna, spokojna, bez zarumienienia, bez obawy, śmiało czarne swe potężne wejrzenie zwracając na młodego chłopaka, który uczył się niém wzruszony do głębi. Dziewcze ubrane było dosyć wykwintnie, a nie w ubiorze jego nie zdradzało żydówki. Dwie ogromne kosy czarnych kruczych włosów spadające na plecy, jeszcze jój dodawały wdzięku. Pozdrowiła nauczyciela i gdy przemówił rozpoczynając, utopiła w nim oczy tak bystre i ciekawe, że cała trudność jaką się spodziewał znaleźć znikła; uczył że ma przed sobą istotę nie powszednią, nie proste dziecię wygnanego i skarłałego plemienia — ale kwiat wybrany szczęśliwie ręką losu, w którym odbiły się barwy i wdzięk zaginionej epoki i umarłego żywota.

Sara słuchała go tak, że każde słowo jego odbijało się w jój oczach pojęte i przyswojone, nie rumieniąc się, nie lękając nawet swój niewiadomości, w prostocie ducha odważnie mu odpowiadając na zapyta-

nia, trochę złamanym językiem, ale mową pełną uroczych dźwięków i jak śpiew melodyjną. Bo w mowie każdego człowieka leży spowity śpiew, a ucho badacza rozeznac może i ton jego i muzykalność duszy która go wydaje. W godzinach wielkiego wzruszenia przez szelest wyrazów, coraz żywiej słyszeć można tę pieśń spoczywającą pod niemi; w godzinach smutku i w krzyku rospaczy, w jęku bóleści już się dobywa na zewnątrz z piersi ta muzyka duszy, której codzienna rozmowa jest osłabioném odbiciem. U ludów pierwotnych, u gminu, lada trochę żywsze uczucie zmienia mowę cichą w pieśń, jaka się daje słyszeć u pogrzebów (zawodzenie) zmieszaną z płaczem, u wesel i biesiad każdy wykrzyk ma intonację piosenki. Dźwięk głosu, jak wszelki objaw zewnętrzny nie jest bez znaczenia, a w człowieku niepracującym nad sobą, nieposiadającym siebie i nieodgrywającym uczono komedyi życia, odkrywa głębią duszy, jak rysy twarzy, jak ruchy, jak wszystko przez co się całej istoty jego treść przeciska.

Stanisław nie zdawał sobie sprawy z głosu, który tak mile brzmiał w uszach jego, ale uczył go na sercu, i zdziwił się, że w nim obudził niespodziewaną sympatyę.

Godzina zbiegła chwilą, uczeń uciekł do swojej izdebki i zdumiał się nie wiedząc z kąd przyniósłszy z sobą wspomnienie Adeli. Tak dotknięcie jednej stró-

ny, drugie do drgania pobudza... Chwile spędzone z nią w Mruczyńcach, żywiój niż kiedy stanęły przed nim, rozmowy, marzenia, przysięgi, nadzieje... do- był zeschnięty kwiat niezapominajki z piersi, i zapytał go po cichu:

— Gdzie twój braciszek? czy rozgrzewa go jeszcze bicie jej serca? czy już leży zapomniany?

Zadumał się, zadumał długo, chwila po chwili prze- żywając nanowo, wszystkie pamiętne godziny spę- dzone z Adelą, a gdy schował kwiat zeschnięty, gdy się po długich rozmyślaniach opamiętał — postrzegł, że pozna już noc była.

Rozsypane po stoliku papiery, przypomniały mu ów Noworocznik i wezwanie Bazylewicza, noc roz- gorączkowała go nieco i siadł z mocnym postanowie- niem stworzenia czegoś cudnego na występ swój w literackim świecie.

---

Nazajutrz, gdy chód Hersza obudził uspiętego je- szcze i znużonego Stanisława, była już godzina dzie- wiąta i ledwie mu pozostała chwila na ubranie, by nie opuścić prelekcyi Capellego. Ale na stoliku przed nim leżał gotowy jeden rozdział powieści, dwa wier- sze i jedno tłumaczenie Goethego, przepisane do No- worocznika. Czuł Staś, że wszystko to z gorącym pisał natchnieniem, które mu pracę ozłacało; jakże



się zdziwił, gdy wzięwszy w rękę wczorajsze arcydzieła, znalazł je teraz tak blade, tak zimne, tak nieforemne, że zedrzeć i spalić porywała go ochota. Pamiętał jeszcze obrazy które w rozpalonej głowie snuły się wczoraj, a obok nich te bezsilne odbicia, ledwie były zamglonym cieniem.

Z rozpaczą prawie rzucił papiery i postanowiwszy powrócić do nich jeszcze, pobiegł co prędzej by nie opuścić godziny. Ale wśród lekcyi, obraz Adeli, czarne oczy pięknej Sary i cudne brzmienia poezyj Goethego i własne jego pomysły przesuwwały się przed nim, migały pomiędzy nim a nauczycielem, tak że nie słyszeć, nie widzieć nie mógł prócz nich. Ręka machinalnie prawie chwytiała i zapisywała słowa, ale myśl nie wiedziała o nich; sprawy z nich sobie nie zdając. Zapytywany, drażniony przez towarzyszków, tak był zaprzątyniony dwoisto, że im nie odpowiadał, a po upływie godziny, równie machinalnie jak przyszedł tutaj, przeniósł się do innej sali.

Trwało to dzień cały prawie, głód zaspokoił bułką i szklanką kawy, poleciał na strych i znowu wziął się do swoich papierów. Pracę przerwała tylko godzina lekcyi, równie szybko przelatującej jak wczorajsza. Zamknął się i podbudzony głodem duszy, niecierpliwością, żądzą przemówienia do serc tych co go jeszcze nie znali, raz pierwszy dokonał kilka ułamków, które mu się zdały znośne.



Dalekim był od rozmyślowania się w nich, jak Bazylewicz w tém co mozolnie kleił bez natchnienia, na zimno, pewien zawsze będąc, że nic złego zrobić nie może; uczuł jednak, że w tej dobie życia nie potrafi już lepiej i może dozwolić się ludziom sądzić z tej próby.

Natychmiast więc zebrał co mu się zdało lepsze, odrzucając jeszcze to o czém zwątpił w chwili stanowczej i przez oczekującego żyda, wprost przy liście przesał pierwszą pracę wydawcy Noworocznika.

Professor Hipolit był mu całkiem nieznanym, ale słyszał o nim od towarzyszków. Młody ten człowiek, niedawno kandydat jeszcze w pedagogicznym instytucie, dziś nauczyciel literatury starożytnej w szkołach — dał się dopiero poznać pracą z jaką rzadko kto występuje w początkach, uczonym ale pełnym życia komentarzem nad poezjami Stanisława Trembeckiego. Dzieło to nie mogło mieć i nie miało rozgłosu w sferach towarzystwa zajętych czytaniem łatwém, gdzie zaledwie o niém wieść doszła, ale zjednało mu szacunek u ludzi ceniących głębszą naukę i miłujących poezję jędrną śpiewaka Sofijówki, którzy, gdyby nie dwór, gdyby nie życie pasożyta i szambelana, gdyby nie wiek XVIII, gdyby nie wczesne zużycie, mógł być jednym z największych poetów, jakimi się chlubi literatura nasza. Professor Hipolit rzucił tę książkę, chcąc przez nią powiedzieć:—

Oto co mogę, oto co umiem! Ale zarazem widząc jak głodne rzesze wyglądały pokarmu, jak ogół pragnął stawy którąby pożywać umiał, przeczuwając że wychowanie literackie czytających począć się musi od ksiąg pod formą lżejszą wiodących do myśli i pojęć surowszych o sztuce; przedsięwziął zebrać w jedną wiązkę wszystkie natchnienia młodzieży, wszystkie utwory swoje i rówiesników, wszystkie śpiewy w których tętniała tęsknota wieku i wyrwały się uczucia jego. Tą powodowany myślą, gromadził do swego Noworocznika kłosa po polu z niezmordowaną gorliwością, nie wahając się schylać po nie i do tych, którymby inny pogardził jako niedorośliwymi dziećmi. I w dzieciach czasem mówi proroczo przyszłość.

Staś więc ufny w przeczucie swoje, które mu mówiło o nieznanym do ucha, budząc jakąś nadzieję, minął ofiarowane pośrednictwo Bazylewicz i śmiało mu się sam narzucił, czekając z bijącym sercem wyroku, który dla niego miał być stanowczy.

Czy go ośmieli i popchnie dalej tą drogą, czy zrazi i wleje wątpliwość?

Kilka dni zbiegły w niepokoju i najsprzeczniejszych przypuszczeniach, które coraz chmurniejszą przybierały barwę, gdy jednego wieczora, siedząc na swym łóżeczku, usłyszał chód niezwykły kogoś widocznie zbłąkanego na poddaszu. Otworzył drzwi, sądząc że poczciwy Szczerba przyszedł go odwiedzić, ale twarz

zupełnie mu nieznana, ukazała się z głębi ciemności i głos wesoły spytał o niego po nazwisku.

Przybyły, był to człowiek w samym kwiecie młodości, a dwoje czarnych niewielkich gorących oczu, dawały twarzy jego wyraz życia silny i wybitny. Czarny włos w obfitych puklach zwijał się nad czołem pofałdowanem wczesnie myślą i pracą, ale usta śmiały się jeszcze weselem młodzieńczem i nieopatrzoną młodości nadzieją. Ubiór wskazywał w nim nauczyciela.

Nie kto inny to był, tylko poczciwy professor Hipolit, który przeczytawszy nadesłane mu poezye i ułamki prozy, póty się dowiadywał i szperał, aż wyszukał mieszkanie młodego pracownika. Trudno wypowiedzieć, jakim uczuciem wdzięczności zabiło serce Szarskiego, na widok pełnej dobrotliwości i sympatyj, ciepłej dłoni człowieka, który mógł nim pogardzić, mógł go lekce ważyć, a pragnął podnieść i zachęcić, nie wahając się pierwszy wyciągnąć doń dłoń przyjazną.

Professor wszedł wesoło, żartując ze swęj pielgrzymki na Niemiecką ulicę i błąkania się po żydowskim strychu, obejrzał izdebkę nędzną, okiem policzył sprzęty ubogie, domyślił się biedy studenta i serce mu się widać ścisnęło na widok doli, której sam doznał może szczęśliwie ją już przebywszy. Przypomniały mu się zapewne dziecinne lata w niedostat-

ku spędzone, bo los go uczynił sierotą i wytrwaniu winien był że nie upadł na progu życia.

— Czytałem coś mi pan przysłał,— rzekł siadając na jedyném krzeselku i biorąc rękę młodego chłopca w swe dłonie,— czytałem, cieszyłem się serdecznie; witam w panu poetę, witam pisarza i przyszedłem z uściskiem braterskim przynieść mu słowo otuchy, którego wiem niestety potrzebę i znaczenie, bo mi go zawsze brakło, bom na ten brak przeboleał sro-dze! Wszystko coś mi dał umieszczę w Noworoczniku—dasz się poznać... pójdziemy dalej... ale wy-spowiadaj się pan trochę przedemną...

Spowiedź poszła łatwo przed człowiekiem, który współczuciem obudzał ufność i wywoływał wdzięczność; Stanisław wypowiedział mu z ochotą i życie i myśli i pragnienia i obawy i nędzę nawet swoją, którą jak ranę wstydliwą przed drugimi ukrywał.

Professor Hipolit zasłuchał się smętnie, ale pod koniec znowu mu się twarz rozpromieniła bo długo nie umiał być jeszcze smutnym, choć wesołość nawet miał poważną i jakimś pięknym tchnącą spokojem.

— Stare to dzieje, rzekł powoli— znana historia od której się zawsze poczyna wszelkie życie pracownika na polu myśli. Któż nie cierpiał, nie bojował, nie walczył, nie padał, nie podnosił się, i za każdym dotknięciem ziemi jak Anteusz sił nie nabierał nowych? Jeżeli w tobie tleje święty ogień zesańca,



który gwiazdę wiodącą go do celu widzi dzień i noc przed sobą, jeśli nie przypadek i chwilowa gorączka ale powołanie słowa Bożego prowadzi cię na bolesci dla pożytku ludzi, którzy zapoznać i zdeptać cię mogą—przetrawisz wszystko, przebolejesz nieprzebolane, zmartwychwstaniesz zabity szyderstwem i oplwany pogardą, pójdiesz i pójdiesz a nic cię nie strzyma... Kto wie? może z wielkich wysiłków twoich tylko jedna kropla potu będzie nasionkiem dla przyszłości, może z ogromu zabójczej pracy, jedno tylko słowo zostanie żywem na wieki, a reszta marnie się w proch rozsypie, ale czyż człowiek sobie żyje nie ludzkości i swój wielkiej rodzinie??

Mówił tak długo, długo i oko mu pałało, a z ust jego w serce Szarskiego przelewały się myśli zbawienne, któremi jaśniej spójrzyał w przyszłość. Z ciasnego pojęcia pracy dla osobistej sławy, przeszedł do idei wyższej, pracy zapierającej się siebie, poświęcającej wszystko nawet sławę swą dla dobra ogółu... uczuwał się namaszczonego na męczeństwo.

Powoli professor zniżył głos i dla ośmielenia młodego chłopca, którego bojaźliwość już był poznał, coraz poufalszym się stawał; rozmawiali długo, śmieli się, żartowali, a gdy przyszło odchodzić, schwycił znowu za rękę Szarskiego, ze szczerem uczuciem.

— Sam byłem ubogi, rzekł ciszej— przebyłem wiele, znam co to młodość z ciężarem niedostatku na



piersi... nie obrażaj się jeśli ci pomódz zapagnę... trochę, niewiele... ile podołam. Przyjm ten grosz wdowi odemuie.

Szarski stanął cały w płomieniach, ale professor nie dał mu rzec słowa.

— Nie myśl naprzód, że ja ci dar jaki robię .. na Noworoczniku mam zysk czysty, słuszna żebym go ze współpracownikami memi podzielił. Zresztą, zechcesz, to mi to kiedyś oddasz, ale dziś gniewać się będę jeśli nie przyjmiesz.

To mówiąc porwał kapelusz i szybko się wysunął, nie dając nawet podziękować sobie za to co na stoliku zostawił.

Więcej nad wszystko co go dotąd spotkało, współczucie profesora Hipolita przyczyniło się do wyróżnienia Szarskiego wśród młodzieży literackiego oddziału. Ten i ów czytał u niego nadesłane do Noworocznika poezye, słyszał o nich od nauczyciela, którego zdaniu wierzono, dowiedziano się, że będą drukowane w Noworoczniku; podbudziło to ciekawość, zjednało trochę szacunku, zwróciło oczy obojętnych, co na twarzy i w postaci młodego chłopca nic się dotąd nie dopatrzyli.

Nawet Bazylewicz po kilku dniach przyszedł raz na lekcyi ścisnąć rękę Szarskiego, i choć nie stracił

względem niego swego dumnego tonu, jakoś się grzeczniejnym okazał.

— A co? rzekł z uśmiechem, mówił mi Hipolit, że cię będzie drukować, wziął tam i moje niektóre rzeczy—wystąpimy razem! jakeśmy tu razem przybyli. Cóż cię to nigdzie nie widać? Czemu nie odwiedzasz ani mnie ani towarzyszków? nigdy cię nie spotykam na przechadzce? Poecie potrzeba widoku świata i ludzi, powietrza, drzew, zieloności i przedmiotów z których sączy się natchnienie jak z brzozy soki wiosenne?

— Natchnienie przychodzi mi i na strychu, gdy je Bóg chce zesaść, rzekł Stanisław—a tak mało mam czasu, a taki ogrom pracy przed sobą, że chyba gdy już głowa pęka i ze znużenia padam, wybiegnę się trochę orzeźwić...

— Śmieją się z ciebie, dodał Bazylewicz, że dajesz lekcye żydom? czyż to prawda?

— Nie będę się zapierał, ośmielając się rzekł Szarski, nie byłem jak ty szczęśliwy i nie mogłem sobie znaleźć innego miejsca; pracuję u żydów!

— Przecież musisz wiedzieć, śmiejąc się dorzucił Bazylewicz, że wszystkie nawet prowincjonalne Synody zabraniają chrześcijanom iść na usługi niewiernym...

Na tém wnijscie profesora przerwało rozmowę, a dnia tego nie spotkali się już więcej; natomiast

Szczerba, Żryłto, Mszyński pochwycili po godzinie dawnego towarzysza w dziedzińcu i poczęli mu z serca winszować, że się jakoś potrafił dać poznać, prorokując mu już najświetniejszą przyszłość.

Staś uśmiechał się smutnie, ale nie mogąc się oprzeć pocziwym ich naleganiom, choć czasu miał mało, dał się im pociągnąć na dawną swoją kwaterę, na ulicę Trocką i kilka godzin przebył na wspomnieniach szkolnych i akademickiej wesolej gawędzie.

Dopiero godzina lekcyj Sary, zmusiła go powrócić na ulicę Niemiecką. Nie opuszczał on ich nigdy, bo mu zamiast przewidywanych przykrości, dziwną jakąś robiły przyjemność. Dziewcze było jeszcze wpół dzieciną, uspioną pieścotami matki, dusza w niej zaledwie budzić się poczyniała do nieznanego życia. Szarski poglądał z zajęciem na to rozpowijanie się myśli, którą najzimniejsza z nauk, nauka języka nawet rozkołtysywała i codzien zdawała się silniej ożywiać. Codzień ten posąg nabierał więcej duszy, a oczy Sary z podbudzoną ciekawością patrzyły na księgę i nauczyciela. Wyrazy nawet wzlatające jak ptaszki, na skrzydłach swoich przynosiły jej myśli nowe, a ta gimnastyka krzepiła niewyprobowane dotąd siły, które zwolna w pytaniach i odpowiedziach uczennicy czuć się dawały.

Było coś zadziwiającego w tej dziewczęcej wychowanej w śród przesądów religii przerosłej wiekami

w zabobony, wśród zniewieściających pieszczot, niewiadomości, gnuśnego pokoju, a trafem obdarzonej szczególni dary umysłu, któremu nic nie brakło prócz sposobności rozwinięcia i uprawy. To też jedno dotknięcie słowa budziło w niej całe szeregi idei niewiedzieć z kąd powstających myśli i znać było, że dziewcze czuło rozkosz w pracy, jakby się dla niej świat nowy, przeczuwany otwierał.

Stanisław rozgrzewał się także patrząc na jęj zdumiewające postępy i zapominał o zapyłonej salsce, o dumnej matce, o nadętym ojcu, o siwobrodym dziadzie ukazującym się czasem we drzwiach mieszkania z widocznym wstrętem na twarzy i wyrazem wzgardliwym *Goj*, na ustach — wszystko to nikło mu z oczów na widok pięknej Sary, która w tych ramach brudnych, żywięj jeszcze swym wdziękiem jaśniała.

Codzień przebywana z nią godzina, powoli spoufałiła ich oboje, ale urodzenie i położenie towarzyskie tak potężną kładło między niemi tamę, że Szarski, wierny zresztą wspomnieniu Adeli, nie uczuł jeszcze dla Izraelitki nic, prócz jakiegoś litościwego współczucia. Żal mu tylko było, że ten śliczny kwiat wyrósł tak nisko i pozostać musi na śmietniku z którego powstał.

Tymczasem trochę sławy, którą mu zjednały poezye jego, już ku niemu świat zbliżać poczynalo. To-



warzysze zapraszali go uprzejmie, wskazywano nań trochę palcami, co więcej może go przestraszało niż wbijało w dumę, mimo uciechy jakoby innemu robić mogło, to *digito monstrari*; w ostatku nalegać poczeli i Szčerba i inni, aby, gdy mu się tyle zrzeczności poznania kilku domów w mieście nastrecza, nie zaniedbywał ich i nie zagrzebywał się całkiem na strychu.

Paweł szczególnie miał nad umysłem jego przewagę, i słowom jego Stan sław dał się wreszcie przekonać o potrzebie wmieszania między ludzi. Trochę lekcy u żyda, trochę pomoc profesora Hippolita postawiły Szarskiego chwilowo w możności przyzwoitszego pokazania się w mieście, jakaś nadzieja wstąpiła w jego serce i dał się pociągnąć towarzyszom.

Ówczesny świat wileński, nie wyjmując nawet najpierwszych domów, chętnie wstęp dawał tym którzy nosili mundur akademicki, nigdy nie splamiony niczem i służący za najlepszą rekomendację młodzieży. Byle kto wprowadził akademika, przyjmowano go wszędzie, jeśli nie ze szczególnemi względami których młodzież wymagać nigdy nie ma prawa; to z uprzejmą i serdeczną grzecznością. Mało też było rodzin, u którychby na wieczorach, zabawach i przy codziennej herbacie nie ukazał się kto z młodych uczniów uniwersytetu. Był to żywioł wlewa-



jący w tę społeczność nieco ruchu, nieco uczucia i ognia. Mimowolnie rozgrzewać się musiano od pierśi młodzieńczych. Szarski ani żądał ani mógł począć swych znajomości z wysoko, teby go więcej były męczyły niżeli przyniosły korzyści; a że z natury nieśmiałość szkodziła mu wielce, Szczerba słusznie zapobiegł temu żeby w pierwszych krokach nie powiększyć jój jeszcze, wiodąc go do domu w którymby zbyteczna ceremonijalność lub przesada zrażać go mogła. Mieli do wyboru dosyć, a pan Paweł począł od swoich poufanych państwa Ciemięgów. Rzeczony pan Ciemięga (proszę pozwolić mi go tak nazywać) mieszkał w mieście podobno dla wychowania córek, których miał aż sześć, ale niczém się nie trudnił sam i w domu na następne tylko służył użytki; ucierał świece, gości witał u drzwi, odprowadzał do przedpokoju, posyłany był do kuchni gdy nadszedł czas dawania do stołu, siadywał w kącie na zawołanie jejmości. Był to człowieczyna różowy, wesoły, wysmienity, a śmiejący się tak ochotnie że aż miło go było słuchać, bo czy sam co sobie skomponował, (co jednak nie przychodziło mu łatwo), czy kto drugi coś powiedział, nim skończył już się brał za boki ze śmiechu, tak, że mu się trafiało oznajmienie o czyjś śmierci witać najserdeczniejszym wesołości wybuchem. Całe życie pan Ciemięga kontent był z siebie, z żony, ze wszystkiego i tak sposobny do admi-

racyi, że krytyka najłżejsza, gniew, żal, uraza do kogo, stały się dla niego uczuciami potwornemi, niepojętemi. Że przez jejmość niewiele od siebie rozumniejszą zawojowany został, o tém już niema co i mówić, bo najgłupsza kobieta w ciągu praktycznego życia podbije najrozumniejszego mężczyznę, choćby tylko samą strategiją nudy; ale równie jak żony słuchał pan Ciemięga wszystkich swych córek, które chociaż wcale nie wyglądały na robaczki, bo były czerstwe, rumiane, świeże, wesolutkie, zwał je przecie nie inaczej tylko *robaczki* lub *robasie*. A robasiów tych było sześć jak jedna, wszystkie doroste i gotowe iść za mąż. Można sobie wyobrazić ilu akademików krążyło pod temi oknami, z których tyle blond i ciemnych główek wyglądało o każdej godzinie.

Dom państwa Ciemięgów, choć w mieście, był wiejski i szlachecki, bez pretensyi, bez wystawy, serdeczny, pełen gościnności, poważny i uczciwy. Pani•nki były skromne i miłe, a jejmość, matrona zacna, jedną tylko miała wadę, że się jej zdało jakoby literaturę lubiła. Ten gust przyszedł jej dopiero w mieście i na starość, gdy kładyszek do pilnowania zabrakło; dość więc nieoswojona z przedmiotem wyszła na literatkę i częste z tego powodu strzelała bąki. Panienki miluchne były, jedna w drugą potulne, ciche, a wesole niemal jak ojciec którego dobry

przykład mając ciągle przed oczyma, nie lubiły też kwasić się bez przyczyny. Do tego to domu jednego wieczoru powiódł Szczerba drżącego Szarskiego, prawie gwałtem, oznajmiwszy wprzód o nim jako o poecie. Przyjął ich w progu pełną gębą śmiechu gospodarz, za okrągłym zaś stołem siedząca poważnie gospodyni bardzo seryo, panienki wejrzeniami ciekawymi, które zdawały się chodzić po kątach, a spadały na nowego gościa.

Znaleźli tam już zainstalowanego Bazylewicza, który jak się zdawało réj wodzić musiał w tym domu jak wszędzie, bo z długo wyciągniętymi nogami do pół pokoju usadowił się między starszemi pannami i coś czytał z papieru, niezmiernie uważnie słuchając go pani. Wchodzący przerwali poezją, a autor jój nie tait się ze złym humorem, choć starali się wsunąć jak najciszej i usiąść jak najprędzej.

— Niechże pan nam swego *Soneta* dokończy! zawołała gospodyni—pan wie jak ja *wierszy* lubię; bardzo prosimy, na czémże to stanęło.

— Na tém stanęło, odezwał się Bazylewicz chowając papier do kieszeni, że Ichmość zaszastali nogami, a ja drugi raz czytać nie chciałem.

Gospodarz począł się śmiać serdecznie, schwycił Bazylewicza za obie ręce, przycisnął go do swych piersi i posadził. Jejmość koso nań spójrzała, panny się trochę odsunęły, a rozmowa przeskoczyła na co

innego. Muzyka, nabożeństwo, nowinki miejskie, wszystko na plac powychodziło i Ciemięga śmiał się tak dobrodusznie ze wszystkiego, że i drugich pobudzał tém do śmiechu. Niektóre z córek wtórowały mu potroszę. Bazylewicz zaczesawszy włosy na tył, z głową zarzuconą na plecy, przechadzał się po salonie nieukontentowany a dumny, ale nikt na niego nie zważał. Nawet najstarsza z panien, do której był już dwa sonety napisał, jeden zobaczywszy ją *modlącą się w kościele*, drugi *do grającej na fortepianie*, nie zdawała się obdarzać go szczególnem współczuciem.

Na stole, przy lichtarzach i dzwonku, leżała książka w sinych okładkach, świeża, nierozcięta jeszcze, znać tylko co przyniesiona, na którą nikt nie zwracał uwagi. Szarski, któremu strasznie ciężko było dać sobie rady z rękami, nie mając ich gdzie podziać, z oczyma którymi nie wiedział gdzie patrzeć i gębą której otworzyć nie umiał, chwycił machinalnie tę książkę, ale w tejże chwili jakby sparzony ukropem z rąk ją upuścił. Był to może pierwszy w świat puszczonego egzemplarz tylko co zszytego Noworoczniaka, przyniesiony przed godziną pani Ciemiężynęj przez profesora Hipolita. Szarski podniósł książkę cały zapłomieniony, zmieszany swém niezgrabstwem i cichuteńko położył ją znów na stole. Ale szmer ten i na niego i na nią zwrócił uwagę i oczy.



— A! to Noworocznik pana Hipolita, który córkom moim daje literaturę!—zawołała gospodyni, bardzo go lubię, porządny człowiek, talent wielki już kiedy krytykuje Trembeckiego!! Ot, gdyby nam kto z panów co przeczytał!

Szczerba chciwie pochwycił książkę, a że czytać lubił i nieźle w istocie głośno czytał, poszukał zaraz oczyma znanego mu wiersza Szarskiego, pod tytułem: *pożegnanie* i nie mówiąc czyj był, rzewnie, prosto, z serca, głośno czytać począł.

Bazylewicz nawet raczył stanąć i słuchać. Kiedy uczucie prawdziwe a silne zagrzeje piersi młodego poety, kiedy nie zmyślane cierpienie, nie dziwaczną myśl jakąś, ale odwiecznie znane a zawsze nowe wyleje z serca żale—któżby się nie poczuł wzruszonym niemi? Nie potrzeba na to ani artysty, ani znawcy, ani smaku, ani nauki, potrzeba tylko serca, a serce ma każdy prawie, kto go w sobie sam nie ubił. Wiersz ten był bardzo prostym pożegnaniem miejsc w których spłynęło dzieciństwo i młodość, ogródka z gruszą staruszką, dworka z zielonym omszonym dachem, wiejskiego kościołka, darniowej kanapki i świętego progu domu—pożegnaniem rozdzierającej rozpacz i łez pełnym, bo ostatniem, a tak młodem! tak gorącym! W tej sprzeczności dziewictwa uczuć z pożegnaniem, które chyba skazany na śmierć, wygnanie lub starzec konający mógł tak boleśnie wy-



śpiewać — była największa tajemnica piękności pieśni i jej siły.

Szarski wygnany przez ojca, znając nieubłagane serce jego, oblał łzami gorącemi tych krwawych strof kilka; ale też warte były poematu, bo każde w nich słowo pełne było poezji i wrzało a kipiło boleścią.

Szczerba począł czytać, uciszyli się wszyscy, słuchali, aż powoli gdy ostatnią strofę kończąc podniósł oczy, spostrzegł, że i pani i panny i wesoły gospodarz nawet — płakali! O! jakiby to był tryumf dla poety, gdyby go mógł pochwycić, gdyby się nim mógł nasycać, ale Szarski tak był zmieszany, nieprzytomny, tak mu krew zalewała głowę, że nic nie słyszał i nie widział prócz szumu, blasku i otaczającego go jakiegoś męczeńskiego chaosu.

Panny, pani, wszyscy poczęli pytać, czyje to? czyje? a Szczerba ręką tylko wskazał w pół żywego autora.

— Ot! dalibógżeż rozplakałam się jak dziecko! — zawołała jejmość ocierając oczy — ale któż-bo widział takie smutne rzeczy komponować!

— Kto widział, powtórzył za nią pan Ciemięga ruszając ramionami — czyż nie lepiej pobudzać do śmiechu jak do płaczu?

— Jakież to śliczne! jakie to śliczne! zaszemrały

panny i spojrzały, ale jakoś inaczej teraz spojrzały na spalonego wstydem Szarskiego.

Jeden Bazylewicz stał niemy i nie chwalił, nie dziw, bo porównywając efekt swoich sonetów z elegią towarzysza, głęboko czuł się urażonym.

— Głupi tłum! mówił w duchu— gęsi! gęsi!

— Bardzo to ładne, odezwał się po chwili kładąc po napoleońsku rękę za frak, ale pozwolisz panie Stanisławie trochę i pokrytykować!

Staś podniósł dopiero oczy.

— A! dla czegoż nie! zawołał— krytykuj, to mnie czegoś nauczy!

— Poezya tego rodzaju nie na dobie— rzekł pedancko Aristarchus— nie wiek to żebyśmy jak żebracy podejmując łachmany, obnażając rany nasze, wymadlali kroplę litości! To poezya chorobliwa, którą wielki Goëthe nazwał i okrył szyderskim przydomkiem *poezyi szpitalnej*.

— Być może, odparł Szarski, ale też nie myśl że bym wielką wartość przywiązywał do tego wykrzyku, który się wyrwał z mych piersi wcale nie dla wyżebrania współczucia — pisałem go z potrzeby płaczu!

— U mnie Goëthe to poeta—kończył Bazylewicz— opiewał boleści cudze jakby sam bolał na nie, ale się nie skarżył na siebie... nie złapiesz go na słabostce niewieściej...

— Ot lepiejbyś pan nam swój sonet przeczytał, przerwała gospodyni domu — bo że to ładne, to jak Boga kocham ładne... darmo krytykować!

Bazylewicz ruszył tylko ramionami.

— Ależ tu być muszą i twoje poezye, rzekł Szarski pośpiesznie biorąc książkę i szukając w niej — pozwól byśmy z nich co przeczytali.

Dumny sędzia widocznie się zmieształ, wygadał się był bowiem sam, że coś posłał do Noworocznika, a na kartkach drukowanych dwa tylko sonety z Petrarki z podpisem jego się znalazły; widocznie reszta pozostała w tece Hipolita, który złożył przez grzeczność na Cenzurę, to co sam zmuszony był uczynić.

— Nie mam tam tak jak nic, przerwał Bazylewicz, bo ja poezye moje osobno wydać zamyślam.

Szczerba podjął się przeczytać sonety, ale potrzeba było całej grzeczności towarzystwa, by ich wysłuchać cierpliwie i chwalić przez zęby tak dziwne wie:szydła, włożone na rachunek wielkiego imienia Petrarki!

Gdyby wstał z grobu kochanek Laury, a dano mu było nasz język zrozumieć, o! jakżeby się zdziwił dowiadując, że te sonety szły w świat pod jego pieczęcią! Coś to było ukutego mozolnie, ciężkiego, twardego, z doborem słów najosobliwszym, najdziwaczniejszym... wyrazy użyte, miasto malować je-

dno i godzić do celu wspólnego, tłuc się i bić z sobą zdawały. Myśl zaplątana w tę sieć węzłów pełną, ledwie przeświecała gdzie niegdzie, ledwie ją schwytać było można. Tłomacz widocznie więcej się upędział za siłą niż za wdziękiem, a trafił tylko na nieforemną jakąś chropawość...

Zamiast łez zebrał szmer pochwał, które przyjął jako należną daninę tylko i wnet biorąc ztąd assumpt do rozprawy o sobie, obszerniej począł o poezyach swych, o piersi z których je dobywał, o tém co pisał, co pisze i napisać może...

Był to rodzaj rozmowy szpitalnej także, którą wkrótce niespodziewany gość przerwał.

Nie widywano go nigdy prawie po domach, gdzie towarzystwo złożone było z kobiet i mężczyzn, ale wyjątkiem dlań był dom państwa Ciemięgów, którego gospodarz kolegował z nim na szkolnej ławie i wiedział jak go miał przyjmować. Był to ex-professor Iglicki, niemłody już człowiek, dość otyły, blady, fizyognomii trochę Wolterowską przypominającej, tylko nalanej, chorowitej i zbrzękłej, oczów zagastych, zmrużonych i szyderskiego uśmiechu. Sławny poeta, sławny literat, sławny krytyk, dowcipny istotnie ale płytki we wszystkim, najślawniejszym być mógł jako hulaka i dusikufel. Iglicki już zszedłszy z professorstwa, które czy mu odjęto jak mówili jedni, czy też sam porzucił wedle drugich,



żył teraz wolny pod komenderówką swego sługi faworyta i żony jego, opiekujących się garderobą, kieszenia i pijaństwem emeryta.

Typ literata z tych czasów mytycznych dla nas, w których geniusz niemal obowiązywał do rozputy, Iglicki nie miał żadnej wiary, nie miał szacunku dla siebie i powołania swego, a prawiąc kazania moralne wierszem i prozą, bynajmniej ich nie brał dla siebie. Głosił wielkie sentymta, piorunował na zbrodnie, na wady, na egoizmy, a sam po kolana w błoto maszerował życia gościńcem...

Pisał, jak to dawniej mówiono, *gładko*, bardzo gładko w istocie, bo często w dziełach jego i myśl zgładzona była do szczętu. Pisał dowcipnie czasem, o co nie trudno przy odrobinie zdatności, ale zapału, sumienia, szlachetności nie pytać było w tém co tworzył. Tłómaczył kilku poetów, pisał wiele prozą, po trochę robił wszystkiego, a że pod starość przyszło mu żyć z niewielkiej pensyi emerytalnej i pióra, najmował je w różny sposób. Jeden z księgarzy zwykł go być tytułować *złotem piórem*, podobno dla tego, że na zażądanie, za butelkę wina, za dobry obiad, za śniadanie z kołdunami porterem oblane, gotów był zawsze stworzyć w pół godziny prospekt, czy to na nowe wydanie kazań z których się naśmiewał, czy na dykcyonarz, czy na historią naturalną lub romans, wszystko mu to było jedno.



Ale najużyteczniejszym był Iglicki księgarzom i intrygantom literackim, gdy szło o strategiczne manewra na krytyce oparte. Nikt nad niego ostrzeź, śmielej, bezlitośniej i bezwstydniej, bo zawsze bezimiennie, nie rzucał się na wszystkich i na wszystko; artykuły jego w tym rodzaju były w istocie arcydziełami, tak mu nigdy konceptu nie brakło, tak szermował zręcznie i zabijał na zimno. Chodziło-li o zwalczenie współzawodnika, o zachwianie rosnącej młodej sławy, która groziła zaćmieniem starych, a wyszukanie skazy w arcydziele, o wystawienie śmieszne rzeczy poważnej, Iglicki na to wszystko z chłodną krwią się ofiarował. Z umysłem zręcznym choć płytkim, czytany, erudyta a sceptyka w głębi, któremu wszystko było jedno czy czarno pisać czy biało, chwalić czy ganić, potępiać czy wynosić, pisał za co mu zapłacono lub za co go spojono, i tak sobie żył powoli, rzadko trzeźwy wracając do domu.

Życie jego upływało najwięcej po traktyerach, garkuchniach, cukierniach i winiarniach, lub za stołem księgarskim, gdzie często siadał pisać recenzje ledwie rzuciwszy okiem na dzieło. W towarzystwach bywał mało, a kobiet nie cenił, bo tych które znał, szacować nie mógł, a któreby mógł szacować nie znał. Stary rozpustnik, niemogąc inaczej przedłużyć młodości, dokazywał jeszcze językiem, i zalawszy gardło lubił deklamować wierszydła w rodzaju Piro-

na i Węgierskiego, które swojego czasu uchodziły za arcydzieła toku, języka i dowcipu.

Wielki przyjaciel tych co go poili, jutro był gotów za poczęstunek stanąć przeciwko nich z epigramatem lub najostrzejszą krytyką. Dodajmy dla charakterystyki jego, że gdy z obowiązku najemnika literackiego wypadło mu chwalić, jak naprzykład w nekrologu lub sprawozdaniu dla nakładzcy, gorzej mu się to daleko udawało niż szyderstwo i dowcipowanie. Nizał słowa, napychał niemi wiersze, wydymał artykuł wiatrem, ale to wszystko razem puste było, czeze i zimne. Przeciwnie, szarpiące jego krytyki wiele miały soli i humoru. Człowiek ten naówczas uchodził za najwyższego niemal sędziego w rzeczach literatury. Było to po pamiętném przesileniu romantyczném, w którym nowa szkoła plac boju otrzymała, a choć Iglicki klasykiem był zakamieniałym i pod starość ani mógł ani myślał się zmienić, ostał się jakoś sam jeden może na ruinach, których bronił bezsilném błaznowaniem, zręcznie wykpiwszy się w czasie boju i wykręciwszy sianem. A że ogół więcej zawsze wierzy w gotowe i już zrobione reputacye, niż w nowe potrzebujące z jego strony rozbioru i samoistnego sądu, Iglicki utrzymał się przy swojej. Zmienił trochę koloryt stylu, ustąpił trochę z klassycyzmu, i choć niekiedy potajemnie jeszcze na romantyków wierzgał, pozostał przy wiel-

kiej konsyderacyi, którą w części nabył kąśliwością swoją a dowcipem utrzymywał.

Tém bardziej go szanowano, im mniej komu przepuszczają, a młodzi obawiali się go niezmiernie, bo dla nich był bez litości. Biada było płodom niedojrzałej muzy, które w prostocie ducha przyszyły pod próg jego, zasięgnąć rady i oddać się opiece starego Satyra—spotkały je grubijaństwo lokaja lub sarkazm profesora. Takim był człowiek, którego ukazanie się w salonie ucieszyło gospodarza, pewnego, że się w kątku za łzy dzisiejsze serdecznie uśmieje — zafrasowało gospodynię domyślającą się, że nie jedna pęknie dla gościa butelka, a nastraszyło studentów, którzy go dotąd z daleka w ulicy widywali, nieśmiejąc zbliżyć się do zawołanego Zoilusa.

Szarski, Szczerba, a nawet najśmielszy Bazylewicz usunęli się trochę i gdyby nie grzeczność gospodyni, która ich z kolei jako pełnych nadziei młodzieńców prezentowała przyjacielowi domu, nie byłiby się nawet ważyli do niego przystąpić.

Iglicki spójrzał z pod okularów, skrzywił usta uśmiechem świętokradzkim, który urągał młodości i sile, sam stérawszy oboje — i wyrzekłszy coś dwuznacznego, usiadł co prędzej. Nieszczęściem wpadła mu nowa książka pod rękę.

— A! a! co widzę — zawołał cichym schrzyptym i przygasłym głosem — literatura jakaś na stole! *Me-*

*hercle!* Noworocznik pana Hipolita! a! to ciekawe. *Na bezrybiu i rak ryba!* cha! cha! Elukubracye młodego pokolenia. I począł przewracać książkę, to tu to ówdzie chwytając po kilka wierszy, których proste nawet odczytanie w ten sposób oderwany było skarykaturowaniem i krytyką.

Przyszła kolej na elegią Szarskiego, przebiegł ją po cichu niedomyślając się, że autor marł ze strachu o kilka kroków.

—A! a! rzekł—naśladowanie! naśladowanie! przesadzone! przesadzone!

Stanisławowi serce biło, pobladł, ale dekretu wysłuchał z pokorą, nieśmiejąc się odezwać. Przyszły pod topor i sonety, a że ich forma dziką była w istocie, professor począł się okrutnie pastwić nad niemi.

—Co to jest? zakrzyknął—po chińsku? po angielsku? po kałmycku? po mongolsku, bo pewnie nie po polsku. I to być ma Petrark! to kochanek Laurry! Wolałbym *Nechody Hryciu* podać za przekład z Tassa, podobniejszeby to było do prawdy...

To mówiąc rzucił książką o stół, a już teraz gospodarz który się śmiał na kredyt, pochwycił go i pociągnął do butelki odkorkowanej.

Co się działo z Bazylewiczem opisać trudno, byłby starego opoja zamordował gdyby mógł, ale bez-



silny gniew wyrzucił go samego za drzwi, pochwycił czapkę i wybiegł jak szalony.

Szarski, Szczerba i inni uczniowie powoli wysunęli się cicho, widząc że Iglicki zasiadł ze śmiejącym się gospodarzem na ustroni.

Tego pamiętnego wieczora, młody poeta doznał wszystkich uczuć jakimi go zawód przyszły miał karmić — rozkoszy, boleści, wstydu, upokorzenia, a chwila wesela starła się zupełnie z pamięci i kolące tylko pozostały w piersi ciernie...

---

Tymczasem, z Krasnegobrodu, z Mruczyniec żadnej nie było wiadomości. Falszewicz upojony, zapewne po wytrzeźwieniu zawstydzony, że go złowiono na plewę, więcej już nie pokazał się Stanisławowi, a ten szukał go napróżno w mieście, śladu znaleźć nie mogąc. Posyłał Hersza na pocztę spodziewając się, że pan Adam choć słowem politowania i współczucia odezwie się do niego; potem wnosząc, że może listu jego nie odebrał, powtórzył odezwę, ale na obie najmniejszej nie otrzymał odpowiedzi.

To milczenie osób na które rachował, odosobniając go do reszty, zostawując własnym siłom, przybiło na chwilę, ale zmusiło razem wejrzeć surowiej w przyszłość.



Były godziny, w których oko w oko spozierał w twarz nędzy nieuniknionej, były błyskawice otuchy i wielkich nadziei. Któż policzy ile w tej izdebce podstrychowej przeleciało myśli, przeroiło się marzeń, prześpiewało pieśni... i jak w niej Szarski dojrzywał cierpieniem. Towarzystwo też co dzień częstsze i poufalsze profesora Hipolita, który go po bratersku przytulał, wiele się przyczyniało do rozwinięcia i dania jasnego pojęcia losów, które go czekały.

Człowiek ten, zdrowém okiem, nie łudząc się, widział co może dać zawód literacki w kraju naszym, i nie zasładzał pigułki.

— Lepiej, mówił do niego, żebyś był przygotowanym na wszystko, niż żebyś podniósł się marzeniem wyżej niż dolecieć możesz życiem. Łacińskie stare powiada przysłowie: Kto siedzi na ziemi nie spadnie. Kto raz wszedł na drogę duchowej pracy, niechże jak zakonnik średnich wieków, położy się w trumnie i *requiem* nad sobą odśpiewa, bo reszta życia jego zejść musi w rozbracie ze światem i zaparciu się siebie dla idei. Nic on nie może i nic nie powinien dla siebie, cały należy do drugich! A! święte to i wielkie kapłaństwo! I jak z nieczystego naczynia krzepiący i zdrowy napój popłynąć nie może; tak on, ażeby istotnie zdrowém był źródłem dla braci, naprzód sam nad sobą, swoją własną poprawą i wznie-

sieniem się moralnym pracować powinien. Nie ma tu co myśleć ani o sławie, ani o wiciu wieńców, ani o wyciąganiu korzyści z pracy, bo to zawód poświęcenia, i na niem stoi on cały. Każda inna praca wyżywi robotnika, ale najmoźolniejsza, najcięższa ta, w której nie tylko siły ciała i zdrowia szafujemy, ale duszę naszą lejemy po części, jak pelikan krwawymi wnętrznościami karmiąc ludzi—nie jest w stanie dać nawet chleba powszedniego. O zebranych okrajcu iść trzeba jak starzy pielgrzymi do Jeruzalem...

Jeżeli wśród tych cierni i utrapień, wśród zapoznania, prześladowania i męczeństwa, jedną myślą zdrową przysłużysz się ogółowi, jeśli jedno rzucisz nasionko przyszłości, czyż ono nie warto ofiary całego życia? Piękna pieśń rozchodząca się z ust do ust po świecie, co budzi w sercach uczucie szlachetne, podnosi, rozrzewnia, porusza—któż wie, ilu rozbudzi tych, co na wieki snem ciała usnąć mieli? ilu się stać może czynów poczciwych nasieniem? Godzi się więc i piosnkę malutką pisać krwią i łzami...

Bywa i najczęściej się trafia, że dźwigając na barkach ciężary, że pracując od wschodu do zachodu przejdzie wyrobnik cały obszar życia, odepchnięty, wzgardzony, niezrozumiany, zaparty; że obok niego drugi co palcem poruszył bryłkę z pod stóp swoich, na tarczach dźwigniony ogłoszon zostanie wielkim—

a! i na to skarżyć się niewolno! Niech płacze łzami w duszy jeśli słaby, ale boleć nie ma czasu i prawa... dzień jego zakupiony, policzone chwile... do siebie nie należy.

Takiemi to rozmowy karcił młodego Szarskiego niewiele od niego starszy, ale dojrzały już nauczyciel, a żadna darmo nie przeszła, bo w tym wieku wszystko przylega do świeżego umysłu i niezgluzowane na nim zostawuje ślady.

Zresztą, ciągnęło się życie jednostajnym trybem, całe zajęte pracą lub poświęcone marzeniom i towarzystwu rówiesników. Często wśród niego powtarzały się tęsknice za domem, Adelą, za tym cichym kątkiem litewskim, do którego mu powrócić nie było wolno, i płakał. Ale łzy pochłaniała poezya, ocierali je poczciwi towarzysze. Paweł Szczerba niemal po macierzyńsku czuwał nad ukochanym, nie spuszczał go z oka i ciesząc się, że słabe dziecko sił nabierało wśród boleści.

Godziny lekcyj u kupca szły codziennie nieprzerwane; Staś oswajał się z niemi i uczennicą, która codzien też zdawała się więcej i łatwiej z nauki korzystać. W oczach jego rozwijał się piękny ten kwiat, który niepotrzebując ani słońca, ani rosy, ani ożywnego powietrza, w sobie niemal samym czerpał siły do wzrostu. Stanisław zdumiewał się postępom i nieraz zadumał nad niemi.

Do czego jej służyć miało to wykształcenie o które się rodzice starali? na co się zdała nauka w świecie w którym żyć miała? chyba żeby ją wiek cały karmić żalem i wstydem i tych, z którymi była związana, ukazać w najniekorzystniejszym świetle. Często w godzinach nauki, kupcowa, znudzona szmerem niezrozumiałych dla niej wyrazów, uchodziła ziewając i zostawiała ich sam na sam. Naówczas oczy pięknej Sary śmielej jeszcze zwracały się na młodzieńca, a usta jej odważniejszym otwierały się pytaniem. Ciekawość jej nie miała granic, słowo wyrzeczone chwytała chciwie i nagle w dalekie zdawała się przez nie sięgać horyzonty. Jak przez mały otwór wpadają wiązką jasne promienie słońca, tak do jej duszy wchodziło światło, przez jedno wyrzeczone słowo.

Stanisław chętnie zaspokajał jej ciekawość i nieostróżnie może dogadzając palącój ją żądzy oświecenia, dawał książki, rozciągał godziny i nie ograniczał się językiem samym, do którego zresztą piękna żydóweczka szczególną okazywała zdolność.

Zaczęte po południu lekcyje przedłużały się nieraz do wieczora i ciągnęły się dłużej daleko niż były powinny, bo Sara nigdy ich nie miała dosyć, a Staś czuł w sobie roskosz i dumę, karmiąc jej świeżą, młodą i jak kwiat ku słońcu zwróconą ku sobie duszę.



Raz wieczór, gdy się tak zapomnieli o mroku, a nauczyciel rozprawiał—naprzeciw niego we drzwiach od przyległej izby, zjawiła się nagle postać starego dziada Abrama. Stał on z wzrokiem wlepionym we wnuczkę i goima, jak słup skamieniały, ale z wyrazem gniewu, rozdrażnienia, niemal wściekłości na ustach. Widać było, że wzgląd tylko na syna i synową wstrzymywał drżącą rękę starca, któryby był nienawistnego nauczyciela pchnął na łeb ze wschodów... Modlił się czy przeklinał, ale usta jego drżały drobnymi ruchy, wargi się poruszały konwulsyjnie, a oko szkliste, zgasłe, rozświecone złością, jak sztylet tkwiło w Sarze i młodym goimie.

Sara go nie widziała; Staś zmieszał się, zarumienił, uczuł niepokój nieopisany, ale go nie okazał po sobie. Starzec stał tak długo z daleka, wreszcie wyciągnął ku niemu rękę stuloną i groźb pełną, plunął i zniknął.

Nazajutrz Abram podkradł się znowu, i znowu temi oczyma złości pełnemi pastwił się nad Szarskim, który ani się odezwać nie śmiał, żeby Sary nie strwożyć, ani mógł spokojnie przenieść tego piekielnego wzroku z pod brwi siwej wprost wymierzonego w jego piersi.

Na wyrazie wejrzenia omylić się nie było podobna, bo buchało gniewem tajemnym. Stary, który z synem i synową walczyć nie chciał, usiłował w ten



sposób młodego chłopca odstraszyć i odpędzić, aby przytomnością swoją, tchem nieczystym, zbliżeniem, nie kalał wnuczki jego. Ale Stanisław męcząc się trwał na stanowisku.

Innego wieczora, gdy odchodził po pożegnaniu z Sarą, w samych drzwiach uczuł się z przerażeniem schwyconym za barki i wypchniętym gwałtownie, a obróciwszy się postrzegł nad sobą zwieszoną straszłą głowę starca, która wnet znikła w cieniu.

I to go nie odstręczyło jeszcze, rozśmiał się i nie rzekł słowa—żyć musiał! Wszystko znieść było potrzeba, nawet razy szalonego starca, który nienawidził goima.

W kilka dni potem, późno w nocy siedział w swéj izdebce Stanisław zamysłony, gdy nagle na progu, w otwartych drzwiczkach, zjawił się przed nim sparty na kiju Abram.

Znać wybrał się niepostrzeżony od nikogo, bosy, w pończochach tylko, by chodu jego nie usłyszano, w starym kubraku i czapce, nie zrzuciwszy nawet *zizim*, w którym się modlił.

Stanisław omal nie krzyknął, postrzegłszy tę postać nieruchomą stojącą w progu, bladą jak marę i groźną. Abram długo tak milcząc przykuty stał we drzwiach, patrzył, jadem wzrok napoiwszy, aż ruszył się nareszcie i postąpiwszy kilka kroków, sta-

nał znów sparty na kiju, poczynając drżącym i złamanym wołać głosem:

—Czego ty tu chcesz? co ty tu robisz pod dachem naszym?... idź do swoich... idź do swoich...

Staś nie umiał mu odpowiedzieć, tak silne uczuł wrażenie; zamilkł chwilę, i odezwał się nierychło.

—Pójdę jutro—pójdę, ale wszyscy w domu wiedzieć będą o twojej napaści...

Starzec nie słuchał odpowiedzi i mówił dalej przerywanemi słowy, targając siwą brodę.

—Czego ty uczysz Sarę? nie *Chumisz*, nie *Tora*, nie *Tanach*, ale *a woda zara* (obcej wiary) wiary *akumskiej* (wiary gwiazdochwalców).... Chcą wstydu, chcą sromu, chcą z *chassidów* (pobożnych) w domu swoim porobić *Mymerów*, *Myszumetów* (przechrztów, potępieńców). Głupi, głupi, którym *Dass* (wiara) nie wystarcza, którzy w nauce od *Klippes* (diabłów) zeszłej, szukają dobra jakiego w niej nie było, i z ognia czerpią wodę! Czegoś ty tu przyszedł synu *akumów* (gwiazdochwalców), dzień któregoś ty stąpił na próg nasz, *jom et* (dzień nieszczęścia) *jom et* dla ciebie i dla nas... Powiadam ci, weź kij i sandały twoje, a idź dopókiś żyw, i nie odwracaj głowy twojej, ani oczu twoich, abys nie powrócił i nie umarł.

Stary z wzrastającym coraz gniewem mieszając wyrazy hebrajskie, któremi przesiąkł w ciągłym czy-

taniu Talmudu, szarpiać się i miotając mówił i kończył niezrozumiałém bełkotaniem, którego szmer brzmiał przekleństwami tysiącami w uszach Stanisława. Stał nie wiedząc co począć, ani co mu odpowiedzieć, a Abram nie ustawał pytać i przeklinać.

— Nie przyszedłeś tu *szysgajer* (przejsć na wiarę żydowską), ani poświęcić się w Zakonie, ale z trucizną i zepsuciem w sercu wszedłeś pod dach nasz, aby wywołać przekleństwo z ust starych na dni twoje, aby nakarmić piersi starca żółcią i gniewem.

Azali myślisz, że którenkolwiek głos człowieczy idący z serca, próżen być może i nie dochodzi do tronu Tego, którego imienia nie godzi się wymówić ustom ludzkim? Azali myślisz, że nietknięty ręką, nie możesz być pożarty oczyma i strawiony nienawiścią i zabity na wieki klątwą? Idź, mówię ci, uchodź w cichości, okrywszy głowę twoją, a zatrzymaj za sobą końcem płaszcza ślady nóg, aby cię nie znalazły myśli moje, i posłańcy Tego, który się mści za dzieci Izraela... Idź, a nie kalaj nas... idź...

Daleki szmer dał się w tej chwili słyszeć na poddaszu, ale Abram był nań głuchy.

Szarski drżał cały nie mogąc się wyrwać i nie pojmując końca tej sceny, gdy nagle Dawid stanął we drzwiach i głosem silnym zawołał na ojca z wymówką.

— Abram! Abram!

Starzec odwrócił się widocznie przestraszony, jak zbrodniarz schwytyany na uczynku, zatrząsł się i zawrócił ku synowi, który powolnie ale śmiało począł doń mówić niezrozumiałym językiem. Kilka słów odjęty Abramowi gniew jego na pozor przynajmniej, uśmierzyły rozdrażnienie, spuścił głowę, przymknął oczy i mrużąc tylko wywłókł się po cichu z izdebki. Syn nie poszedł za nim, zmieszany był widocznie, otarł pot występujący na czoło i siadł na krześle, a wyciągając rękę do Stanisława, rzekł przymuszając się do smutnego uśmiechu:

— A! przepraszam pana za tę nieprzyjemność! więcej już tego nie będzie — stary (wskazał na głowę) trochę ma osłabiony rozum, on i do nas czasem przywlecze się z czém podobném. Cóż robić? musimy cierpieć, bo ojciec... ale pan się nie gniewasz?

— Nie gniewam się, odpowiedział Stanisław, ale gorzej bo się obawiam.

— Czego? bezsilnego starca? — zapytał Dawid z wymuszonym uśmiechem — ja pana ręczę, że on tu więcej nie przyjdzie... a proszę tylko i bardzo proszę, nikomu o tém nie mówić.

— Nie powiem nikomu, ale czy nie lepiejby było, żebym się wyniósł i nie drażnił go więcej przytomnością moją? — spytał z cicha młody chłopiec.

Dawid potarł brodę.

— Ja i żona moja bardzośmy z pana kontenci, rzekł



powolnie—stracić pana nie chcemy... miałem nawet oddawna myśl czémś się panu odwdziaczyć... dopomóż, i będę starał się o to .. Na cóż uciekać, wynosić się, kiedy ręczę, że się to już nie powtórzy?

To mówiąc kupiec z grzeczniejszym niż kiedy ukłoniem, uściskawszy rękę akademika, wysunął się co prędzej z izdebki.

Scena ta byłaby może silniejsze na Szarskim uczyniła wrażenie, gdyby go drugie natychmiast nie zatarło.—Szczerba wpadł do izdebki.

Twarz jego była rozpromieniona, wyjaśniona, i zwiastowała zdaleka dobrą jakąś nowinę; nócił już na wschodach piosnkę, w której dźwięku przebijała się radość, a w progu zaraz zawołał:

—Ciesz się! ciesz się!

—A! to coś nowego, rzekł Szarski—z czegożbym się ja mógł cieszyć?

—Przynoszę ci wieść dobrą, schwytaną przypadkiem, która cię żywo obejść powinna.

—Na Boga? cóż to takiego?

—Krewny twój, Adam Szarski, z żoną i córką przyjechał do Wilna.

—Kiedy?—zakrzyknął rzucając się Stanisław.

—Mówiono mi, że od tygodnia...

—Jakto? tydzień tu już są, i nie dowiedzieli się do mnie, nie przysłali? nie spytali co się ze mną dzieje? zasmucony zawołał Stanisław—coż to znaczy?



— To nie a nie nie znaczy— rzekł Szczerba spokojnie; zwyczajnie w mieście, nie mieli czasu, znajomych, sposobności... Zresztą, ty sam powinienes pójść do nich, nie czekając, zaraz, jutro... Mieszka ją w domu Podbipięty.

Dobra ta nowina nie taką jednak radość, jakiej się Szczerba spodziewał, sprawiła Stanisławowi; tydzień milczenia obojętnego ciążył biednemu i przeczuwać kazał, że i tu zawód dla serca go czekał.

---

Nazajutrz rano, o rano! wstał Stanisław z pełną głową przypomnień, z piersią pełną uczucia, z zaszłą niezapominajką na sercu, i biegł zdyszany do tego domu, który teraz dla niego w całym mieście sam jeden był tylko. Gdyby go nie znał, byłby doń trafił tém jasnowidzeniem pierwszej młodzieńczej miłości, która zgaduje wszystko.

I na myśl mu nawet nie przyszło, że od ostatniego widzenia się z Adelą więcej niż rok upłynął, że dziewczę wyrosło na panienkę, a zrzucając strój młodszy, mogło z niem i niezapominajkę odrzucić. On swoją tak wiernie i troskliwie piastował, tak codzień musiał się z nią zobaczyć, pomówić z nią! tak utrzymywał w niej życie!

Gdy stanął u wskazanego progu, gdy dotknął klamki, gdy ujrzał ludzi znajomych, tak był pewien, że

go pochwyca w objęcia, iż sam gotów był ścisnąć wszystkich począwszy od lokaja.

Długo bo uczyć się potrzeba serca ludzkiego, żeby uwierzyć iż w niém uczucie błyskawicą przychodzi i gaśnie, a młodzi wierzą w stałość i opierają życie na najnieatrważszej posadzce jaka jest pod słońcem. Zdziwiło już trochę Stanisława, że mu nikt głową nie kiwnął, że mu dość zimno, a nawet kwaśno i z niegrzecznym poglądem na skromną odzież jego, drzwi pokoju pana Adama wskazano — wbiegł jednak...

Pan Adam siedział w szlafroku, w szerokim fotelu, z gazetą w rękę, z fajką w ustach i czytał — podniósł głowę, zmrużył oczy, w początku nawet zdawał się nie poznawać Stanisława, a na żywe i wesołe przywitanie jego, odpowiedział niezmiernie grzeczném ale nadzwyczaj zimném.

— A! pan Stanisław! jakże mi się masz! Siadaj proszę... jesteś tedy na naukach! bardzo mi rad że cię widzę...

Staś się stropił, i z tego tonu, do innego wcale będąc przygotowany — słowa z razu odpowiedzieć nie potrafił.

— Siadajże, powtórzył pan Adam, sam wracając do fotelu — zmężniałeś, wyrosłeś pan, choć zdaje mi się, że i schudłeś trochę...

— Nie dziw, pan wie com przeżył...

— A! tak! rzekł zaambarasowany kuzynek spuszczać oczy—pisałeś o tém do mnie, przypominam sobie. Chciałem ci z serca służyć, ale ty znasz najlepiej sędziego, jest to takiego charakteru człowiek, że skombinowawszy wszystko, obawiałem się czyniąc krok jakiś więcej ci jeszcze zaszkodzić... nic więc nie mówiłem z nim o tém...

Staś aż zadrżał, znać było po zmienionej twarzy, że się nie tego spodziewał, a pan Adam pomiarkować to musiał, bo zaraz dodał.

— Ale bądź pan spokojny — ojcowskie serce nie może długo wytrwać w takim gniewie; przyjedziesz, przeprosisz i to się jakoś pokombinuje, załagodzi...

Pan Adam nie zdawał się nawet domyślać, że Stanisław opuszczony od rodziców, zostawiony sam sobie, z ostatniej może mrzeć nędzy.

— Widziałem się z panem sędzią, dodał Szarski, ale z jego słów wyrozumiałem, że próżnobym się porywał go przekonywać. Powiedział mi tylko ponuro:—Miałem syna Stanisława, straciłem go.

Staś zapłakał, ale kuzyn nie zważał na to.

— Jednakże mogę zaręczyć, że to tylko rzecz czasu — przegniewa się, załaskni i przebaczy.

I odwracając rozmowę dorzucił.

— Jakże idą nauki?

— Mozolnie, ale idą — odparł Staś po cichu.

— Słyszałem już coś tutaj. Słyszałem, przerwał

pan Adam — mówiono mi o twoich poezjach, są nawet podobno drukowane... Złeś tylko zrobił, że się na nich podpisałeś. Dla ludzi naszego urodzenia (przycisnął mówca na wyrazie) stosowniejszy jest pseudonym... Uchowaj Boże krytyk, które się bardzo trafić mogą, na co walać tak uczciwe imię; szargać je po gazetach, wystawiać na śmiechy!

Stanisławowi zdało się, że nie dosłyszał.

— Ależ to imię jest moje, zawołał, a nigdy zdaje mi się nic takiego nie uczynię, obok czego bym imienia mego postawić nie mógł, bo się nie powstydzę czynności.

— Doskonale to, śliczne, *et très bien tourné!* — dodał zimno kuzynek, ale zawsze to imię i twoje i nasze, zważać na to potrzeba, a dla nas, przyznam ci się, być wystawionemi na literackie szermę wasze... rzecz i niestosowna i niemiła. Imię Szarskich!!

Gdy to mówili, weszła w rannym ale nadzwyczaj świeżym i wykwiśniętym stroju pani Adamowa, a zobaczywszy akademika, którego przymrużonemi poznała oczyma, zagryzła kwaśno usteczka.

— A! to pan! jak się ma!

Chłód otaczający go poczynął oddziaływać na studenta, który już skłonił się tylko w milczeniu.

— Poeta! poeta! śmiejąc się dodał pan Adam sztydersko.

— A słyszeliśmy! — cicho wymówiła z ironią pani

Adamowa — to tylko źle, że poeta dla jakichś tam poezyj, tak sobie ojca naraził — Biedny pan sędzia!

— A ja pani! spytał urażony Stanisław.

— Pozwól pan sobie powiedzieć, że jeśli cierpisz, to sam temu winien jesteś.

— Jużśmy tu o tem mówili — odezwał się pan Adam do żony — no! no! jakoś to się łoży! Żywość młodzieńcza go uniosła!

— I jeszcze jedną mam panu zrobić wymówkę, dodała pani Adamowa nieco się rumieniąc — jakże to było można wydając te poezye, nie wiem tam jakie, choćby najlepsze, kłaść na nich imie nasze?

— Zdaje mi się żem mu krzywdy nie zrobił! zawołał obrażony Stanisław.

— Ale jednak pan mogłeś pojąć, wymówiła kuzynka, że to nam nie robi przyjemności. Zawsze pisanie książek jest coś nakształt rzemiosła... a ludzie naszego urodzenia nie piszą...

Nie było co odpowiedzieć na to; zapomniawszy już o Adeli, o wszystkiém, Stanisław chwycił za czapkę, chciał zaraz zegnać i odejść, bo w nim krew wrzała, gdy:

— Ach! słyszeć się dało w progu, podniósł oczy i ujrzał — Adele.

Tak, był to cień tej młodej Adelki wiejskiej, którą znał dawniej, która mu miłość i wiarę w prostocie ducha ślubowała — ale to już nie była owa Adel-



ka którą kochał Kilkanaście miesięcy życia, pobyt w dwóch miastach stołecznych i poczynający się kręcić koło niej wielbiciel, zmienili ją do niepoznania. Piękność jej zyskała na blasku, na rozkwicie, ale straciła na naturalności i wdzięku niewinnym; była to panienka tylko co z pieszczonego wykluta dziecięcia, jedynaczka i dziedziczka milionów, a z oka jej płynęło że wiedziała o tém.

— Twarz jej na widok Stanisława nie pokryła się nawet przelotnym rumieńcem, oko jej ani na chwilę nie zaszło uczuciem, ani niepokojem, pierś żywszém tchnieniem się nie wzniosła, tylko uśmiezek już do matczynego podobny rozwinął jej koralowe wargi i po *ach* — dodała:

— Wszak to pan Stanisław!...

Spójrzył i on, chciał mówić, ale dość było jednego wejrzenia by oniemieć, dość było na tę laleczkę rzucić okiem, by zgadnąć, że żadne głębsze, otwartzsze uczucia mieszkać już w niej nie mogą, że trochę młodego serca zgubiła gdzieś w drodze biedna, a na jego miejsce zebrała dość miłości własnej i dumy.

Patrzała tak na niego, jakby mu wyraziście powiedzieć chciała — Nie znamy się! nie znaliśmy się i znać nie powinniśmy! nie zbliżaj się do mnie i bądźmy sobie obcy!

Ażebym przenieść chłodno boleść tego spotkania, potrzeba było wielkiego męztwa, potężnej siły nad

sobą i Stanisław dał ich dowód; cierpienie bierz-  
mowało go na rycerza; wytrwał ostatni policzek i  
nie zadźżał!

Adelka zakręciła się przeglądając w lustrze.

— Gdzież pan bywa? co pan robi? spytała — a! sły-  
szałam o poezyach! cha! cha! Jakież pan pisze wiersze?  
bardzom doprawdy ciekawa...

— Nie śmiałbym ich pokazać pani, rzekł Stanisław  
smutnie — nie spodziewam się pobłażania, a potrze-  
buję go.

Adelka nic nie odpowiedziała, minkę tylko zrobiła  
niechętną.

— Bywa pan u hrabiów N... u generała S... u  
księcia B...?

— Nie, pani.

— U pani M?

— Nie, pani, ja nigdzie nie bywam.

— Szkoda! takie miłe macie towarzystwo w Wil-  
nie, tak tu się wesoło bawią?

Zamilkli.

— A gdzie pan mieszka?

— O! i daleko i ubogo! rzekł akademik z westch-  
nieniem, ale mi i tam dobrze.

— Co za miłe przechadzki, jakie ładne nad Wilją  
bulwary! mówiła kręcąc się Adela — papo! nie praw-  
daż, dziś z księciem... pojedziemy do Zakretu...

— Pojedziemy moje dziecko, jeśli zechcesz.

— Ale ty się nie ubierasz, dodała Szarska sama— a karetka na nas czeka— mieliśmy być razem u brabiniej N....

— Natychmiast! miałem się właśnie ubierać.

— Ja nie przeszkadzam, zrywając się zawołał Stanisław i najmocniej przeproszam — może mimowoli opóźniłem.

— Ale nie! nie! — chociaż w istocie, ciszej dodał Szarski— tyle w Wilnie mamy zajęcia! Do widzenia, panie Stanisławie... wolniejszym czasem możesz odwiedzić nas kiedy.

Skinieniem głowy wcale niezapraszającym pożegnała go kuzynka, spójrzał raz jeszcze na Adelę jakby o litość błagając, ale spotkał wzrok tak chłodny, dumny, obcy, wzrok co tak wyraźnie zerwał z przeszłością, który mówił tak głośno że go znać nie chciał, iż niewiedząc prawie co czyni, wybiegł jak szalony.

A o uszy jego obił się jeszcze uśmiech długi, sztyderski, zimny, nielitościwy, szatański, który po za nim się rozlegając, dobił go do reszty.

Kulą paścił się po wschodach, przebiegł dziedzińiec, w którym piękna karetka i ludzie w liberyi herbownej czekali— poleciał, poleciał niewiedząc dokąd idzie. Gniew, oburzenie, rozpacz jakiej jeszcze w życiu nie doznał, szarpały nim i rozrywały mu serce... Jak oszalały, mówił do siebie, stawał, śmiał się, le-

ciał znowu i nie zatrzymał się aż w tłumie, który mu zaparł drogę, bo się przezeń przecisnąć nie było można. Głos jakiś poważny odezwał się nad jego uchem:

— Człowiecze! opamiętaj się, odkryj głowę i uklęknij.

Było to jakby rozkazem z nieba. Staś machinalnie zerwał czapkę z głowy, ugiął kolano, złamał ręce i począł się modlić, a podniósłszy oczy, ujrzał w górze nad sobą cały jaśniejący obraz N. Panny Ostrobramskiej.

Litościwy Anioł Stróż przywiódł biednego aż tu na próg przybytku, jak spragnionego do źródła, po kroplę pociechy. Potrzebowało jej serce! ale nie rychło zaczęły drgać usta, jękiem modlitwy — boleść tamowała mu mowę. W początku modlił się słowami tylko, myśl roztargniona, była gdzieindziej, nie mógł się oderwać od tego, co mu tak ciężki cios zadało.

Uchyliły się głowy, ucichł szmer, kapłan wznosił hostyą i razem z błogosławieństwem podniesionego na krzyżu Chrystusa, trochę spokoju spłynęło na biedne dziecko — rozpacz poczęła przechodzić w odrętwienie. Klęczał oparty o mur, oczy wlepiwszy w obraz, i msza się skończyła i lud się rozszedł i rogatki pozalejmowano, a powozy krążyć zaczęły, a on jeszcze klęczał przed Najświętszą Panną. Nie wiem jakby

tam długo tak pozostał, niemając woli i siły począć coś z sobą, gdyby go silna dłoń nie chwyciła za ramię i nie wstrzęsła nim jak uspionym

— Na Boga — có ci jest Stanisławie? tyś chory. Drugi to pewnie anioł stróż przyprowadził tu Szczerbę, który powracając od współucznia z za Ostrój Bramy, zamiast pójść po za nią przez mniej ludną część miasta, skierował się samym środkiem, choć dalszą drogą.

— Co ty tu robisz? co to jest? msza się dawno skończyła?

I przelękty przyjaciel tulił go prawie do piersi chcąc się słowa dopytać, nareszcie wyrwało się westchnienie, a z niem narzekanie.

— Pawle! rzekł— dzisiejszy dzień mnie zabił! Czyż tacy wszyscy? czy na to Bóg im dał więcej, ażeby mniej czuli? I ona! i ona! a! to straszliwe!— Nie— to nie ona— to inna?

— Szalejesz, na Boga, mówże co się stało!

— O! nie rychło potrafię! prowadź mnie do domu.

— Do domu! nie! chodź do mnie, nie chę cię tak rzucać samego, wolę byś poszedł ze mną, daj mi rękę; wypowiedasz się, wypłaczemy, i przebolejem mój Stasiu— Byle razem!

— Tak, boś ty mi na całym świecie sam jeden pozostał— rzekł smutnie Szarski. A! ty mnie nie zdradź i nie opuść przynajmniej!



Poszli milczący; Stasiowi znowu się siły przebrało i ściał usta, a Szczerba nie chciał z niego gwałtem dobywać boleści, by mu serca nie zakrwawiać.

Szczerba nie odstąpił przyjaciela, nie puścił go do domu i pozostał z nim ciągle, słuchając jego uzaleń, chociaż Stanisław więcej milczeniem niż narzekaniem przechorowywał tę boleść.

Nazajutrz zaraz pomiarkowawszy się, pan Adam przysłał szukać kuzynka, zapraszając go do siebie, ale sam Stanisław tyle miał mocy nad sobą, że pod pozorem choroby, wstrzymał się od powtórzenia odwiedzin. Nieco uspokojony Szarski powrócił do kamienicy Dawida Białostockiego, rozwiedziony z przeszłością, z rodziną, ze wszystkiem co mu było najdroższe, ale niemogąc się pozbyć oblegających go wspomnień.

Tymczasem w literackim jego życiu, coraz się mnożyły wypadki, a wkrótce ukazująca się w piśmie peryodycznym, naówczas jedynym, recenzya Noworoaczaika, która wiele w Wilnie narobiła hałasu, była jednym z najważniejszych zdarzeń. Stanisław domyślił się łatwo autora po epigrafie—*Na bezrybiu i rak ryba*, który się profesorowi Iglickiemu wyrwał z ust, na wieczorze u państwa Ciemięgow, a tu został powtórzony nieostróżnie. Sprawozdanie to z no-

wój książki pełne było dowcipu, złośliwe, szyderskie, czepiło się wszystkiego czego uczepić mogło, nawet okładek i litografij. Każdy tam coś znalazł dla siebie, i Szarskiego próby dość surowo osądzone zostały. Inaczéj być nie mogło, talent który zarazem w kilku objawiał się rodzajach, dawał wyborny pochop krytyce— tłumaczeniu z Goethego wyrzucano i wybór przedmiotu i wykonanie i że było tłumaczeniem, elegii że była za płacziwą, że mogła być naśladowaniem i t. p. i t. p.

Sonety Bazylewicza szczególnie zajadle wygwizdane zostały, a że autor recenzyi łatwo mógł po nich jeździć,— pozwolił sobie do syta i przesytu. Numer ten gazety przechodził z rąk do rąk przez dni kilka, i byłby może wielkie na Stasiu zrobić wrażenie, gdyby świeża boleść nie zdrętwiała go na wszystko.

Professor Hippolit nazajutrz po wyjściu gazety, zjawił się z nią na poddaszu.

— A co? rzekł wesoło do Szarskiego, pobici jesteśmy na wszystkich punktach, prozę i poezję, piechotę i konnicę naszą spędzono z placu. Wydawcy i współpracownikom wszystkim aż do niewinnych litografów się dostało. Przyszedłem cię pocieszyć młody żołnierzu, bo się lękam żebyś po pierwszej ranie, ducha i odwagi nie stracił.

Petrzeba się znać z krytyką, rzekł professor, a mniej to boleć będzie. Gdyby ona była wyrazem prze-

konania, a pisała się w interesie sztuki, literatury, dążności jakiejś, każde jej słowo przyjęlibyśmy z uszanowaniem i w pokorze. Ale dość spojrzeć na źródło z którego płynie, żeby się rozśmiać i ruszyć ramionami. Trzeba ci wiedzieć, żeśmy dosyć źle z profesorem Iglickim, którego ja ani poję, ani mu się kłaniam — to pierwsze. Powtóre, jeden z księgarzy spekulując na Noworocznik, chciał go nabyć u mnie za bezcen, a ja sprzedać za bibułę nie życzyłem sobie mojej i cudzej pracy. Iglicki jest z nim w przyjaźni, recenzja więc i jej duch, między niemi dwóma ułożona została. Wiem co ją zrodziło i nie mogę mieć w niej wiary: ukąsili i śmieją się.

W istocie, jestli co łatwiejszego jak bez sumienia napisać najokrutniejszą recenzję? Stawam w punkcie stosownym i dawaj mi *Illiadę Homera*, a z błotem ci ją zmięszac potrafię i dowiodę, iż mniej warta od *epopei lubelskiego pożaru*. Iglicki jutro, za kilka butelek wina lub kosz porteru, z inną literą lub pseudonymem, gotów ten sam Noworocznik wynosić pod niebiosą.

To mówiąc, professor rozśmiał się boleśnie, ruszając ramionami.

— Ale gdzież sumienie? zapytał Stanisław.

— W ogólności mało go jest na świecie, a najmniej pomiędzy piszącymi. Najłżejsza okoliczność wywołuje ich gniew i zemstę; nie ukłoniłeś mu się na ulicy, nie

posłałeś mu książki, jest przyjacielem twego nieprzyjaciela, wstał w złym humorze, świerzbią go palce, ma kilka gotowych par konceptów na sprzedaż, to dość żeby zabijał i kaleczył. W całej literaturze naszej, nie trafiło mi się jeszcze znaleźć człowieka, któryby tyle tylko miał sumienia, żeby pochwalić rzecz pochwały godną, gdy z jej autorem jest na bakier. Krytyka zresztą w dziełach ludzkich jest najłatwiejszą z natury swojej; utwór człowieka musi mieć strony słabe i niedoskonałe; wyszukać ich nie trudno, powiększyć i rozszerzyć, nauczy trochę wprawy. Jeśli myśl dobra, bijesz na wykonanie, jeśli wykonanie ma wdzięk, pomysł może być mniej trafny; potem strona moralna przedmiotu, stanowisko autora w literaturze współczesnej, jego dążności, charakter pism i t. p. dostarczają zarzutów bez końca. Święte to stare przysłowie, jeszcze z czasu dysput teologicznych—*plus negare potest asinus, quam probare philosophus*, co grzeczniej tłumaczyć możemy, łatwiej napisać pięćdziesiąt krytyk niż stworzyć jedno dziełko.

To mówiąc wstał professor Hippolit i począł Stanisława wyciągać z sobą na przechadzkę na bulwary, zwiędłą twarz jego przypisując zamkniętemu powietrzu, w którym zbytecznie się zasiedziało.

— Chodźmy się przejść, rzekł wesoło, a krytycy niech z Bogiem odpoczywają...

Szarski dał się namówić, wyszli długą ulicą ku



zamkowi wiodącą, przez dawniej Zamkową Bramę, posuwając się ku katedrze i bulwarom, a że dzień był prześliczny, wmieszali się w tłumy różnobarwne, snujące się po nad brzegami Wili. Gwar i ciżba ich otoczyła, ale Stanisław nie dawał się im rozerwać, poglądał obojętnie, słuchał jednem uchem wciąż żartującego profesora, a pragnął co najrychlej uciec i skryć się w ciszy swojej izdebki.

Drogą po nad bulwarami wciąż przesuwały się wytworne powozy idące ku Antokolowi, a Hippolit który znał każdy pojazd i każdą twarz jak stary miasta mieszkaniec, pociesznemi komentarzami, dowodzącemi jak łatwą także jest krytyka obyczajowa, przeprowadzał każdego. Wtém Staś pobladł, ujrawszy pomalutku zbliżającą się, ściskiem powozów wstrzymaną karetę, w której siedzieli pan Adam, jego żona, córka i jeszcze ktoś czwarty na przodzie. Czwartym był człowiek młody, bardzo przystojny, wystrojony, i jak poznać było łatwo, należący do wyższej warstwy towarzystwa.

Siedział on naprzeciw Adeli, a piękne dziewczę z uśmiechem wiodło z nim żywą rozmowę, i tak sobą byli zajęci, tak zajęci, że nic prócz siebie nie widzieli, że świata dla nich nie było.

— A toż kto taki? zapytał professor, to coś być musi świeżo ze wsi przybyłego, bo ich nie znam, a blach herbowych, trochę za suto na miasto.



Staś się zarumienił.

— Książę Jan siedzi na przedzie—a! jakaż to śliczna panienka! doprawdy, warto się dowiedzieć kto to taki—to coś nowego w mieście. Jacyś ludzie bogaci i panna na wydaniu.

Wtém powóz przysunął się kołując do samego bulwaru, a że dla ścisku pośpieszyć nie mógł, jeszcze się naprzeciw nich nieco wstrzymał! pan Adam i jego żona ciekawém okiem rzucili w różnobarwny tłum pieszy, jedno z nich spotkało twarz kuzynka, i jejmość jak od węża szybko w drugą się stronę odwróciła, unikając jego ukłonu; pan Adam zapatrzył się gdzieś daleko, Adela zajęta księciem ani się nawet obejrzała, i powóz po chwili uwolniony, poleciał dalej.

Zląkł się professor obaczywszy Szarskiego bladym i nagle zmienionym, niemogąc domyśleć co mu się stało.

— Pozwól mi wrócić profesorze, odezwał się młody człowiek tęsknym głosem — czuję się jakoś niezdrowszy, potrzebuję odpocząć.

Ścisnął rękę Hippolita i wmieszawszy się w tłum, pośpieszył niepostrzeżony do domu.

Długo w noc chodził, chwytając się za piersi i głowę, sądząc że go to odnowione uczucie boleści rozszarpie, aż Anioł Stróż, ten sam co wiódł kroki chłopięcia ku Ostrzej Bramie, natchnął go myślą pracy.

—Zabiję się pracą! rzekł w duchu— jest to może jedyne samobójstwo, które Bóg cierpieniu przebaczyć powinien, bo w niem jest jakaś korzyść dla ludzi.

I szybko, po młodemu uchwycił myśl swoją, garnąc się do zpylonych tek i papierów, do najzmudniejszych poszukiwań, do najtrudniejszych studyów.

Ale mu nie szło. Myśl jak motyl odlatywała gdzieś, i łapać ją było potrzeba na widmach kwiatów siedząca, gonić za nią dalej a dalej coraz w szerokie, zielone pola przeszłości... ani skuć, ani spętać swobodnej latawicy!!

Po długim wahaniu, po wielu nocach bezsennie strawionych na poprawkach i odczytywaniu, zasięgnąwszy rady przyjaciół, do której niestety, zastosować się nie było podobna, Stanisław z pierwszym rękopismem swoim, przepisany na czysto, wzięwszy w pomoc Szezerbę, wyszedł szukać księgarza coby go nabył.

Trzeba było dwóch tak młodych głów jak jego i przyjaciela, żeby nieznanemu zupełnie, bez pleców, bez przyjaciół, bez listów rekomendacyjnych, partyi i stosunków, tak po prostu wyjść z domu z papierem zagryzmołonym pod pachą, szukając nakładzcy!! Ale akademickie to czysto przysłowie— *Audaces fortuna juvat!*

Poszli spokojnie ulicą, jak gdyby szukali domu do najęcia, oba z dobrą nadzieją i wcale nie trwożni, a Szczerba, który wierzył w Stanisława po przyjacielsku, dodawał mu otuchy.

*Ab Jove principium*, udali się naprzód pokłonić staremu Zawadzkiemu, którego księgarnia niegdyś uniwersytecka, pomimo współzawodnictwa drugiej, nowszej, pierwsze w opinii wszystkich trzymała dotąd miejsce (\*). Ale zacny bibliopola nie bardzo chciał spojrzeć na młodą pisklę, które mu podawano, nie bez przyczyny może obawiając się wpuścić do księgarni jednego młokosa, bo za nimby drudzy hurmem się cisnęli. Oprócz tego, było w charakterze zakładu, w jego zwyczajach, łożyć tylko na książki uczone, po-

---

(\*) Z powodu tego wspomnienia imienia znanego i powszechnie szacowanego Józefa Zawadzkiego, i fałszywych tłumaczeń jakieby ono spowodować mogło, autor czuje się obowiązany zaprotestować wcześniej przeciw wszelkiej intencji szyderstwa lub niechęci, którąby nań wrzucić chciano. Imię zasłużonego typografa w piśmiennictwa naszego historyi, zajmuje miejsce znakomite, bo się do rozwoju literatury wszelkimi siłami przyczyniał. Nie uwłacza mu bynajmniej w przekonaniu naszém, że prac początkujących pisarzy jak Szarski, przyjmować nie chciał, a raczej nie mógł, miał bowiem ważniejsze zadania do spełnienia i te wszystkimi siłami rozwiązywał. Autor wystawił go takim jakim był w chwili jednéj, chwili danéj, nie kreślił żywota jego, nie mógł wspominać o zasługach; i czując, że ta jednostronność obrazka dać może powód zupełnie fałszywym wykładom, uroczyście oświadcza, że nie chciał bynajmniej dotknąć zacnego naczelnika domu, który stał na czele księgarstwa krajowego.

ważne, powolnego ale pewnego odbytu, a drukarnia wciąż była zajęta tłoczeniem dzieł, których wielka część wprawdzie poszła na makulaturę, reszta jakkolwiek się rozprzedała i korzyść przyniosła większą literaturze i nauce niż wydawcy.

— Ale dajże mi Waćpan pokój, rzekł starzec do Szczerby (bo Stanisław pozostał w ulicy z wielkiego strachu)— to nie moja rzecz! Gdybym takie pi-semka chciał drukować, papieruby mi wkrótce zabrakło!! Może to być prześliczne, ale cóż mi z tego? Autor nie ma imienia, nie jest ani professorem, ani sławnym człowiekiem... Ruszajcie z Bogiem, do hazardowniejszych...

Ponieważ ówczesny księgarz akademii był ostatnią brzytwą tonących, nie poszli do niego wprost dwaj młodzi pielgrzymi, ale po namyśle zwrócili się jeszcze szczęścia spróbować u Marcinowskiego, który wydawał Kuryera Litewskiego, Dzieunik Wileński i niekiedy ważył i na pomniejsze dziełka. Tu jednak do głowy domu przystąpić było trudno, a po długim oczekiwaniu gdy przypuszczono Szczerbę, pan Marcinowski śmiać mu się począł w oczy.

— Ale ja nie księgarz, rzekł ruszając ramionami— chcecie drukować waszym kosztem, dam wam bibuły za pieniądze, i każę wycisnąć tyle exemplarzy ile się podoba... Żebyś zaś miał rękopisma brać i jeszcze za nie płacić? a któż to co podobnego widział?



kto to słyshał? Najznakomitsi pisarze i kollaboratorowie Dziennika, robią jeszcze prezenciki redaktorowi, jeśli ich prace umieścić raczy i wydrukować — ale żeby mieli pretendować honorariów!! cha! cha! cha!

Pan Marcinowski mocno się począł śmiać, a Szczerba przepłoszony uciekł od niego; nie było już sposobu, poszli oba, ale z coraz kwaśniejszą miną do trzeciego nakładzcy. Księgarnia jego mieściła się w gmachu uniwersyteckim na dole, w dosyć ciemnej dziurze, w której zastali bibliopolę pracującego za kantorkiem — powitał ich dosyć grzecznie.

— A! rękopism, rzekł i rzucił nań okiem roztagonioném,—panowie chcą drukować.

— Tak jest panie!

— Bardzo dobrze, naprzód potrzeba go przedstawić do Komitetu Cenzury, potem ułożymy się o kosztu druku.

— Ale mybyśmy chcieli oddać ten rękopism panu!

— Jak to? na mój koszt?

— Tak jest.

— To niepodobna, rzekł zwracając papiery nakładzca — prasy są zajęte — niezmiernie zajęte... massy ksiąg naukowych z nich wychodzą... Zresztą literatura piękna nie idzie...

Odwrócił się i począł pisać.

Ukłonili się i wyszli.



— Stanąwszy na ulicy, spojrzeli na siebie i Stanisław nie mówiąc słowa schował dziecię swe za mundur, nie myśląc już więcej szczęścia próbować.

— Ale poczekaj-no, to nie koniec jeszcze, wstrzymał go Szczerba, wiemy w Wilnie o dwóch znakomych nakładzcach... a Manes i Zymel?

Zymel drukował wówczas wszystko co tylko mu się nawinęło, począwszy od senników i kalendarzy, do Rolwesów i nauki o owcach, a rozprzedawał bibulę swoją pudami żydkom, którzy wózkami po Litwie i Żmudzi rozwozili i senniki jego i kalendarze i powieści tłómaczone z francuzkiego, z niemieckiego, z rossyjskiego, zbiory wierszydeł, historią Syndbada, Magiellonę, książki nabożne na wpół z romanсами Lafontain'a i Kotzebuego, które składały zbiór popularnych edycyj, rozchodzących się za bezcen, ale w ogromnej liczbie exemplarzy. Wydawał na szarej bibule, drukował ćwieczkami i szuwaksem, ale zarabiał na tém ogromnie. Sam nie znał się wcale na niczém, zecerów miał żydków, korektora żyda, ale że towar jego był niezmiernie niskiej ceny, a konsumpcya rosła co dnia, odbył nie ustawał, a nawet się powiększał.

Do Zymela wydawcy kalendarzy, nie tak się było łatwo dostać, bo drukarnia jego i składy które razem polską i hebrajską literaturę w sobie zawierały, położone były wśród brudnych ulic izraelskich,

a sama głowa domu ulokowana na piętrze od tyłu, zajmowała zaciszny kątek, do którego przez mnóstwo izdebek, rąk żydowskich i zapytań ciekawych, szturmować było potrzeba. Wszędzie kręciła się czynna ludność drukarni, która przed zaprowadzeniem sznell-prassy, nadstarczała pośpiechem temperamentu za powolność narzędzi.

Zwijali się żydki różnego wzrostu i kalibru, począwszy od odartego tragarza do wymuskanego eleganta z piórem za uchem, udającego buchaltera — ci z ogromnemi balami papieru, inni z pakami książek, z korektą, z fakturami... Wózki wędrownych zakupniów naładowywały się w dziedzińcu, zajeżdżały i odjeżdżały, i anibyś je mógł posądzić z powierzchowności, że wiozły oświatę w głąb Litwy i Polesia, na Żmudź i Biało-Ruś. Tu otwierano składy, tam rozwieszano mokry papier, ówdzie zszywano druki, oprawiano je, wiązano

Sam Zymel — niemłody żyd, morejne, bo wysoko cenił głowę, która tym ogromnym zawiadując domem, umiała bibułę lichą przerabiać na pieniądz, poplamwszy ją atramentem — siedział w ustronnej izbie nad wielką księgą rachunkową, w której tajemnicach zatopiony był głęboko. Ubrany po żydowsku, z czapką na uszy wsuniętą, w szerokiém spoczywając krześle, rozmyślał podobno nad tém, czy do kalendarza dodać anegdoty, które o szeląg czyniły droższym każdy

exemplarz, ale wedle rady wielu miały i pokup powiększyć... lub zostawić go bez anegdot. Wahał się, wahał i już przechylał ku odrzuceniu, pomyślawszy że i bez anegdot, które piętnasty raz światło dzienne ujrzeć miały, wysmieniecie się ta edycja obejdzie — gdy Stanisław i Szczerba weszli do jego pracowni.

Stary żyd podniósł głowę widocznie usiłując zawczasu zgadnąć, z czém do niego przybywają, aby być panem położenia. Zymel bowiem był polityk wielki i mógł się pochwalić, że mało go kto podszedł w życiu; chociaż wężem więcej robił niż umiejętnością i rozumem.

Skrzywił się trochę żeby okazać jak mało ceni gości, i podrożyć się z sobą, bo wyrachował, że kiedy przyszli do niego, to go potrzebować muszą.

— Kłaniam, rzekł odpowiadając na przywitanie i wstał powoli, obie ręce po bokach za pas założywszy, postępując do środka pokoju — a co panowie sobie życzą?

Szczerba wyjął rękopism.

— Rękopisma! machnął żyd ręką — aj waj! na co mnie tego? na co mnie tego?

Potém pomyślawszy nieco, zapytał:

— Czy jegomość już co drukował?

— Drukował, przerwał Szczerba.

—Drukował! powtórzył żyd kiwając głową—nu! a co to za rękopisma?

—Poezye!

—Kiepski interes! kiepski interes!—pan nie ma jakiego romans tłumaczony... tłumaczenie to dobra rzecz... może Waltra-Skota?

—Ale poezye—

—Nie... nie—poezye... nie—to nie chodzi! mam ja w magazynie dosyć. Niech pan mnie da co proza, pogadamy...

—Ale pan byś to mógł nabyć tanio, rzekł Szczerba... a poezye piękne... kto wie jaka przyszłość czeka autora? może to czém dziś gardzicie, jutro się na wagę złota sprzedawać będzie?

—Na co ja mam grać na loteryą! kiedy mogę stać na pewno i wyrachować co wygram, rzekł żyd trzęsąc głową—nie! nie. Ot dobra robota... to kalendarz, a Morfeusz wyjawiać snów—A! gdyby to kto nowy Sennik napisał! pan nie zrobi jakiego Morfeusza? jabym pięknie, bardzo pięknie zapłacił.

Stanisław widząc że tu nie ma co robić, zawrócił się i pociągnął Szczerbę za sobą.

—To darmo, rzekł, nie traćmy czasu.

Żyd postął nieruchomy, popatrzał na odchodzących, plunął, kiwnął się i powrócił do swój księgi rachunkowej.

Smutni wracali z téj pielgrzymki nasi przyjaciele,

kiedy ich naprzeciw Ś. Jana w niedalekim zaułku uderzył napis:—Drukarnia Dworca.

—A ot! może jeszcze wydawca! przypominam sobie, że widział podpis jego na nakładach, trochę nawet porządniejszych od Zymelowskich, rzekł Szerba, nie żałujmy nóg, wejdźmy i spróbujmy szczęścia.

Wdrapali się więc po brudnych wschodkach i galerijkach do wnętrza kamienicy, całej woniejącej drukiem, papierem i książkami. Mniej tu było ruchu niż u sławnego Zymela i Manesa Romma, wózków księgarskich nie postrzegli, ale drukarnia była czynna. Zapytali o Dworca, nikt im odpowiedzieć nie umiał; występowali naprzeciw nim żydzi różnego wzrostu, wieku, miny, ubioru, każdy niby jako ów Dworzec, ale znać było, że go tylko zastępowali, sam główny przedsiębiorca zdawał się niepochwyconym mytem.

Trzech młodych żydków porwali rękopism i poczęli go przerzucać, czytać, kiwać głowami, szeptać do siebie, udając, że się na tém poznać mogą—potem pomruczawszy zwrócili go Szerbie.

—Panowie chcą drukować? spytał młodszy.

—Tak jest, ale nie chcemy wydawać sami, chcielibyśmy sprzedać...

Żydki pokiwali głowami, spierając się z sobą o coś po niemiecku; Stanisław zniechęcony stał ze zwieszoną głową, oparty o balustradę, niewiele wiedząc co się z nim dzieje... machinalnie przywłókł się ze



Szczerbą, ale już nie wierzył, żeby go ta żebranina do czego doprowadzić mogła.

— Sprzedać! rzekł jeden — nu! a co za to można dać?

— Jak myślicie.

— A naprzód do Cenzury.

— No, a potem?

— Jeżeli rękopism będzie podpisany...

— Cóż dać możecie?

Żydzi zaczęli się naradzać, bardzo żywo, zwłaszcza gdy Szczerba im oznajmił, że autor był już drukowany — oba ruszyli ramionami, ale trącili się łokciami.

— Nu! co pan chce? co pan chce? zapytali.

— Cóż — najmniej... sto dukatów! zawołał przyjaciel... to poezye! i jakież poezye!

Na te słowa żydzi jakby osłupieli, a starszy z nich począł się tak śmiać, ale to tak śmiać, że za boki się schwyciwszy latał po drukarni, a ledwie na chwilę uśmierzył śmiech, to znów rozpoczynał chichotać i zachodzić się w najlepsze.

— Chodźmy! chodźmy! zawołał z boleścią Stanisław.

— Czekaaj, rzekł Szczerba — wiele dacie?

— Co mamy dać! odparł starszy — jak można tak cenić!

— W targu gniewu nie ma.

— Ależ pan złoto sprzedaje, czy co?

— Czyste złoto!

— A gdyby to było i złoto! — ruszając ramionami odparł żyd.

— No, powiedzcie proszę, cóż dać możecie.

— Co! co! najwięcej! najwięcej — tu nie będzie i pięć arkuszy druku — dziesięć rubli.

Z kolei Szczerba oniemiał i uśmiechnął się boleśnie — Chodźmy, rzekł ciągnąc Szarskiego.

Staś się zatrzymał.

— Oddam, rzekł za dziesięć rubli, byle było drukowane porządnie, czysto i dacie mi dwadzieścia exemplarzy.

— Na miłość Boga! co robisz! przerwał przyjaciel.

— Pozwól mi, wiem co robię.

Wtém żydzi się znów zawahali, gdyż nagły spadek ceny i łatwość z jaką kończono zastraszyły ich, poczęli się przechadzać po izbie i szwargotać.

— Niech pan pozwoli rękopism do jutra.

— I na to zgoda! zawołał Szarski.

Wzięli więc rękopism i znikli z nim w głębi drukarni, a akademicy dosyć smutni, powarzeni i zmęczeni, pośpieszyli do domu.

---

Nigdy, żaden stosunek ludzi z ludźmi, trwalszy, codzienny, przechodzący w przywyknienie, stający się obyczajem i nałogiem, nie może być w ich życiu

obojętnym. Jak dwa czynniki chemiczne zbliżone do siebie, koniecznie wzajem modyfikować się muszą, tak dusze ludzkie nie mogą pozostać przeciw sobie bezczynne. Jest-li co wrażliwszego nad człowieka?

W tym stosunku, słabsza istota ulega silniejszej i farbuje się jęj barwą, ale i w jęj słabości są strony niepożyte, są tajemnicze cząstki, które oddziałują na najupartszą naturę. Nięma więc dłuższego zbliżenia się ludzi do siebie, któreby pozostało bez skutków na przyszłość i nie wypiętnowało się na nich wyraziście. Śmiejmy się z tego kto sądzi, że tak jest mocen w sobie, iż go nie pożyć, zmienić i wyszczerbić nie potrafi — wszystko jest zarażliwe: mądrość, głupstwo, słabość, siła, odwaga, męztwo i miłość. Wszyscy działamy i wszyscy oddziałujemy nawzajem, a w tęm krzyżowaniu się strumieni woli, siła Opatrzności rozrządza każdym prądem, chwilą i czynem mimowolnym. Nie dziwujmy się, gdy ktoś z bojażnią pogląda na zbliżanie się istoty skalanej do czystej i niewinnej, chociażby ust nie mogła otworzyć, ani się rozpościerać z zepsuciem; we wzroku, w głosie, w ruchu są jakieś niepojęte objawienia złego, a kto je nosi w sobie, ten nięm tchnąć musi. Każda namiętność przebija skorupę człowieka i na wierzch wyrasta, każda myśl skryta i najskrytsza błyska w oku, każde uczucie się przebija przez usta milczące. Moralista, któryby miał cierpliwość

rachuby i obserwacyi potrzebną, ściśle wzięwszy, z dwóch danych charakterów i położeń mógłby wskazać z góry konieczną kombinacyi wynikłość.

W starości ta siła działania zmniejsza się, bo człowiek jak żółw zamyka się pod stwardniałym puklerzem swojej przeszłości— tu już dłuższego potrzeba czasu na przyjęcie i sprawienie wpływu; ale w dzieciństwie i młodości modyfikacye idą niezmiernie szybko i cudownie, tak, że niekiedy po latach zetknięcia najsprzeczniesze charaktery i fizyognomje, wzajemnie coś od siebie zapożyczają. Fizyologowie uważali to dawno, że po długich latach małżeńskiego pożycia, przekształcają się nawet twarze, doprowadzając do jednego typu; jam nieraz przekonał się, że w dzieciach obcowanie z piastunkami, tenże sam skutek wywiera.

Wybor więc towarzyszków i towarzystwa w młodości jest niezmiernej wagi. Zepsucie, poprawa, przekształcenie przychodzą nieznacznie, ale nieuchronnie.

Stanisław, w codzienném choć krótkim obcowaniu z młodą Izraelitką, musiał wpłynąć potężnie na rozwinięcie tego umysłu chciwego nauki, oświecenia, pełnego ciekawości nienasyconej i otwartego wrażeniom. Każde jego słowo, chwytnie, rozwijane, było tematem dla dziewczęcia pragnącego pojąć mistrza i podlatującego duchem ku niemu. Ale nie na tém ograniczył się wpływ poety, mimowolnie oddycha-

jącego poezją, przy najsuchszej pracy. Jest to w naturze człowieka, że ku wyższemu i doskonalszemu się spina, że się w niem musi rozmiłować nareszcie, i Sara, dla której Stanisław był ideałem, pokochała go najzapamiętalszą młodą namiętnością. Wiedziała ona dobrze, że tysiące zapor nieprzebytych, niezwy-  
 ciężonych, dzieli ją od niego, czuła, że Szarski lito-  
 ścią chyba wypłacić się jój może, ale nie była panią  
 uczucia i kochać musiała. Ten człowiek był tak da-  
 lece wyższy od wszystkich których spotykała, tak  
 jój się wydawał wielkim i pięknym, że dusza jój jak  
 księżyc za planetą pociągnięty, musiała biedz za swym  
 panem. Nic jednak nie wydawało tego uczucia, chy-  
 ba wejrzenie długie, powłóczyste, pełne spokojnego,  
 głębokiego jakiegoś ognia, na które Stanisław nie  
 zwracał uwagi. Nieraz on zapatrzywszy się w śli-  
 czną twarz Izraelitki, zadumał się nad przeznacze-  
 niem i zabołał nad jój losem, ale prócz uroczej pię-  
 kności twarzy, nic go jeszcze nie pociągało ku niej.  
 Sara wstydziła się mówić, dla myśli, które wyrzec  
 mogła i dla języka którego wdzięk pojmując, oba-  
 wiała się go skałeczyć—oczy więc tylko i gra ry-  
 sów twarzy mówiły cicho Szarskiemu, to czego on  
 ani się domyśleć, ani zrozumieć nie mógł.

W kobietach, dla których życie gwarne, jedno wra-  
 żenie nieustannie drugim zaciera, miłość nawet nie  
 może być tém, czém jest dla osamotnionych; kwiat



to, który potrzebuje ciszy i ustroni, ażeby się w całym swym przepychu rozwinął. Na świecie, który pojął życie nieprzerwaną wrzawą i ocieraniem się o tłumy, rzadko lub nigdy nie trafiają się gwałtowne namiętności; a całkiem nieznaną jest stałość; każdy pączek nie mając czasu rozkwitnąć, opada wichrem starty. Ale w długiej ciszy i spokoju, w ustroniu z myślą i sercem zostawiony człowiek, exaltuje się łatwo, i wszystko czém żyje, do niezwyklej podnosi potęgi. Ludzie, których spotyka, większe na nim czynią wrażenie, uczucie którego doznaje głębiej mu w serce wsiąka, myśl dzielniej się w nim rozsnuwa. Święci, prorocy, asceci, musieli żyć w eremach, na pustyniach, w klasztorach, bo świat nie dałby im podnieść się do wysokości, jakiej dościgli, z Bogiem tylko pozostawszy i sobą. I miłość ludzka, ziemską, na tychże się niezmiennych prawach rozwija, i ona potrzebuje do wzrostu zamknięcia, odosobnienia, eremu zbudowanego dla siebie z ciszy i rozmyślenia. Pojąć więc łatwo, jak Sara zupełnie sama, w tej ciemnej kamienicy ojcowskiej, w tej pustce wśród wrzawy miasta, z młodością swą, świeżością uczucia i ognistém sercem zamknięta, rozmarzyć się musiała, całe dnie, nocy całe marząc tylko i kochając.

Drżała gdy wchodził Stanisław, czuła krok jego wśród ulicznej wrzawy, tętniał dla niej po całym domu, zdawała się przeczuwać przyjście jego, a gdy

główkę swą czarnym uwieńczoną warkoczem zbliżała do szyby okna, pewną była, że go przechodzącego zobaczy, tak ją już uczucie związało z każdym krokiem ulubieńca. Ale w Stanisławie zimną tylko spotykała obojętność, łagodną, uprzejmą, sympatyczną, ale tak chłodną, tak chłodną! że się zdawało jakby już nigdy serce jego dla niej poruszyć się nie mogło. Trochę ją uważał za dziecię, a bardzo, bardzo jeszcze pamiętał, że była żydówką!

Od owego prześladowania Abramowego, starzec nie ukazał się już więcej, a kupiec i kupcowa byli podwójnie grzeczni dla Stanisława. Umieli oni przecie ocenić młodego człowieka nie tylko owocem nauki, bardzo zresztą widocznym, bo pojętna Sara, niezmiernie korzystała z jego lekcyj, ale z obejścia, skromności i szlachetnego charakteru. W początkach byli niemal pogardliwi i dumni, powoli poczeli go szanować i uważać na niego. Inaczej być nie mogło, bo dzieciom Izraela, wygnańcom rozproszonym po świecie, Bóg dał osobliwszą znajomość ludzi, o których się ni ustannie w swój pielgrzymce ocierają; a Dawid, jako handlarz prócz tego, ciągle mając do czynienia z coraz nowemi postaciami, niepospolitym był obserwatorem charakterów. Poznał więc zaraz i ocenił wyższość Stanisława, szlachetność jego, i mimowolnie jakoś przed tym któremu płacił, którego najlepiej znał nędzę, skłonił głowę. Natury wyższe,

ludzie wybrani, każą się szanować i przymuszają nawet niechętnych do uznania swojej wyższości.

Położenie Szarskiego w tym domu, zmieniło się więc powoli, może trochę wpływem Sary, która się nie tajiła z uwielbieniem dla nauczyciela, a więcej koniecznym trybem rzeczy ludzkich. Coraz mu tu lepiej jakoś, coraz było swobodniej, a kupiec nawet, pomimo skępstwa, które go za kieszeń trzymało, warunki umowy zmieniał na coraz korzystniejsze w obawie, by nauczyciela nie stracił. Przydał się nawet Dawid i w literackim względzie Szarskiemu, bo drukarze którzy wzięli rękopism jego do przejrzania, dowiedziawszy się gdzie mieszkał, pobiegli rozpytywać gospodarza o lokatora. Kupiec dał o nim, jako o preceptorze swój córki, najpochlebniejsze świadectwo, a z kolei wybadawszy ich dla czego przyszli się dopytywać, gdy się dowiedział o rękopiśmie, mocno im zaczął doradzać jego nabycie. Wieczorem Dawid powiedział o tém przed żoną i Sarą, a nazajutrz przy lekcyi, piękna żydóweczka nie mogła wytrzymać żeby nie spytała Stasia, czy prawdą było co o nim słyssała.

Zdziwił się w początku z kąd o tém wiedzieć mogła, ale śmiejąc się przyznał do grzechu ochotnie.

Sara bardzo nieśmiało, spytała go potem, czyby jej nie mógł dać książek polskich, czyby nie doradził jej co ma czytać? Szarski zdziwiony jeszcze bardziej

żądaniem, spójrzał w jej czarne oczy nieruchomie spoczywające na sobie, a tak łagać się go zdające, że odmówić im było niepodobna. Przyrzekł więc nietylko książki, ale i pomoc w czytaniu.

Sara zapłoniła się z radości, uśmiechnęła, ale nie śmiała mu podziękować, tylko wzrokiem, który po raz pierwszy może zniepokoił młodego człowieka, bo uczuł jego władzę.

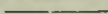
— Dziecko jestem, rzekł do siebie siadłszy w swojej izdebce i nie mogąc się pozbyć tego wzroku goniącego za nim wszędzie—dla czegoż czarne jej oczy tak we mnie dziwnie utkwiły? Jest że to dusza coby mnie zrozumieć mogła? jestli to serce coby potrafiło ukochać! I to kobieta! i to dziewczę, co w życiu sto razy musi zdradzić, ni razu wytrwać nie mogąc! O dziwne, dziwne też ze mnie dziecko! Tak łatwo lgnę i przyrastam do wszystkich—Kto wie, możebym już, gdyby się przyszło rozstać z tém brudném domóstwem, z tą żydowską rodziną, uczuł żal za niém i za Sarą!

Roześmiał się sam z siebie, ale napróżno przypominał Adełę, odbiegał myślą, prął do głębi przeszłość—wzrok Sary cichy, głęboki, wymówny, tkwił w nim przypominając poezją starożytnych porównywających wejrzenie kobiety do pocisku. Ale nie wierzył jeszcze, przypuścić nie mógł, ażeby to co czuł, mogło być ziarnkiem, z którego wyrośnie uczucie. Tłómaczył

to sobie wrażliwością chorobliwą poety, przypadkiem, dziwactwem.

I siadł pod wpływem rozdrażnienia z którego sobie nie zdawał rachunku, wyśpiewać jedną z tych pieśni tęsknych, jakich już tyle wylał na papier, mimowolnie mieszcząc w nią czarne oczy, wejrzenie, tęsknicę, milczącą i zagadkową postać Izraelitki, która mu się snuła przed oczyma.

Usnął rzucając pióro zadumany głęboko— a zamrużywszy powieki, ujrzał się w ogrodzie w Mruczynkach, i szedł z Adelą głęboko w cienisty ogród... Ale o dziwo! ile razy obejrzał się na nią, znajdował w jej sukienkach uśmiechającą mu się Sarę. Napróżno czując sen we śnie, siłił się gniewny odpędzić marę natrętą, przywołać całkowity obraz przeszłości— w miejscu Adeli stawała ciągle u boku jego piękna Izraelitka, topiąc w nim czarne swe ogniste oczy.



Życie Stanisława szło tym trybem jednostajnym, którym posuwają się igiełki zegara, na pozor nieruchome, w istocie wciąż nieprzerwanemi i niedójrzanemi krokami, idące dalej a dalej. Poezye jego sprzedane za wielką ową summę, o której wspomnieliśmy, poczynają się nareście drukować, w znakomitej oficynie współ-zawodników M. M. Romna, u mytycznego Dworca. Codziennie przychodziła na strych



Dawidowej kamienicy korekta najdziwaczniej przekształcająca myśli i słowa poety, na którą niecierpliwiąc się musiał Stanisław brać nie pierwsze już lekcyje wytrwania, nie mogąc podolać omyłk tysiącom, które jedne z drugich rodziły się bezustanku.

Rosła też powoli maluczka sława pisarza w kole jeszcze ciasném, od towarzyszków jego rozchodząc się dalej po mieście i już nawet poczynając ludziom zawadzać. Naprzód poezye drukowane w Noworoczniku, teraz mające wyjść osobno w większym zbioru, już go znajomym uczyniły; zbliżono się doń ciekawie, patrzano mu w oczy z tém zdumieniem z jakim przyglądają się dziwnemu zwierzątku lub fenomenalnie monstrualnej roślinie.

Nieraz pod takim wejrzeniem rumienił się młody człowiek i cierpiał, czując w niem więcej ciekawości, zdziwienia niż współczucia. Po większej części spotykano go szyderskim pół-śmiechem, jak kogoś naprzykład, coby cierpiał lekkie pomieszanie, lub chorował na jakie dziwactwo. Nikt nie oceniał téj odwagi z jaką się rzucał w drogę pełną cierni, za całą nagrodę przedstawującą w końcu trochę rozgłosu dla imienia, wiele ofiar nieustannych i obojętność powszechną lub zapoznanie zasługi. Każdy, jak na ból zębów lekarstwo, miał jakąś radę w kieszeni dla przyszłego literata — ten gotowe tema do poematu, ów ideę do powieści, trzeci plan potężnego dzieła, które

same tylko było potrzebne i jedno wsławić go mogło— tamten wskazywał coś koniecznie do naśladowania, drugi zastrzegał czego powinien unikać, a każdemu się zdawało, że on tylko na prawą drogę naprowadzić potrafi.

Jednego poranku Szczerba zdyszany wpadł do stacyjki przyjaciela i kazał mu się co najrychlej ubierać, z rozpromienioną twarzą, zacierając dłonie.

— Ale czegoż chcesz odemnie Pawle? zapytał zrywając się niespokojny Stanisław.

— Przynoszę ci wielce zagadkowe, ale mogące być korzystnym żądanie księcia Jana...

Szarski się mocno zarumienił, przypomniawszy to imię, które mu rzucił Hippolit, na widok młodego mężczyzny siedzącego w powozie z Adela.

— Czegoż on chce odemnie? rzekł Stanisław dość niechętnie.

— Ot — nie wiem doprawdy, odparł Szczerba po namyśle— wczoraj tylko przysyłał kogoś, sądząc, że jeszcze stoisz z nami, i żąda się widzieć z tobą... Naznaczył ci godzinę ranną, ubieraj się więc i idź do niego.

Szarski głęboko namyślać się począł, ale w końcu postanowił pójść i dowiedziawszy się o mieszkaniu księcia Jana, posunął się śpiesznie ulicą Zamkową, pożegnawszy u bramy pocziwego Pawła, który już

roił sobie że to spotkanie, jakieś szczęśliwe skutki dla młodego Szarskiego pociągnąć za sobą może.

Książę Jan... mieszkał w ładnej kamieniczce którą sam całą zajmował — należał bowiem do kwiatu arystokracji i najlepszego towarzystwa i żył stosownie do społecznego swego stanowiska. Sierota, wychowany przez opiekunów ale z staraniem największym, bo i w kraju mu nieszczędzono nauczycieli i za granicę wyprawiono po dokończeniu domowego wychowania — nie był on ani gorszy, ani lepszy od siebie równych; serce nawet miał dość dobre, chęci dość poczciwe, ale głowę niewielką; a że zrosł wśród świata, który jeśli nie zabije talentu, to z trudnością mierne zdolności rozwinać może, stał się podobny do tysiąca swoich rówieśników, na jedną uprzywilejowaną formę odlanych. Wielki zwolennik konwenansów i prawideł życia towarzyskiego, skrupulatny zachowywacz wszelkiej przyjętej formy, urządził sobie życie wedle wzoru pospólitego i wiódł je trybem wszystkich bogatych, nie pragnąc nic więcej, nie czując żadnej potrzeby, żadnego w niem braku i próżni. Gwałtownych namiętności nie miał, lubił się bawić, śmiać, próżnować, stroić, umizgać, dobrze jeść, czasem sobie trochę podchmielić, zagrać w karty, a nadewszystko niczem się nie kłopotać, i nie pracować!

Domek jego mógł służyć za wzór dobrego smaku i elegancyi, tak jak ekwipaż i ubranie, które zawsze

najświeższą było modą i najpokaźniejsze w mieście. Żył po kawalersku, ale wieczorki jego, herbatki, wist, kolacyjki niezmiernie były uczeszczane. Zresztą, jak się domyślić można z tych kilku słów charakterystyki, książę Jan niczém się szczególnie nie odznaczał, owszem zdawał ubiegać zatém, żeby utonąć i zniknąć w eleganckim tłumie, a oczów na siebie nie zwracać.

Ciężko było Szarskiemu przechodzić przez ręce, wzroki i szepty przedpokojów, których służba daleko bardziej pańską miała minę od niego—a chwila oczekiwania w autykamerze, w saloniku, zdała mu się całym wiekiem. Nareszcie lokaj drzwi otworzył i Stanisław wpuszczony został do pokoików lśniących najwytworniejszemi sprzęty. Musiał je przejść wszystkie aż do sypialni księcia, w której go zastał w szlafroku jeszcze, złocistej jakiejś wschodniej czapeczce, z cygarem w ustach i francuzką jakąś książką, otoczonego mnóstwem piesków, cacek, fraszek, fotelików, kozetek, elegancyj, wśród których biedny student ledwie obrócić się umiał. Książę grzecznie wcale powstał na jego przyjęcie, przysunął mu fotel, ale zdawał się nieco zakłopotany, od czego ma zacząć rozmowę.

—Przepraszam, rzekł nareszcie, żem pana dobrodzieja trudził; potrzebowiałem uprosić kogoś o pracę pół literacką, na wpół-historyczną, a że mi bardzo

wiele o panu mówiono dobrego, a imię jego mnie uderzyło, bo mi nie jest obcém— ośmieliłem się wezwać go...

Stanisław się skłonił.

— Prawdziwie nie wiem jak mam się panu wytłómaczyć z tego co bym po nim żądał... Chciałbym mieć historią familii mojej — dodał ciszej.

Szarski cały zrumieniony, podniósł oczy.

— Rodzina ta, mówił coraz żywiej, ale tonem łagodnym bardzo książę Jan, jak się o tém z kronik, herbarzy i familijnych archiwów przekonać można, zajmowała dosyć ważne w dziejach krajowych stanowisko... mieliśmy wielu znakomitych ludzi. Czy byś pan się nie podjął mi napisać krótki rys historyczno-genealogiczny... a stratę czasu jakaby to spowodować mogło dla niego, starałbym się o ile możności mojej wynagrodzić.

— Mości książę, odparł po chwili namysłu ośmielając się Stanisław — dotąd nie byłem nigdy najemnikiem piszącym za pieniądze co kto rozkaże, i nie pojmuję żeby tak pióro swoje sprzedawać można. Jestem ubogi, nie taję się że uczę za lichą zapłatę, ale co innego zdaje mi się jest sprzedać godzinę swego czasu, a co innego pióro najmować.

Książę niezmiernie się zmięszał.

— Co więcj, kończył Szarski, przedsięwzięcie tego rodzaju, jedną jeszcze dla mnie nieprzełamaną przed-



stawia trudność; podjąwszy się tego historycznego rysu dla familii, musiałbym go uczynić panegirykiem i wyrzec się prawdy i przekonania mojego, myśląc tylko jak w najpowabniejszym świetle wystawić przeszłość, która nie zawsze może być piękną i godną pochwały, choć wyjątkowo bohaterską być mogła.

Odpowiedź ta może była zbyt ostra, to też książę Jan uczuł się nią żywo dotknięty, i mimo nałogowej łagodności swojej, zarumieniony cały, zaciął usta, okazując się widocznie obrażonym.

— Przepraszam pana, rzekł, nie zdało mi się to ani dziwném, ani uwłaczającym dla niego — Łatwo pojąć, że ja przeszłość rodziny mojej widzę właśnie w tém świetle, w którém, jak pan powiadasz, malować byś ją musiał, dla mnie się ona inną wydawać nie może. Zresztą napisać historią rodziny można i bez panegiryku, ale widzę żebyśmy się o to porozumieć nie potrafili.

Wstał z krzesła, Szarski pospiesznie opuścił miejsce swoje i tak się rozstali szybko, ale książę pożegnał niespokojny akademika, bojąc się by ta próba spełzała na niczém, rozgłoszona, nie naraziła go na śmieszność. Stanisław jednak słowa o tém nie rzekł nikomu, czując się obowiązany do milczenia, jak się czuł w konieczności nieprzyjęcia propozycyi, której podjąć się nie dawało sumienie.

W parę dni potém, koło Kardynalii spotyka Bazy-

lewicza, który leci z ogromną furą ksiąg pod pachą, niezmiernie niby zajęty i roztargniony wedle zwyczaju, głowa zadarta, usta wydęte, oczy do góry. Raczył jakoś zobaczyć Szarskiego i zatrzymać się, mimo pośpiechu z jakim leciał.

— A! to ty mój przetkliwy poeto! rzekł — cóż? słyszę że już drukujesz sam jeden?

— Powoli, potroszę...

— A ja! cha! cha! — nie wiesz awantury! zawołał poczynając śmiać się sucho i dziwnie przymuszonym głosem. Wystaw sobie, jaka mi się doskonała trafiła gratka. Książę Jan... zażądał mieć rys genealogiczno-historyczno-apolegetyczny swój godnej rodziny — wezwał więc mnie i pióro moje, abyśmy mu wypracowali panegiryk, który książę kosztem swoim drukować będzie... A! a! cóż mi to szkodzi, że głupi! Biorę za to tysiąc złotych, a takich mu nafunduję panegiryków, że się nimi nakarmi na całe życie i stanie ich nawet dla potomków jego.

— Ale mój drogi, rzekł Stanisław, będziesz więc pisał przeciwko prawdzie, przeciw przekonaniu twojemu, przeciw dziejom, a pozwól sobie szczerzej powiedzieć, przeciw sumieniu.

— Dzieciństwo! odparł Bazylewicz, któż nie wie że książę sam dyktuje mi co mam pisać — Zresztą, korzystam z jego próżności i sam się pierwszy z dudka śmieję.

— Ale czyż się to godzi? czy się godzi? wykrzyknął Szarski.

— Oh! purytaninie! a jakżebym inaczej potrafił wyciągnąć z jego kieszeni te błogosławione tysiąc złotych?

— Ale, gdyby nie tysiąc, gdyby sto tysięcy, oburzył się akademik, przeciębym się na sprzedajnego chwalcę nie najął.

— A najmujesz gębę dając lekcyje! sprzedajesz czas swój żydom? niby to co innego?

— Czystsze to... rzekł Stanisław — praca, czas, nauka moja sprzedana za chleba kawałek, ale nie przekonanie i prawda! Wiész, że cię w tém nie poznają! dodał smutnie.

— A ja ci przepowiadam fanatyku, że będziesz chodził bez butów, odparł Bazylewicz ruszając ramionami... Cha! cha! Żebyś był wiedział jeszcze jak mu podbijałem bębenka, jakem go przedziwnie wywodził w pole, że mi... wypowiedał ze wszystkich arystokratycznych swych pojęć i dał poznać ducha w jakim mam mu napisać historyę jego domu. Komedya to była! powiadam ci, najprzedziwniejsza scena do dramatu lub romansu— kiedyś to umie. zczę w pamiętnikach moich.

— Na Boga— zawołał Staś, ale ty to bierzesz tak lekko, tak jakoś dziwnie, że ja tego pojąć nie mogę.

— I nigdy nie pojdziesz—rzekł dumnie Bazylewicz,

tyś jeden z tych ludzi, którym nie pozostaje, chyba osiąść w klasztorze, bo na świecie gdzie nie tyle potrzeba talentu, co umiejętności rządzenia się, nie potrafisz sobie dać rady. Bywaj zdrow, idę do Biblioteki oddać Niesieckiego, a wziąć w zamian Strykowskiego i Bielskiego. Trafiłem też szczęśliwie na kilka starych kazań pogrzebowych, któremi moich książąt maluję jak chcę; za tydzień robota będzie gotowa— i tysiąc złotych w kieszeni!! To coś warto!

Nic nie zrobi kto z głupstw ludzkich korzystać nie umie!

To mówiąc, świślał, rozśmiał się i uszedł.

Ukazały się nareszcie i poezye Stanisława, na których wielkie pokładał nadzieje, dopóki nie przeczytał ich jednym tchem po wydrukowaniu, pojąc się tём dziwném wrażeniem, jakie czyui na każdym początkującym, widok własnej myśli w tój nowej szacie. Czy to się znużył poprawianiem nieznośnej korekty, czy że w istocie ideałowi poety nigdy to co stwarza wystarczyć i zrównać nie potrafi— Stanisław dopiero teraz z rozpaczą poczuł, że te młodzieńcze kwiatki nie miały tój woni, barwy i mocy, jaką w nich niegdyś upatrywał. Spuścił głowę smutnie i oczekiwał wyroku.

Gdzie się pokazał mówiono mu o jego poezyach, bo

w tym czasie Wilno nie tylko czytało wiele, ale się zajmowało silnie każdym nowo wychodzącem dziełem—młodzi i starzy, rozbierali, komentowali, krytykowali, trawestowali, szydzili, ale w tem wszystkim, nawet w gwałtownej opozycyi były dowody życia.

Powtarzano co chwila biednemu poecie, co ktoś o nim gdzieś powiedział, co znaleziono w tym wierszu, czego zdawało się braknąć w drugim, ale niestety! te krytyki, zebrane w jedno, zupełnie przypominały bajkę Lafontain'a, o młynarzu, synu jego i osle. Niepodobało się jednemu co wychwalał drugi, krytykował ktoś ustęp za najlepszy uważany przez innych. Stanowisko każdego sędziego odbijało doskonale jego usposobienia, wiek, wykształcenie i służyło raczej do poznania indywiduów, niżeli do objaśnienia o wartości utworu—Kobiety chwaliły co płakało, wzdychało i przemawiało do serca rzewnością lub dzwięczało muzyką słowa, której często dosyć, by poezya chwyciła za serce przez uszy; ale jeśli z piersi rozdartej dobył się sarkazm, szyderstwo, boleść co zapomina że jej słuchać mogą—silnie, potężnie, gorąco—odwracały się główki z przestraczem i zdawały się nie pojmovać stanu duszy, który ten wykrzyk straszliwy malował. Dla jednych z nich, brakło poezjom tym formy pojętniejszej i przystępnej, dla drugich, co lubiły tylko to czego nie rozumiały—



śpiewy za nadto były jasne jeszcze i płynęły zbyt poziomo.

Młodzież powtarzała ułamki dobierając je każdy do barwy swój duszy—wesela, smutku, zadumy. W ogólności, jako tłumacz uczuć właściwych temu wiekowi, Stanisław silniej przemawiał do niej, niż do innych. Starzy niecierpliwili się nieustannie w tych pieśniach powracającą miłością, rozczuleniem, rozpaczą, wreszcie formą swobodną, do której ich dawny klassycyzm nie przyzwyczał.

Szaleni znowu excentrycy, którzy przylgnęli do szkoły romantyczną jeszcze zwanąj naówczas, dla których charakter stanowiła dopiero przesada, a karykatura była siłą—mieli to za mdłe co było prawdziwe, bo niewyszukane i proste. Olbrzymy tych ludzi, musieli występować na szczytach, nie pojowali wielkiej myśli w maluczkiem słowie.

Bazylewicz raz, wsiadłszy na Goethego pogadankę o poezji szpitalnej, wciąż jeździł na niej i wywijał gdzie mógł swoim konceptem, zarzucając Szarskiemu płacziwy egotyzm i byronowstwo. Wedle niego winien był, że rana jego tak czerwoną, tak rumianą krwią płynęła, jak inne rany—czemu nie zieloną??

Nie mówię już o Iglickim, któremu książka nowa nie protegowana przez nikogo, bezbronna, młoda, była najsmaczniejszym kąskiem. Ostrzył na nią zęby

oddawna i jeszcze mokrą przerwuciwszy za ledwie, złapawszy w nią kilka urywkowych myśli, które wyszarpięte z całości dziwnie się w istocie wydawały — zabójczą rozpoczął recenzję, w której szyderstwa, konceptu i pogardy nie szczędził. Zawsze skryty nieprzyjaciel nowej szkoły, która mu wydarła nadzieję laurów obfitszych i osadziła na kulawym stołku krytyki, mścił się na tej biednej książeczce, za wszystko co ucierpiał od tych, których ona głosu była odbiciem lub przedłużeniem.

A że mu się Stanisław nie przyszedł pokłonić, że nie szukał jego protekcyi, więc tém nielitościwiej postanowił się znęcać nad biedakiem, którego pewien był że się nikt bronić nie ośmieli.

Obok tych krytyk, stawały inne jeszcze czysto osobistemi tylko powodami — jednym nie podobały się poezye dla tego, że autor ich był zbyt młodym; drugim dla tego, że się im nie kłaniał; innym że u nich nie bywał; innym jeszcze, że się im zdało jakoby był zarozumiałym, bo się przed cudzém zdaniem nigdy nie kłaniał, nie spójrzawszy wprzód czy ono pokłonu było warte.

Ale niczém to jeszcze było obok pochwał!! Kiedy nie pojmując go wcale, ale uczuwszy głęboko obraz, myśl, bicie serca w tej poezyi młodzieńczej, chwaliła go kobieta szczerze i serdecznie, pochwała taka brzmiała najdroższą dla niego nagrodą, choć często

wystawić się nie umiała, zdać z siebie sprawy nie mogła;— ale gdy ten i ów na wiatr przekręciwszy myśl, schwyciwszy coś najmniej uderzającego, poczynął się unosić, dodając do swych uwielbień komentarjusze dowodzące, że na niczém nie były oparte—gdy ktoś tak chwalił, z takiej strony szukał piękną z której dopatrzeć go było niepodobna—o! srogię to były bicze takie pochwały i oklaski!

Komuż się nie zdarzyło być tak chwalonym, że wolałby pewnie najzjadliwsze ukąszenie wycierpieć, niż taki policzek uwielbienia? Staś znosił to wszystko milczący, ale mu się w głowie mięszało, i najpierwszym skutkiem sprzecznych zdań było wyrobione przekonanie, że głos wewnętrzny i własny kierunek najlepiej poprowadzić go może, a po nim, raczej krytyka, uprzedzona, zjadliwa, chłuszcząca niżeli apologije i panegiryki, które nic nauczyć nie mogą.

Ukazanie się artykułu krytyki w Gazecie, dowiodło znów młodemu pisarzowi, jak potężny wpływ drukowane głupstwo wywiera na słabe umysły. Wszyscy wiedzieli o pochodzeniu recenzji z butelki porteru wyczerpniętej, a żółcią starego pedagoga zaprawnej, nikt go nie szanował; przecież gdy z dowcipem wystąpił, gdy nałajał czarno na białém, a głośno i odważnie, zrobiło to widocznie potężną zmianę nawet w najprzyjaźniejszych dla Stanisława. Po ci-

chu, najprzywiązańsi Szarskiego szeptali sobie, że Iglicki miał wiele dowcipu, a może nawet niekiedy trochę słuszności w swém zdaniu! Nie mówię już o niechętnych, dla których recenzja była naturalnie, najmiłszym przysmakiem.

Szarski zgryzł się tém niezmiernie, przybolał, zwłaszcza że doskonale pojmował, iż krytyka ostrzejszą może, ale daleko sprawiedliwszą być mogła, bijąc sumiennie a poważnie w usterki istotne, a nie czepiając się dzieciństwa, słówek i nie igrając jak poliszynel z łopatką.

Zmartwiły go także twarze ludzi, z których każdy spotykając, ktoś go tą głupią recenzją, choć ni-by oburzał się na nią. W każdym ona była ustach, w każdym oku, rozminąć się z nią nie mógł nigdzie. Jedni doradzali mu odpisać, drudzy życzyli milczeć i byłby się ostatniego chwycił poeta, gdyby nie tok cały krytyki pełnej przykrych osobistości. Zdawało się młodemu, że choć młody, nie za swoją tylko sprawą, ale w interesie powszechnym powinien się być ująć za godność i kapłaństwo powołania krytyków, że obowiązany był wskazać jaką krytyka być powinna, aby dościsła swojego celu. Siadł więc pisać, a że z gorącym uczuciem schwycił za pióro i żywa hołość dostarczała mu wyrazów, napisał łatwo pełen wymowy, wzniosły i piękny artykuł, którego nie namyślając się posłał do gazety.



Ani się domyślał biedny, że i tu sumienie niewielką grało rolę, a główną własny interes, bo redaktor szacując pomoc starego Iglickiego, który mu nadsyłał swe recenzje interesujące, bo żółci i szyderstwa pełne i klasę jakąś czytelników zajmujące, nie mógł umieścić odpowiedzi, aby nie obrazić krytyka! Nie przeczuwał także, że ton jego rozprawki wyższy był o tyle od pospolitych w tym rodzaju wyrobów, iżby je wszystkie zabił, swoim niebezpiecznym sąsiedztwem.

Wyrzuty dotyczyły w ostateku nie tylko Iglickiego, ale mnóstwo kollaboratorów gazety i samego jej wydawcę, wyprowadzały na scenę sumienia— osobę zupełnie dotąd nieznaną i prawa obywatelstwa w literaturze niemającą; słowem, był to wybuch młodzieńczy, który wywoławszy uśmiech musiał pójść pod stół do kosza kopert i śmieci.

Napróżno Szarski wyglądał druku, chwycił przychodzące numera, szukał w nich swęj odpowiedzi— długo milczał redaktor, aż nareszcie w kilku zimnych słowach oznajmił raczył, że dla przyczyn od redakcyi niezawisłych, artykuł z podpisem S. S. drukowanym być nie może.

Potrzeba się było poddać, zamilczeć i zwiesiwszy głowę uleść chłóście, przeciw której nie było ratunku, nie wolno było podnieść nawet głosu. Walczył z sobą zniechęcony Szarski, myśląc z razu nie tknąć



pióra,—ale biada temu! biada! kto raz zwał się atramentem i napił się z tego naczynka słodkiej trucizny! Staje się on jak owi nałogowi pijacy opium, niewolnikiem czarnego płynu i kapać się w nim będzie całe życie. Myśl mu się nie przestanie napierać wyjść tą drogą, którą już chodzić przywykła; tłumaczyć się potrafi przed sobą, że pisze *sobie gwoli*, ale potem skorci przecie z drugimi się tą strawą przełamać.

Recenzya, narobiwszy wiele hałasu i wiele zaszkoziwszy poecie, który uczuł na swój skroni pierwsze kolce cierniowego wienca, poleciała z ulotną kartką w morze zapomnienia, a poezye tymczasem krążyły, rozchodziły się i zyskiwały coraz więcej czytelników. Z początkowych wrażeń trochę zmieszanych, niewyraźnych, tłumnych, poczęła się tworzyć opinia jakaś jednostajniejsza, pośrednia; a ci, co się zawsze żywią tylko cudzém i gotowém, roznosili ją po świecie. Nie była ona zbyt surową, owszem przyznawano talent poecie i uczucia wiele; ale że najłatwiej czémś osłabić pochwałę, dodawano że młody, że to jeszcze śpiew pisklęcia, że to pieśń jaką nóci każdy zakochany jeśli nie usty to sercem, że potrzeba czekać drugiej pracy, by osądzić, czy się co po nim spodziewać można.

—Mój drogi, rzekł mu przeczytawszy ów tomik poezyi professor Hipolit—mogę ci zaręczyć, że kil-

ka razy wśród czytania łyż mi się zakręciły w oczach, żem uczuł żywsze serca bicie i powrócił do książki z przyjemnością. Po tych znakach mogę ci śmiało prorokować powodzenie i powitać talent w tobie! Ale pamiętaj, że praca dopiero, życie, cierpienie, doświadczenie, uskrzydla i dojrzewa talent, którego Bóg daje ziarnkiem małym— a kto to ziarno wypielegnuje, temu tylko ono zakwita! A zatem dalej, mój młody bracie, dalej, a śmiało, i nie oglądaj się na sroki, co krzyczą siedząc na płocie gdy idziesz z pługiem w pole; cóżby sroki robiły, gdyby nie krzyczały??

Wśród pracy naukowej i tej, którą sam jeszcze narzucał sobie Stanisław, żył on z troską nieustanną o chleb powszedni, a ta ciężkiem była mu brzemieniem. Lekcyje jego, zaledwie z największą oszczędnością wystarczyć mogły na najuboższe życie, a innych potrzeb zaspokajać nie myślał nawet, boby im nie podołał. Stary mundurzyna służył mu jeszcze, z najtroskliwszą pielęgnowany bacnością na łokcie i poły, zdejmowany zaraz po powrocie do domu, a pomimo to codzien wyglądający groźniej. Musiał sam sobie posługiwać i szcędzić niezmiernie, co nużyło go, wymagając nieustannej o każdy krok bacności. Pomimo to jednak, codzien było ciężej, codzien trudniej, w miarę jak ubywało tego, co jeszcze z da-

wnych zachował był zapasów. Szczerba wprawdzie nie spuszczał go z oka i dzielił się z nim wszystkim, ale niełatwą to było rzeczą wymódz na Szarskim, żeby co przyjął od kogo. Nieraz wstrzymywał się od odwiedzania towarzyszków dla tego, że u nich obiad, herbata lub wieczerza w tej porze przypaść mogła.

Życie szło w ten sposób niewidocznymi wciąż okupowane ofiarami. Zrana obchodził się samą bułką na śniadanie, na obiad najczęściej pił tylko kawy szklankę, lub gdy był bardzo głodny, szedł do jednego z najędzniejszych akademickich traktyerów nie na cały obiad, ale tylko kawałek mięsa kupując dla zagłuszenia nieznośnego już głodu; wieczorem pił czasem gdzie herbatę u towarzyszków w gościnie lub obchodził się i bez niej, jeżeli siedział w domu. Mrokiem, sam ze dzbankiem wychodził po wodę, bo w domu niktby mu darmo posłużyć nie chciał, a prosić nie lubił, a płacić nie było z czego. Okryty płaszczykiem, zapięty, zręcznie przemykał się ulicą i powracał, tak się już wyuczywszy ekwilibrycznego trzymania dzbanka pełnego, że kropli wody nie rozlał. Ale przy tak nędzném utrzymaniu, wkońcu i sił już braknąć poczynęło; czuł się słabszym coraz, chudnął, kaszlał, częsty ból głowy całe dnie trzymał go w izdebce, i niktby już dziś w nim nie poznał owego rumianego chłopca, którego w szkołach zwano *Piwonią*. W mil-

czeniu, bez słowa skargi znosił i brak zdrowia i ucisk w pierwszych potrzebach życia, a gdy troskliwy Szczerba dopytywał go lub litował się nad nim, przybierał minę wesołą i nadrabiał żarcikami z niedostatku.

Innym, najuboższym nawet, jakoś lepiej się wiodło i lżej im szło życie; przyjaciele, staranie własne, dawały lekki zarobek, znajdowały się pomoce i posiłki niespodziane; Stanisław nadto był poetą, zbyt hardym, nieśmiałym a wkońcu i niedbającym o siebie, żeby na co podobnego polował i potrafił pochwycić. Ubiegał go kto chciał. Nigdy nie przywykł do zbytku, domowy niedostatek i skępstwo ojca przygotowały go do znoszenia tej nędzy; niekiedy uśmiechał się z niej jakoś smutnie, a obiecując trochę polepszenia w przyszłości, dniie upływające uważając za zbyt krótkie, zbyt zajęte, o ich upiększenie nie chciał się troskać zbytecznie.

W jego pustej izdebce, dziwne tymczasem poczęły się dziać rzeczy; jakaś niewidzialna ręka zdawała się bojaźliwie ale ciągle przychodzić w pomoc jego niedostatkowi. Wy ręczano go w pracy, znajdował powracając po kilkogodzinnej niebytności w domu, umiecioną podłogę, dzbanek swój wody pełnym, poskładane nieco, nie zbyt wyraźnie ale z pewnym staraniem ubogie rzeczy swoje. Zdziwiło go to i nastraszyło, gdyż na klucz zamykał pokoik gdy odcho-



dził i nie dopatrzył dotąd by kto na strych zaglądał, a jednak widoczną była w tém wszystkiem ręka ludzka wiedzona uczuciem litości. Czyniono to ostrożnie, z myślą żeby się nie dać wyszpiegować, tak, żeby Stanisław mógł zrazu nie postrzedz nawet otaczającej go troskliwości, choć codzien stawała się ona śmielszą i widoczniejszą. W początku znajdując wodę w dzbanie, roztargniony, sądził że ją sam musiał przynieść, pomawiał się o nieuwagę i niepamięć, a przekonawszy że tak być nie mogło, przestraszył się i zniepokoił. Wśród porozrzucanych książek tu i ówdzie, jakby przez zapomnienie pokładzone drobne pieniądze, i to go najbardziej przeraziło, gdyż nie mógł ani na chwilę powątpiewać, że je tam ktoś podrzucił umyślnie.

To wmięszanie się w jego życie nieznanomiej choć przyjaźnej ręki opatrzonej, napełniło go trwogą, niepokojem, zamyśleniem, nie wiedział co począć, radzić się nie chciał nikogo, wydać z tém wstydził, a przyjmować darów tych nie mógł i czuł, że nie był powinien.

Jedna Sara mogła być sprawczynią tego tajemniczego a nieustannego opiekuństwa, i Stanisław zgadywał w tém ją lub którego z towarzyszków; próbował nawet szpiegować, ale mu się to nie wiodło. Zasiadał na strychu, zaczął na wschodkach, i nie dopatrzył nikogo. W końcu zaczynało go to już nie-



cierpliwić. Któż mógł w tym żydowskim domu zajmować się tak jego losem i litować położeniu — potrzeba było dośledzić, musiał się nareszcie przekonać.

Cały więc jeden dzień krokiem, prócz na lekcję do Sary, nie wychodził z domu, wrócił do siebie o zmroku, stukając i kaszląc umyślnie wysunął się przez bramę na ulicę, a gdy się zupełnie ściemniło, powrócił potajemnie, przekradając się ku swój izdebce i u wnijścia jęj zakradł oczekując kto nadejdzie. Serce mu biło trochę wdzięcznością, trochę gniewem jakimś, ale długo, długo stał niedoczekawszy się nikogo. Nareszcie szelest sukni kobiécęj na wschodach i szybki chód dał się słyszeć, biała postać przesliznęła się ku drzwiczkom poddasza, otworzyła je i znikła. W blasku światła które padło na wchodzącą z wnętrza izdebki, Stanisław poznał łatwo Sarę, która dźwigała dzban wody, ale nim się namyślił co miał począć, Izraelitka wyszła z jego izdebki, unosząc z sobą dzbanek próżny i przebiegłszy mimo zdumionego studenta, spuściła się śpiesznie po ciasnych wschodkach wiodących na strychy.

Wszystko więc co znajdował w izdebce niewątpliwie jęj było dziełem — tzy puściły mu się z oczów, serce zabiło, schwycił twarz w dłonie i długo, długo tak pozostał nieruchomy. Ten cichy uczynek miłosierdzia, w nowym blasku ukazał mu dziewczę, które dotąd widział tylko piękną, ale prawie bez-

duszną istotą. Pod tą chłodną powierzchownością powolnego i rozpieszczonego dziecięcia, biło więc serce dziewicy żywemi ruchy, uczuciem tém droższem że tajonem i wystarczającym sobie, bo unikającym oczu ludzkich. Staś zadrżał na myśl, że te wycieczki Sary mogły być łatwo wyszpiewowane, wytłómaczone najfałszywiej i zrzuczone na niego — krew oblała mu twarz.

Nie było sposobu, musiał więc z tego domu, z cichej izdebki, od kątku do którego już przywykł uciekać — i żal mu się zrobiło wszystkiego co miał porzucić, a choć w tém niewidoczną była Sara, stała jednak na przedzie ze swemi czarnemi oczyma.

Szarski poruszony, wybiegł z kryjówki swojej i puścił się ulicami, chcąc rozmyśleć co miał począć; potrzebował zwierzyć się komuś a obawiał, czując i konieczność tego kroku i wstręt do obnażenia uczuć, których dotknięcie chłodnym okiem najprzyjaźniejszego nawet człowieka, bolesnym być musiało dla niego. Szyderstwo, ta plaga wieku, która mało w jakiej duszy kątku się nie gnieździ, mogła go zadrasnąć nielitościwie; nie był pewien żeby nawet Szczerba nie uśmiechnął się z téj cichej niewinnej miłości izraelskiego dziewczęcia, którą on w tak poetycznym i idealnym widział świetle.

Co było począć? co począć z sobą?

W pierwszej chwili chciał uciec, wynosić się, usu-

nać, ale jak potem zaradzić niedostatkowi, który go ścigał i gdzie się podziąć??

Zresztą godziłoż się zasmucać poczciwe, niewinne serce, które nad nim miało trochę litości?

Z temi myślami błakając się długo po ulicach, Staś nareszcie machinalnie powrócił na Niemiecką i wszedł do swęj izdebki, która nie wiem czemu wydała mu się teraz jaśniejszą, weselszą, wygodniejszą niż kiedy. U progu stał ów pełny dzbanek, tak szybko zamieniony przez Sarę, a obok niego leżało trochę owoców, jakby przypadkiem rozsypanych na podłodze.

— Biedna Saro, rzekł Stanisław w duchu, z kądem na nią spłynął ten promień Boży uczucia litości, tak skąpo udzielony innym jęj braciom? w co się obróci jęj życie, w którym nie znajdzie w koło siebie, nikogo coby ją pojąć potrafił? nikogo coby ją ocenil? Biedna Sara! biedna Sara!

I te słowa powtarzając Staś usnął w najdziwniejszych marzeniach.

Nazajutrz rano, kiedy przypominając sobie wczorajsze wypadki i myśli swoje, wstawał Staś spoglądając na ten dzbanek, ku któremu teraz nieustannie oczy się jego zwracały, powoli otworzyły się drzwi izdebki i niespodzianie wcale krzywa i nieforemna postać Falszewicza, z czerwonym nosem, pokazała się w wązkim otworze.

Z przestraczem jakimś i podziwieniem poglądał w milczeniu pedagog, na nędzne sędzica mieszkanie, na dobrowolne to zakopanie się na strychu u żyda, i nie mogąc pojąć ani powodów takiego poświęcenia, ani wytrwałości młodego człowieka, cały zmięszany, szukał napróżno jakby to sobie wytłómaczyć!

— A! Falszewicz! zakrzyknął rzucając się ku niemu Szarski — jak mi się pan miewasz; jakżem rad, że widzę pana.

Falszewicz wszedł powoli, wciąż się oglądając zdumiony, zaledwie mógł przemówić tak go to wszystko co widział dziwiło, ruszał tylko ramionami, i krążył w koło oczyma.

— Panie, panie! i pan się tu nie boisz żyć pomiędzy temi nieprzyjaciółmi krwi chrześcijańskiej, wszak pana na Wielkanoc zarznąć mogą! A! czy to ja tak spodziewałem się znaleźć pana!

I padł na krzesło ocierając pot z czoła.

Staś się rozśmiał.

— Widzisz, rzekł, że żyję zdrów i cały...

— Aleś zmizerniał!

— Mój panie, odparł Szarski, może to i z głodu, bo ci się przyznam, że czasami — czasami nie mięwam do zbytku; — i uśmiechnął się boleśnie.

Falszewicz usta otworzył przestraszony.

— Możeż to być? nie mieć co jeść ani pić! — wy-

rzekł z westchnieniem wieśniaka, który nie pojmuje do tego stopnia posunionego niedostatku.

—O! pić zawsze jest co!—odparł Stanisław z uśmiechem—na to woda, a pod Ś. Janem jój nie zabraknie... Widzisz mnie pan nawet w tak smutném położeniu, że nie mogę cię przyjąć jakbym chciał, bo grosza przy duszy nie mam.

—Proszę, proszę!—zawołał preceptor—to dziwna rzecz... a u nas mówili, że pan za jakieś dzieło swoje ogromne wziąć miałeś pieniądze!

—Prawda! ogromne!—zaśmiał się Szarski— a! nie mówmy o tém lepiej; powiedz mi raczój, kochany panie, powiedz co się tam dzieje z ojcem i matką, braćmi mojemu i siostrami; ja tak spragniony jestem wiadomości o nich wszystkich!

—Nic się tam nie zmieniło, rzekł powoli a wciąż opatrując izdebkę Falszewicz— ale jak tu pan żyć możesz?

—Mówże mi o domu.

—Sędzia od listu pańskiego, ponury, smutny, zgryźliwy, kiedy mnie nawet co mam niby u niego łauskę, dwa razy na starkę nie poprosił.

—A o mnie?

—Ani wzmianki! Jejmość oczy wyplakuje po kątach, ale także odezwać się nie śmie, a z dzieci jak które przypadkiem imie pańskie wymówi, spójrzy tylko sędzia po swojemu, toby się pod ziemię scho-



wało ze strachu! i cicho! Jednakże kiedym wyjeżdżał do Wilna.

— Wspomniał mnie!— z uniesieniem zawołał Stanisław, mów, mów! drogi Falszewicz!

— Nie po imieniu, nie; odprowadził mnie sędzia aż do ogrodu, żeby nas nikt nie posłyszał i w uliczce grabowej, powiedział po cichu:— Jeżelibyś *go* zobaczył (nie chciał wymówić imienia), jeśli się spytał o nas, powtórz mu co ci powiadam, że jeszcze przebaczyć mogę, ale nie inaczej chyba się podda władzy mojej, przeciwko której powstał, niech wróci na medycynę lub przyjedzie tu i ukorzy się.

— A lata życia stracone?— zawołał Stanisław; a ofiary! a cierpienie!

— Właśnież to i ja lata te odważyłem się sędziemu przypomnieć... nie pierwszy już rok pan chodzisz.— To nic, odparł sędzia; trzeba czemś opłacić nieposłuszeństwo, wolę żeby lat kilka stracił, a nie odstąpię od swego.

Staś westchnął.

— Winienem, rzekł— i srodze mnie Bóg już za nieposłuszeństwo pokarał; spełniłbym wolę ojca i teraz, ale wiesz panie Falszewicz, to niepodobna! niepodobna! Im więcej myślę o tém, tém bardziej mi się to wydaje niemożliwém... Nauka to nie dla mnie, co na widok trupa klękam i modlę się, a za świętokradztwo miałbym sobie krajać szczątki nieszczęśli-

wego, biednego, zmarłego gdzieś na łożu boleści, w szpitalu, sieroty! Nie, na to mi Bóg nie dał siły; ale mnie za to obdarzył cierpliwością i rezygnacją, z którą zniosę niedostatek i gorsze od niego stokroć dla mnie osamotnienie.

— Jak mi Bóg miły, tak ja pana zrozumieć nie mogę—szepnął preceptor po cichu— to darmo!

— Więc przestańmy o tém, a powiedz mi co o moich— a matka?

— Pan wiész jak sędzina się obawia, rzekł Falszewicz— pomimo to, jak się tylko dowiedziała że jadę do Wilna, szukała także chwili żeby się widzieć ze mną sam na sam i nic nie mówiąc, bo drżała jak listek, oddała mi do pana ten oto węzełek.

To mówiąc pijaczyna, dobył z bocznej kieszeni rulonik opieczętowany i ścigając go łakomemi oczyma położył na stole. Staś pochwycił skwapliwie posyłkę, nie pieniędzy w niej szukając, chciał znaleźć ślad ręki macierzyńskiej, ale go tam próżno wyglądał! Pieniądze obwinięte były w starą kopertę, na której pani sędzina bała się położyć znaku nawet, tak truchlała na myśl, że mąż tę jej pobożną zdradę odkryć może.

— A pan wie, dołożył nauczyciel, że jejmość tych kilka rubli pożyczyla u Berka arendarza pod największym sekretem! Bóg wie jak to oddać będzie mo-

gła, bo sędzia dobre ma oko — ale Berko przyrzekł czekać cierpliwie i bez procentu, chociażby rok cały!

— Droga matka! — rzekł Staś ze łzami w oczach — nie, nie chcę ja téj ofiary tak wielkim okupionéj strachem, powiesz jój żem ucałował miejsce którego dotknęły jój ręce i oddasz na powrót — mnie wystarczy moja praca...

— O! że nie odwiozę nazad to nie — odsuwając się zawołał Falszewicz, bo mi uroczyście przykazano żebym tego robić nie śmiał — musisz pan przyjąć, to darmo!

— Biedna matka! biedna matka! — ze łzami w oczach rzekł Stanisław — cóż ona pocznie!

— Jakoś to się lnem i nabiątem nieznacznie Berkowi odda, po cichu począł Falszewicz, a panu jak widzę nie zawadzi!

Falszewicz jeszcze niezaspokojony oglądem, wciąż przypatrywał się sprzętom, postaniu, okienku, szczupłości tego kątku i mruczał po cichu, nie tając swojego zdumienia.

Stanisław przerywał mu nieustannie, żądając szerokiego opowiadania o domu, siostrach i braciach, ale zimne to stworzenie nie umiało nic powiedzieć o nich, tak mało czuło samo, tak mu się w głowie pomieścić nie mogło, że Szarski nie bolejąc na swą nędzę, zamiast się dopominać pomocy, prosił tylko o nowiny z Krasnobrodu.

— Co to pan chcesz, żebym ja mu mówił o Krasnobrodzie, a co tam ma być? ot, żyją! po staremu! jegomość gderze, jejmość słucha, a dzieci żebym ich tego nie trzymał, toby dom do góry nogami wywróciły!

Chciwy szczegółów Stanisław dobyć ich nie mógł z Falszewicza, a ten tak był znowu zajęty nędzą otaczającą Szarskiego, że ciągle do niej powracał.

— To pan i sługi nie ma!— wołał— a któż panu bóty czyści, a któż wodę nosi?

— Najlepszy sługa, ja sam!

— Tfu! toć to ja już mam chłopaka! ot na co to pan zszedłeś!

— Mój kochany panie Falszewicz, a czémże-bym chłopca żywił, kiedy ja sam często bardzo się namyślać muszę, czy się bez obiadu obejść czy pójść na jedną, jedną tylko i to jaką jeszcze potrawę!

— Ja na miejscu pana, dodał preceptor, wolałbym być doktorem i ojca przeprosić, wolałbym u niego ekonomować... a co panu przyjdzie z tego gryzmolenia po papierze? tylko się ludzie śmieją, rodzice gniewają, a pan z nędzy giniesz.

Falszewicz jednak jak do opowiadania, tak i do przekonywania stworzony nie był; męczyli się ze Stanisławem długą godzinę napróżno i rozeszli oba ruszając ramionami na siebie; ale w duszy Szarskiego to widzenie się zasiało nową tęsknotę, bo mu przy-

pomniało dom żywiój znowu i wzbudziło żal za swemi.

Spełniwszy polecenia sędziego i sędzinėj, Falszewicz resztę czasu spędził widać w Wilnie, probując wódek po cukierniach, póki stawało grosza, bo go Staś kilka razy spotykał wychodzącego czerwono z coraz innego szyneczku, nie pokazał się już więcej na Niemieckiej ulicy i wkońcu znikł, nie pożegnawszy się nawet wyjeżdżając z miasta.

Państwo Adamowstwo Szarscy zabawili przez całą zimę w Wilnie, ale od owego pamiętnego poranku, nie miał już Stanisław ochoty widzieć się z nimi, a choć oni przysyłali parę razy do niego, nie śpieszył ich odwiedzić wcale. Stosunki nowe i chęćka samego pana, który tak gorąco pragnął wnijsć koniecznie w najwyższe strefy towarzyskie, wciągnęły ich w świat, do którego biednemu akademikowi wstęp był zupełnie wzbroniony. Kilka razy spotykał ich w powozie przelatujących ulicą, widział za jeżdżających na bale, do teatru, ale się do nich nie zbliżał. Pan Adam też po próbach w kilka dni od pierwszego widzenia się uczynionych, już więcej nie przysyłał do kuzynka, stosunki ich zerwały się zupełnie. Myślą tylko tęskną wracał Staś do chwil kilku spędzonych w Mruczyńcach.



W samej kruchcie kościoła Ś. Jana, jednego z tych dni, po długim niewidzeniu, zetknęli się nareszcie z panem Adamem, ale tak, że się wzajem uniknąć nie mogli. — Staś usiłował się wymknąć co najspieszniej, gdy kuzyn za rękę go wstrzymał i z surową twarzą odezwał się do niego:

— Za pozwoleniem, słówko tylko.

To powiedziawszy z zasepioną miną odprowadził go na bok nieco i sparłszy się na pysznej lasce z rękojeścią z kości słoniowej, rzekł po cichu, źle tłumiąc nieukontentowanie swoje.

— Panie Stanisławie, na Boga! co waćpan najlepszego robisz?

— Ja?— zawołał student— chciój mi pan objaśnić co to zapytanie ma znaczyć?

— Ale czyż potrzebuję tłumaczyć się wyraźniej? Waćpan hańbę robisz imieniowi naszemu?

— Ja!— zakrzyknął Szarski— a toż czém?

— Waćpan słyszę służyysz u żyda! mieszkasz z żydami! Żaden Szarski nigdy nie poniżył się do tego stopnia!

— Bo żaden Szarski jak ja może nie potrzebował na chleb pracować, nie mając innego do życia sposobu.

— Dla czegoż ten upor przeciw władzy ojcowskiej?

— Te wymówki są mi tém boleśniesz— przerwał żywo Stanisław, że je słyszę z ust pana, któryś mi

sam przecie odradzał medycynę. Nie mogłem być posłusznym ojcu, bo to przechodziło siły moje.

Pan Adam gwałtownie rzucił ramionami i poruszył się cały.

— W ostatku— rzekł— pojmuję i poniekąd tłómaczę ten waćpana wstręt do medycyny, ale czyż już innego nie było sposobu, tylko się zaprzedać żydom i zwałać gdzieś u nich na strychu?

— Panie— zawołał Szarski zaczerwieniony, ten się tylko wala kto próżnuje i je chleb nie skropiony pracą własną; żadna praca nie kala!

— A potem, ciągnął pan Adam rozgrzewając się— godziłoż się, pocziwe nasze imie szlacheckie rzucać na pastwę gryzipiórków, szyderstwa, drwinków— włóczyć je po gazetach i okrywać śmiesznością!

— Imie moje, należy do mnie, rzekł Stanisław— ja za nie odpowiadam, a że go zwałać nie dam i nie zwalam to pewna! Przestańmy téj rozmowy proszę, bośmy za daleko od siebie żebyśmy się zrozumieć mogli!

Te słowa wyrzekł tak jakoś dumnie i stanowczo, że pan Adam spójrzawszy mu w oczy, spuścił nieco z tonu.

— Dla czegoż wreszcie, rzekł łagodniej już, nie było się w potrzebie udać do mnie? pan wiesz, że lekka pomoc pieniężna, jakiejbyś mógł żądać ode mnie, nie zrobiłaby mi różnicy.

— Dla tego— odparł Stanisław grzecznie skłaniając głowę— że długów wdzięczności gromadzić nie chcę, że sobie samemu tylko pragnę być winien wszystko, a tam gdzie mnie nawet nie rozumieją...

— Stasiu kochany, coraz czulej przerwał pan Adam, z waćpana widzę gorączka szalona! Gniewasz się, burzysz! nie bywasz u nas! najmniejszą uwagę bierzesz tak ostro! to się nie godzi! Mój dom byłby ci się mógł przecie zdać na coś, zrobiłbym ci w świecie stosunki, dobrowolnie zaparłeś się tych korzyści, i powtarzam, najniepotrzebniej przyszłość nawet swoją skompromitowałeś.

Słyszac to Stanisław ruszył mimowolnie ramionami, ukłonił się raz jeszcze, ale nic nie odpowiedział.

— Żle idziesz i źle wyjdiesz, rzekł pan Adam, jeżeli mojej życzliwej nie posłuchasz rady!

— Pozwól że mi pan wprzód— z zapalem ucaśzac się odparł Staś— pozwól mi pan, żebym z serca dziękując mu za życzenia i za rady jego, zaczął od wyznania wiary, które mnie w oczach jego tłumaczyć powinno. Jesteśmy czy nie jacyś sobie krewni, to mniejsza, ja się przyznaję do wszystkich, pan może nie zawsze mógłbyś i rad to uczynić— ale stoimy na dwóch przeciwległych krańcach społeczeństwa. Zważ pan jak dziś jesteśmy od siebie daleko, i czybyśmy pogodzić się mogli. Ja pracuję, wierzę i idę z odwagą w świat dobijać się nie sławy, nie chleba.

nie dostatku i gnuśnego próżniactwa, ale wykształcenia własnego, pożytku bliźnich, ofiary dla nich i kapłaństwa poety i pisarza. To co pan zowiesz walanem pocziwego imienia, ja nazywam najpiękniejszém jego użyciem; co panu zdaje się nieprzyzwoitością, ja mam za święty obowiązek; co dla niego nieszczęściem, dla mnie jest koniecznością tylko, często sprawującą mi pociechę wewnętrzną. Jestem ubogi, to prawda, tak ubogi jak najędzniejszy z poddanych pańskich, bo mało który z nich nie ma chleba kawałka—a ja, ja go często nie miewam!—ale w duszy mojej jestem spokojny i nikomu z was nie zazdroszczę. Jakże pan chcesz byśmy się zrozumieli, bym wdział suknię cichego, pokornego dworaka i człowieka salonowego, kradnącego wiecznie myśli swoje przed językiem, ażeby ich nie wygadał.

— Prawda, rzekł z zimnym ukłonem wysłuchawszy cierpliwie wykrzykniku pan Adam— prawda, że na tym stopniu szafu, jakiegoś na którym pana w tej chwili znajduję, ciężkoby się nam było porozumieć. Waćpan jesteś do zbytku zarozumiałym, ufasz tylko w siebie, a fałszywe masz o świecie pojęcia.

— Fałszywe? Jeśli mi pan Ewangeliją tego Boga, z którego kościoła wychodzimy oba, dowiedziesz fałszu moich pojęć, uznam się chętnie zwyciężonym.

Pan Adam nieukontentowany, coraz się bardziej plątał i rad był już wywikłać.

— Ależ, na wszystko zaklinam cię, rzekł — choć tych twoich żydów porzuc! Poezye twoje, jakie one są to są, zwróciły na ciebie oczy, ten i ów powtarza żeś na służbie u żyda! to niezdolne, ja się Wacpana wypierać muszę.

Rozśmiał się Szarski.

— Kuzynku, rzekł ze złośliwym przyciskiem, bądź pewien, że moja służba od wielu jest ślachtetniejsza, a niczyj, niczyj nigdy nie potrzebując łaski, sprzedając tylko czas mój i pracę, śmiało w oczy każdemu spojrzeć mogę.

Chciał odejść, ale go jeszcze wstrzymał pan Adam.

— Stasiu, rzekł czulej — co robisz! godziż się to! Dam ci ile potrzeba na skończenie nauk w Uniwersytecie, bylebyś mnie słowem szlacheckim uręczył, że się wyniesiesz z tej przeklętej kamienicy, i więcej tych... poezyj imieniem swoim podpisywać nie będziesz? Godziż się przez upor i zarozumiałość umrzeć z głodu i poniewierki.

— Godziż się sprzedawać litość i pomoc braterską? spytał do ostatka wyexasperowany chłopak — Pan mi dajesz warunki, a ja ich przyjąć nie mogę.

— Jakto? żyda nie porzucisz dla mnie?

— Panie! rzekł ze łzą z oka wytryskującą akademik — w chwili kiedy na całym świecie nie miałem nikogo coby mi podał kroplę wody, tam znalazłem litość, serce, współczucie — i jak w przypowieści



ewangelicznój Samarytanin rany moje opatrzył. Dozwólcie mi proszę iść drogą własną, wolą własną i pracą

— A! szalona pałka! ruszając ramionami za oddalającym się rzekł do siebie pan Adam,— charakteru ma wiele, co za szkoda, że taki waryat!

Tegoż dnia, gdy w saloniku domu najętego na Wielkiej ulicy, siedzieli tylko we troje, on, żona i córka, pan Adam którego ranna rozmowa prześladowała wspomnieniem swoim dzień cały, nie mógł wytrzymać i opowiedział ją skarżąc się przed swojemi. Jakkolwiek słowa Stasia w ustach pana Adama całkiem się inaczej wydawać musiały i straciły wiele siły, bo kuzynek rolę swoją naturalnie chciał uczynić piękniejszą, a na to osłabić musiał przeciwną, i sama pani i Adelka uczuły obie ile szlachetności, ile było poczciwej dumy w tym biednym chłopcu hardym, ale pełnym serca. Obu jednak zwyczaje świata, i ta nieszczęsna przyzwoitość co gębę zamyka, nie dozwoliły się z myślą wewnętrzną objawić. Pani nawet poczęła póty w sobie przekręcać wrażenia doznane, aż z kobiety jaką była w pierwszej chwili opowiadania, stała się tylko pogardliwą wielką panią i z tego stanowiska potępiła Szarskiego. Adela, młodsza jeszcze, nie potrafiła ukryć się z tem co czuła, westchnęła po cichu, zmięszała się, pożałowała biedaka! Zdało się jęj po tem westchnieniu, po

kropelce litości, że już dla niego tak wiele, tak wiele zrobiła! Teraz stał od niej tak daleko, tak nisko, że z danej mu niegdyś niezapominajki śmiała się serdecznie, ani wiedząc co się z drugą jej połówką zrobiło.

— Wychudł, wymizerniał, kaszle, zdaje mi się, że ma już suchot początki, rzekł pan Adam,—serdecznie mi go żal, ale poradzić niepodobna, szatan poezyi go opętał. Zdumniał, ani przystąpić dziś, i z tego pokornego dziecięcia, stał się nieznośnym młokosem.

— Przyznaj jednak mój ojcze, odparła po cichu Adela, że wiele jest szlachetności w jego postępowaniu—mnie się to podoba!

— Bo wam kobietom, nawet najzimniejszym, podobają się zawsze trochę szaleńcy, śmiejąc się rzekł pan Adam— a przytém posadzam Adelkę, że dzieckiem podobno czule spoglądała na kuzynka.

— Już mnie prześladujesz mój ojcze, śmiejąc się, trochę zarumieniona odpowiedziała Adela, któryż to już mój ulubiony wedle twego obrachunku?

— Może najpierwszy z porządku, rzekł wesoło pan Adam— ale bądź mi spokojna, tego księciu Janowi nie powiem!

Adela odwróciła się, ruszyła białemi ramionami i poczęła poprawiać na kominku.

— Jakkolwiek bądź, szepnęła niedosłyszonym głosem, radabym go zobaczyć wyrosłego na poetę; nigdy jeszcze nie widziała poety!

Matka się rozśmiała.

— Bądź spokojna moja droga; w Paryżu zobaczymy Victora Hugo, Lamartin'a, Soumet'a, Alfreda de Vigny — a cóż nasi parafijanie przy nich!

— Jaka to szkoda, że przynajmniej nie pisze po francuzku, zawołał pan Adam — bo powiedźcie mi proszę, jaka jest przyszłość dla pisarza i poety w naszym kraju i języku? Myśli i uczucia swoje pięknymi ubierać słowy dla przedpokojów, lokai, ekonomów i possesorów — bo któż czyta po polsku? Dziwna rzecz, żeby się tak zaślepić i w taką dziurę dobrowolnie wpaść można.

To mówiąc westchnął pau Adam, a drugie westchnienie jakieś wtórowało mu od kominka.

Staraniem Pawła Szczerby dało się coś nareszcie wynaleźć dla Stanisława, którego położeniu ulżyć to mogło; wyszukano mu jakąś ubogą rodzinę, która ofiarowała mieszkanie i stół za pomoc naukową dla syna, a oprócz tego godzinę lekcyi w mieście mającą na resztę potrzeb dostarczyć mu trochę grosza. Poczciwy przyjaciel, który wespół z profesorem Hipolitem dobrze sobie głowy i mózg nałamał, nim znalazł to miejsce korepetytora na Łotoczku, zapewniwszy się razem o owę lekcyę płatną, obiecaną na drugim końcu miasta, uradowany że miał w kieszeni

trochę swobody dla Stasia, trochę dostatku, przybiegł do kamienicy Dawida Białostockiego. Stanisław poprawiał coś w papierach swoich, gdy Szczerba schwyciłszy go za ręce obie, rzekł z wesołym uśmiechem.

— Nareszcie opuścisz już raz te twoje nieznośne poddasze, na które drapiąc się nogi sobie popodrywałem; masz doskonałą *kondycyą*, choć w ubogim domu. Znalazłem ją dla ciebie, ale ją zaraz chwycić potrzeba, żeby nam jej kto z przed nosa nie porwał; professor Hippolit daje ci inną płatną lekcję... Z tych dwójga będziesz mógł sobie zlepić życie wcale znośne...

Jakże się zdziwił Szczerba, gdy zamiast radości ujrzał na twarzy towarzysza rozlewający się smutek— Staś padł na łóżko i tak milczący chwilę pozostał.

— A! mój drogi, rzekł po przestanku namysłu, gdybyś zajrzał w serce moje, zobaczyłbyś w niém ile ono ma wdzięczności dla ciebie .. bratabym więcćj nie kochał pewnie... ale na Boga nie kaź mi tak nagle ztąd się wynosić... już ja do tój skorupki przyrośłem. Na samą myśl opuszczenia tego lichego poddasza, mróz mnie przejmuje... mnie tu już było tak dobrze!

— Tobie tu dobrze! zdumiony przerwał Szczerba, a! przyznam ci się, że to nowiną jest dla mnie. I ta nędza! i ten szafas! i ten chłód!!



— Jakto? ty nie pojmujesz, że się przywiązać można do miejsca w którym się cierpiało?

— I owszem, pojmuję doskonale, że przechodząc ulicą Niemiecką, możesz i powinienes podnieść oczy, westchnąć i pozdrowić to mieszkanie, ale żebyś w niem chciał dłużej pozostać!... tego nie rozumiem.

— Otoż takie to jest biedne serce moje, zawołał Stanisław—jak polny rozchodnik nawet murów się czepia i na nich rozkwita. Daj mi czasu do namysłu, do nabrania odwagi...

— Ani chwili, rzekł stanowczo Szczerba. Żydzi, gdy im przestanieś być potrzebny, bez żadnej poezyi wytrąca cię za drzwi; nie potrzebujemy czekać tego, i póki się coś trafia, korzystać należy; bierzesz czapkę i idziesz ze mną.

— Na Boga! na Boga! nie mogę! zawołał łamiąc ręce Stanisław, którego oczy oparty się mimowolnie na dzbanku przypominającym mu Sarę.

— W tém więc coś jest! rzekł z kolei Szczerba— ty mi nie chcesz powiedzieć całej myśli swojej, a ja się poczynam lękać.

— Nic niema, prócz żem ja zbyt miękki i do nałogu skłonny, trochę się rumieniać odparł Szarski; przywykłem, przyrośłem, jestem gnuśny, i obawiam się wszelkiej zmiany. Któż wie czy się z tamtymi ludźmi pogodzić potrafię?

— Ależ to są ludzie jednej z tobą wiary, języka i



świata, łatwiej zdaje mi się będzie ci tam niż tu przyrosnąć.

— Wprzód się ztąd trzeba oderwać — boleśnie rzekł Stanisław.

— To dzieciństwo! przerwał Szczerba. Chodźże ze mną, zrobi się co czy nie, musisz spróbować. Pójdziemy, zobaczymy...

Nie mógł się dłużej oprzeć naleganiom Szarski niepodając się w podejrzenie i posłuszny, choć niechętnie wzięwszy płaszcz, powlekł się ze Szczerbą na Łotoczek.

Uliczka ta wąziutka, spadzista i oryginalna, oprócz bardzo porządnych domów, ma i kilka starszych, niepozornych, dziwnie się dziś wydających wpośród nowych budowli, ze swą fizyognomią napiętrowaną charakterem innego wieku. W mieście jak na świecie, co przeżyje zakres bytu swego, już się nie łączy z otaczającym, już odbija od niego i razi oko jak wpośród żywych, umarły.

Domek do którego prowadził Szczerba Stanisława, należący do biednej wdowy mieszczanina, niegdyś bogatego ale podupadłego bankructwem banków na których oparł najczystsze kapitały swoje— stał z dwóch stron ściśnięty wysokimi kamieniczkami, a sam ledwie miał sutereny i jedno piąterko nad niemi. Pozór jego wskazywał zaraz, że tam nie było czém i komu podtrzymać starój budowy, bo choć porządnie wznie-

siona i przez posłuszeństwo policyjnym przepisom bieloną bywała, tak to jakoś robiło się niestarannie, że tynki jój, dachy, okna, wejście, brama, nie były już w harmonii z sąsiednimi. Tu i ówdzie coś się wykrzywiło, pękło i zamazano niedbale pęknięcie, załatano tylko skrzywienie; bruk przed domem był stary i dziurawy, brama rozeschła i bez zawiasy. Wdowa sama nie mieszkała nawet i w tych niepozornych kilku pokoikach od ulicy, które jakiś lokator zajmował, ale ścisnęła się w oficynce przylepionej do domu od dziedzińca, i tu za Szczerbą poszedł Stanisław.

Cicho było w ciemnej sionce, pusto w pierwszym pokoiku do którego weszli nieoznajmieni przez nikogo; wszystko to skrzące ale wielkie zapowiadało ubóstwo... Obok niego błąkały się pozostałości dawnego dostatku, których zbyć nie było można, bo kupione niegdyś drogo, cenione dziś wysoko i za tanie pieniądze nie znajdowały nabywcy. Między dwoma okienkami stał fortepianik z drzewa różowego wykwiłtniej roboty, wysadzony bronzami, na cieniuchnych nóżkach staruszek, któremu już i głosu brakło, i siły, by się na wykrzywionych podstawkach utrzymać bez pochylenia.

Na ścianach wisiało kilka pięknych obrazów w starych ramach rzeźbionych i złotonych, opstrzonych od much, pyłu i zaciągniionych pajęczynami, tak, że na nich nic prawie rozeznąć nie było można.

Na kolumniece fałsz-marmurowej był i wazon alabastrowy, ale upadkiem tak potłuczony w kawałki, że jak sieć krzyżowały się na nim rysy zlepionych starannie cząstek. Obok tych szczątków reszta sprzętu, z innej już życia pochodząca epoki, była uboga i prosta: krzesła karczemne, stolik podparty oklepaną lirą czarną z złotymi strunami, kanapka w perkalikowym pokrowcu. Pozór całości ponury był i smutny.

Nierychło po zakaszaniu Szczerby, kobieta słusznego wzrostu, z zgłową chustką zawiązaną, w ciemnego koloru szlafroku, wyszła powoli z drugiego pokoju. Na jej twarzy malowało się także znużenie życiem, taka jakaś tęsknota i długie cierpienie; w rysach jej przytém tyle było szlachetności, że wejrzenie na nią wzbudzać musiało poszanowanie i litość. Niemłoda już, pomimo ubogiego stroju, ruchem, obejściem, wejrzeniem zdradzała lata przeżyte w lepszym bycie, o którym dotąd przyciśniona niedolą zapomnieć nie mogła.

— Przedstawiam pani Dormundowej mojego towarzysza Stanisława Szarskiego, rzekł Szczerba, o którym mówiliśmy—najlepszego chłopca w świecie, chorującego tylko trochę na poezję.

— O! jest to tak piękna choroba, że smutnym uśmiechem odpowiedziała Dormundowa, że jej powinszo-

wać można. Niechże no panowie siadają i bez ceremonii mówmy o moim skarbie, o moim synu...

— Tak jest, odparł Szczerba, od razu ułożmy się o warunki wszystkie, otwarcie i szczerze.

— Niema tu co mówić długo, z westchnieniem dodała kobieta— syn mój potrzebuje nie tak dozórcey i pomocnika do nauki, jak raczej poczciwego towarzysza, przyjaciela i doradźcy. Mielśmy się kiedyś lepiej, byłabym nie żałowała najdroższych nauczycieli, ale dziś—połoczyła się łza z oczów—ledwie drobinka pozostała po nieszczęściach naszych... mogę tylko podzielić się biednym stołem wdowim i dać izdebkę pod dachem moim.

Jeżeli przyjaciel pański przyjmie te warunki, dajmy sobie rękę i połączmy dwie biedy nasze, żeby nam lżej było; bo ten co za chleba kawałek i kątek podejmuje się takiej pracy, nie bardzo także musi być dostatnim.

— Mój towarzysz, przerwał Szczerba śpiesznie— zgodzi się na warunki, bo i ja i on pewni jesteśmy, że mu tu będzie dobrze.

Szarski milczał, wdowa podniosła oczy na niego, i zdawała się pilnie w fizyognomiją wpatrywać.

— No, daj że nam Boże, rzekła po chwili, żebyśmy wzajemnie z siebie byli radzi.

— Za pozwoleniem, po cichu odezwał się Szarski, ale jabym prosił choć o dni kilka dopóki się z dawne-



go mieszkania nie wybiorę i zobowiązań poprzednich nie dopełnię... wszak to pani różnicy nie zrobi?

— Co najprędzej to najlepiej, odpowiedziała wdowa—jam tu samiuteńka jedna, mój Karolek się inęczy samotnością, boję się jej dla niego, chciałabym żebyś pan przybycie przyspieszył... Ale pójdę no go tu przyprowadzę.

To mówiąc, wyszła i po chwili wróciła z wyrostkiem, który przy młodszych rysach dziwnie matkę przypominał, ale miał minę schorowaną, cierpiącą, niemal już suchotniczą. Oczy jego zbyt żywe na dziecię, wychudzenie, rumieniec, przykre robity wrażenie. Zdawał się być łagodnym, uśmiechnięty, śmiały i wesół mimo cierpienia, z ciekawością jakąś serdeczną przybliżył się do Stasia, którego rękę uścisnął.

Matka pocałowała go w głowę, rada ze zręczności i znowu podpłakała trochę.

— Pocziwe, dobre, kochane dziecko, odezwała się, gdyby nie ono i obowiązki względem niego, dawnoby już i mnie nie było na świecie... a cóżbym ja na niem bez niego robiła. Widzi nieborak że mu losu nie dam, sam nań pracuje... pracuje z całych sił i mam nadzieję, że z jego łaski ujrzę kiedyś lepsze chwile... spocznę szczęśliwsza trochę.

— A teraz, dodała— chodźmy zobaczyć pańskie mieszkanie; macie z Karolkiem dwie izdebki, młodemu powinno by to wystarczyć.



To mówiąc, przeprowadziła ich przez sień do niskich i małych, ale czystych pokoików, z których pierwszy przeznaczony był dla Stasia, drugi zajmował Karolek. Całą pieczę matki widać było w przystrojeniu tego kąta, w usłaniu łożeczka, w pozбиieraniu wszystkiego co dom miał najlepszego, dla ukochanego, jedyne go dziecka. To też pokój Karolka zadziwiał prawie wytwornością, wygodkami, i pełno w nim było ślicznostek, kosztowności nawet, pamiątek, jakoś zaciszno, wygodnie i miło. Może tego wszystkiego aż za nadto było dla młodego ubogiego chłopięcia, które los przeznaczał do walki, ale matce i to się jeszcze zdawało za mało.

— Mamy tylko jedną sługę, rzekła powracając pani Dormundowa—wszystko wszystkiem, szafarka, kucharka, lokaj i garderobiana, zresztą sami sobie służymy.

— Ja do tego przywykłem, rzekł Stanisław, a młodemu nie zaszkodzi nigdy kiedy się uczy sam wystarczać sobie.

— Jakieś pocziwe zdaje się dziecko, szepnęła jejmość do ucha Szczerbie—dobrze mu z twarzy patrzy.

— A z serca jeszcze lepiej, rzekł Paweł.

To mówiąc pożegnali wdowę rozweseloną nieco i Karolka, który odprowadzając ich zapraszał Stanisława aby jak najprędzej do niego powracał.— Szarski zamyślony pociągnął do domu.

Gdy przyszło Sarze i jej rodzicom powiedzieć, że ze się z niemi rozstać musi, i pożegnać izdebkę z którą się poprzyjaźnił, gdy przyszło rozerwać dziwne stosunki łączące go z żydowską rodziną, Stanisław długo się musiał zbierać na siłę potrzebną. Wycho-  
dził z postanowieniem najmocniejszym oznajmienia o tém i ust jakoś nie mógł otworzyć; oko Sary zaglą-  
dające mu w głębią duszy, w którym czytał przeczu-  
cie i obawę rozstania, zamykało mu wargi, tamowa-  
ło słowa. Dzień za dniem upływał, pani Dormundo-  
wa dowiadywała się, przysyłała, Szczerba przyna-  
glał, Staś zwlekał; nareszcie jednego wieczora wszedł  
na górę z mocniejszym postanowieniem i nie śmiejąc  
spójrzeć na Sarę, rzekł siadając do stolika.

— Chciałbym się widzieć z panem Dawidem; mam  
mu kilka słów powiedzieć. . .

Sara nic na to nie odpowiedziała, nie ruszyła się  
nawet, książka tylko zaszeleściła w jej ręku i była  
długa chwila milczenia, bo Stanisław drżąc także  
przewracał karty jakiegoś zeszytu.

— Przyjaciele moi, rzekł po chwili młody czło-  
wiek, wynaleźli mi jakieś mieszkanie, zajęcie, i z ża-  
łem, z żalem, dom wasz opuścić będę musiał.

Wypowiedział to szybko, a nieodbierając odpowie-  
dzi, podniósł wreszcie oczy na uczennicę. Siedziała  
nieruchoma, ze spuszczone mi na kartę książki oczy-  
ma, ale z pod długich rzęs jej czarnych, dwie łzy,

dwa strumienie srebrzyste, pędziły po zbladłej twarzy. — Staś zadrżał, żal mu się zrobiło własnego okrucieństwa, egoizmu, rad był już cofnąć słowo i nie wiedział jak sobie porządzić. Czekał na odpowiedź, ale Sara wciąż milczała, a po chwili gdy oczy podniosła na niego — spójrzenie jej długie, głębokie, niezapomniane utkwilo w młodym chłopcu. . . Wstała szybko i uciekła. Czas jakiś upłynął nim się na miejscu jej ukazała matka.

— Cóż to? — zawołała szybko od progu — pan nas chcesz porzucić?

— Muszę, odpowiedział Szarski, towarzysze moi żądają tego po mnie, znaleziono mi inne zajęcie.

— Ale to nie może być, odparła kupcowa — proszę się zatrzymać chwilę, zaraz poślę po mojego męża.

Stanisław został sam jeden, przechadzając się niepokojnie po pustej salce.

Na wschodach wprędce dał się słyszeć chód Dawida, który jednak nie wszedł wprost, ale się czas jakiś zatrzymał u żony i córki. Ukradkiem spójrzył z progu na Stanisława i z miną grzecznie poufałą zbliżył się do swego lokatora.

— Co to ja słyszę? — odezwał się — pan nas chce opuścić?

— Tak jest, muszę, muszę . .

— No, mieszkanie niewygodne, jak się panu podoba — rzekł kupiec powoli, ale lekcyj tak rozerwać

nie godzi się. Mogło panu tu być źle, choć młode-  
mu wszędzie jakoś i ze wszystkiem pogodzić się  
można.

— Nie skarżyłem się, było mi dobrze.

— Ale lekcye naszej córki? lekcye naszej córki?

— Ja mieszkać będę tak daleko...

— Nie możesz pan porzucić zupełnie starych swo-  
ich znajomych...

Staś się zawahał, ale wtém przyszła kupcowi  
w pomoc żona i Sara ukazała się na progu, tak go  
prosząc wzrokiem, tak błagając nań spoglądając, że  
Szarski oprzeć się już nie mógł.

Dawid śmiejąc się wyciągnął do niego rękę.

— No! słowo— rzekł— nie odmawiaj pan, a co się  
tyczy umowy, choć to z żydami sprawa, proszę się  
spuścić na nas... Dawid Białostocki nie zawie-  
dzie...

Sara znikła ze drzwi, a Stanisław pobiegł na wscho-  
dy cały wzruszony, wyrzucając sobie słabość i zro-  
zumieć nie mogąc co go z tym domem wiązało. Na  
widok izdebki jeszcze nieporuszonej, w której wszyst-  
ko stało na miejscach zwyczajnych, i dzban pełen  
wody u drzwi, i książki w nieładzie na stoliku pod  
okienkiem i łóżeczko rozrzucone na którym tyle bez-  
sennych, pełnych gorączkowych marzeń, nocy prze-  
pędził— stanął, zadumał się...

o Nie śmiał dotknąć nic, aby nie zburzyć tego co



dlań już miało wartość pamiątki—żał, ciężki żał ścisnął serce—załamał ręce.

—Mój Boże, rzekł duchem—o! biedne serce ludzkie, na ile się to przedmiotów, miejsc, istot rozdzierać ono musi. Zostawia go człowiek wszędzie jak owca runo swoje, dopóki całkiem nie rozda. I tu część mojego zostanie! Nie! jeszcze dziś, tę noc ostatnią przepędzę pod dachem, do którego przywykłem, a jutro dzień dostarczy mi siły.

Wśród ciszy wziął się do składania papierów i rzeczy, dawno nietykaanych... a ten przegląd wspomnień napęłnił go większym smutkiem jeszcze. Były tam i szkolne wiersze i pamiątki towarzyszków, których już nigdy ujrzeć nie miał, i okruchy życia w Krasnobrodzie, i owa z Mruczyniec niezapominajka, i próby, i listy, i poezye, i notaty, i po szczątku każda chwila życia już zabrana falą w przeszłość... a na świstku jeszcze tak żywa i przytomna.

Późno w noc przysłał po niego Szczerba i Stanisław oderwać się musiał od tego zajęcia, ażeby pobiedz do niego; zamknąwszy więc izdebkę, ruszył na Trocką ulicę.

Paweł był sam jeden, czekał go z wymówkami i twarzą surową.

—Słuchaj, rzekł, taisez mi się, nie darmo przyłgnałeś do tego domu; wiem oddawna, że dajesz lekce córce Dawida, widziałem ją raz w oknie, jest to



niepospolicie piękne dziewczątko; oszalałeś! chyba się w nią kochasz!

Staś rozplomieniał cały.

— Znasz mnie, rzekł Paweł, nie jestem tak młody żebym pochwalił zdradę dla chwili przyjemności; do czego cię to prowadzi? do podłości lub cierpienia! Twoją być nigdy nie może, na co grzęznąć coraz głębiej w to błoto. Przyznam ci się żem dla tego właśnie znalazł ci Dormundowę i naglił o przyjęcie miejsca, bom się już wszys'kiego domyślał.

— Aleś się źle domyślał, odparł Staś powolnie. — Sara jest w istocie tak piękną, tak piękną jak owa Ester, dla której Ahasverus oszalał—jak druga Ester Ahasvera polskiego nie była; ale ja znam obowiązki moje i nie dam się sercu pociągnąć, gdzie sumienie nie pozwala.

— Kochasz Sarę?

— Nie— rzekł Stanisław, ale w téj chwili zawałał się i umilkł.

— Ty się mylisz, dla czegoż ci tak trudno oderwać się od niej?

— Nie wiem— z wylaniem zupełném dodał Szarski padając na kanapę— jest to jeszcze uczucie, którego nazwać nie umiem i nie śmiem. Trochę w niem litości, trochę zachwyty, rozczulenia, wdzięczności...

— Za co? wdzięczności? za co? — podchwycił Szczerba.

— A! ty nic nie wiesz — odparł Szarski ze łzami w oczach— ty nic nie wiesz. To nie jest istota jakąbyś sobie z ojca, matki i nazwiska mógł wyobrażać; idealne to serce jak twarz którą widziałeś.

Paweł się uśmiechnął.

— Ideały, rzekł, schowaj do poezyi — w życiu ich nie spotykamy! Są ideały pięciominutowe, kwadran-sowe, półgodzinne, tygodniowe, półroczne, ale nie znam, którychby uroku nie rozbiło, nie rozwiało bliższe poznanie i zetknięcie codzienne. Na każdym jest ziemska plamka! Cóż my, jeśli nie blade odciski prototypów nieśmiertelnych, które tak cudnie odgadł stary Plato. W ręku natury odlewającej nas z błota, boska forma w niwecz idzie, są lepsze i gorsze exemplarze, ale niéma, niestety! doskonałych, niéma... niéma ideałów tylko w nas co marzym świat, jakiśmy z niebios i rąk Stworzyciela wynieśli.

— Okrutnym jesteś — odpowiedział Stanisław, ze swoją matematyczno-medyczną prozą, w której wszystko widzisz w jakimś półcieniu jednostajnym. Ale posłuchaj! posłuchaj! Jam nigdy trzech słów nie przemówił o żadném uczuciu do Sary, nigdym z jój ust odpowiedzi na inne jak na suche pytanie naukowe nie słyszał... a dziś... widziałem łzy w jój oczach.

— Klękam przed łzami, bo wszelka łza święta; ale cóż na nich zbudować można?— zapytał Szczerba.—

Na Boga! to już aż do łez przyszło! Stanisławie! zaklinam cię, ratuj się od podłości ucieczką!

— Jeszcze słowo tylko, odpowiedział Stanisław spokojnie. Znasz życie moje? wiesz w jakiej je nędzy spędzać muszę, choć się nie skarzę, a raczej nie wiesz i nie znasz nawet połowy tego com ja ucierpiał, bom się z tēn taił umyślnie. Dawno już temu począłem postrzegać w mojej izdebce jakby ślady obcej pracującej dla mnie ręki; w początku zdało mi się to przywidzeniem. Znajdowałem dzban z którym chodzę po wodę, pełnym co wieczora, niby przypadkiem rozrzucone owoce, to pieniądz jakiś między książkami. Widocznie ktoś chciał mi ulżyć ciężaru, a pragnął, bym tego nawet nie postrzegł. Dzban szczególnie zwrócił uwagę moję; zacząłem się, śledziłem i ze łzą w oku dopatrzyłem, że wypieszczone to dziecko, gdy sądziło że mnie niema, samo mi dźwigało na strych tę jałmużnę kropli wody! A teraz, powiedz, uderzywszy się w pierś, czyby ci nie żal było tak poczciwe serce zasmucić?

Szczerba umilkł i męzka twarz jego powlokła się zamyśleniem, którym pokrywał uczucie, chcąc się z niēm utaić.

— Dziś, kończył Staś— gdym zapowiedział że dom ich opuszczam, nie odrzekła mi słowa, ale na twarzy jēj dojrzałem tylko płynące dwa łez strumienie, z którymi przedemną uciekła.

— A! to źle! to źle! to najgorzej właśnie!— odezwał się wreszcie przyjaciel— potrzeba ci uciekać— na czém się to skończy?

—Przyrzekłem im, choć się wynoszę, nie przerywać lekcyj.

— Tak! i latać z Łotoczka na Niemiecką ulicę codzień!... szalony! Zawsze to jednak lepiej już niżeli tam mieszkać... Jutro, jutro się musisz przenieść do Dormundowój; tęskno ci będzie, i ona tam po tobie zapłacze, ale czas! o! czas!

— Zapomni! dokończył smutnie Stanisław— zapomni! powtórzył i wyszedł powoli.

Gdy wróciwszy do swój izdebki zapalił świecę, chcąc resztę pakunku dokończyć, zdumiał się postrzegłszy na stoliku, na tomiku poezyj który był znikł od dni kilku i którego szukał właśnie, mały złoty zegareczek. Pod nim, na ćwiartce ładnego papieru, napisane były te tylko słowa:

**O d S a r y.**

Nazajutrz, gdy najęty wózek żydowski trochę biednych sprzętów Stanisława i powiązane w paczki książki jego na Łotoczek przewoził, a akademik wychodził za nim w ulicę, na schodkach w bramie ujrzał raz jeszcze Sarę, która stała przytulona do muru żeby jej kto nie postrzegł, i zdawała się czekać



go z pożegnaniem. Staś zbliżył się do niej trzymając w ręku jej podarek, ale nie umiał przemówić; ona także słowa w ustach nie znalazła, tylko nań oczy zwróciła tak silne, tak przejmujące wyrazem, jakby w nie wlać chciała całą potęgę serca, usiłując go pociągnąć ku sobie. Z tych oczów płynęły jak wczoraj dwie łzy młode, dwa strumienie żywota!

Ale w chwili ich spotkania, z dolnych mieszkań wybiegł, długo ze swą nienawiścią dla goima przymuszony się tać stary Abram, bez pantofli, bez odzieży, w kaftanie tylko, z rozczochraną siwą brodą, a na widok jego wnuczka krzyknęła tylko i znikła.

Abram w początku nie także nie mówił, ale jego ściśnięte usta, pałające oczy i pięść podniesiona, zionęły przekleństwami, których domyślić się było łatwo.

— Idź na stracenie psi synu! mruczał, idź z domu Izraela, a niech ci *Klippes* towarzyszą w drodze. Zamieciemy śmiecia po tobie, i zatrzem ślady nieczystych nóg twoich ..

Dawid pokazał się w bramie idący do sklepu, a stary Abram, który syna szanował i trochę się go lękał, wpadł zaraz do izdebki. Stanisław posunął się za wózkiem swoim na Łotoczek.

Nim nowy człowiek przyrosnąć potrafi do rodziny którą mu los narzuca, kosztuje to wiele; potrzeba pracować nad sobą, patrzeć, poznawać się, przywy-



kać, zrozumieć, pokochać... a przytém wszystkiém zapomnieć. Stanisławowi jednak nie było to tak trudnóm, bo znalazł u Dormundowej coś więcej niżeli miał w pustce na strychu. A przecie i tamtęj serdecznie mu żał było; tam miał nieograniczoną swobodę, spokój, tu wszystkie niemal jego chwile, zabierał Karol lub jego matka.

Karolek był dzieckiem pieszczoném, ale poczeiwie i macierzyńsko; rozwinęło to w nim wprawdzie uczucie do zbytku, ale obok tego surowe miał pojęcie obowiązków życia i szanował matkę, która go najszalenięj kochała. Wszystkie jęj godziny poświęcone były jednemu dziecięciu, a jeśli z nióm być nie mogła, to o nióm tylko myślała, z nióm się uczyła, nie odstępowała go wieczorem nieukrywszy i nieutulwszy w łóżeczku i nie pobłogosławiwszy na sen nocy. Pierwsza zjawiała się zrana gdy otworzył oczy, a ledwie ze szkół powrócił, już go chwytła w ganuku oglądając, witając jak z dalekiej podróży. Niechże zabawił dłużej trochę, co tam było niepokoju i tęsknicy, co przeczuć najokropniejszych!

Karolek odpłacał miłość matki przywiązaniem najczulszém, a widząc że na nim pokładała jedyne nadzieje, choć nieustannie wstrzymywany pracował niemal nad siły, żeby zdobyć przyszłość więcej dla nięj niż dla siebie. Nieraz gdy mu zgasła świecę i przymusiła żeby spoczął, wstawał po cichu w nocy i uczył

się w łóżku, tak, by obok w drugim pokoiku śpiącej matki nie obudzić.

Ten obraz pełen smutnego wdzięku, ujął i Stanisława, choć w początku trudno mu było odpowiedzieć wszystkim wymaganiom pani Dormundowej w nieustannym zachwycie dla syna, pragnącej żeby wszyscy klękali przed jej bożyszczem. Dom składał się, jakśmy powiedzieli, z nich dwojga i ze starej Marty, sługi domu przywykłej do swój pani, nieustannie gdérającej na wszystkich, ale pracującej za cztery. Podzielała ona uwielbienie matki dla panicza, ale i Karolkowi czasem dostawało się od niej przy podanej zręczności. Musiał znosić burki, uwagi, przestrogi i nieskończone monologi starej Marty, która gdy raz poczęła naukę moralną, nic ją już od wywnętrzenia się zupełnego powstrzymać nie mogło. Nie wiem czy sama pani Dormundowa tak baczenie, tak pilném okiem, obejrzała przybysza jak ona;— przyglądała mu się z drugiej izby przez szparę, stała przynióśszy co do pokoju, bez ceremonii badając twarz jego, minę i wyzywając powoli do rozmowy.

Zdożyła się nawet w interesie ogółu na chytróść, i udawała spokojną i łagodną, nie napadając z góry na lokatora, aby go nie onieśmielać. Ale po kilku dniach, gdy wyczytała niezwikłany wcale charakter Szarskiego, wzięła go z innemi pod panowanie swoje

i zaprzęła do słuchania gderalstwa. Staś uśmiechał się, nie niecierpliwił wcale, i tém sobie zaraz łaskę stariej sługi pozyskał.

Łatwo mu też przyszło przywiązać się do pani Dormundowej, gdy ją bliżej poznał; miłość macierzyńska stanowiąca jej życie, dobroć, pobożność i wieczna nieschodząca z czoła tęsknica, bo nigdy tam na téj twarzy od lat wielu nie powstało wesele — podbiły go zupełnie. Karolek, który nie miał przyjaciela, a przeczuwał go w Stanisławie, rzucił się ku niemu z całym zapalem młodej duszy.

I tak poszło dalej, choć zaprawdę i tu nie otaczały go róże! Na domku lichym i podrujnowanym wdowa miała długi, dochód z wynajęcia szedł w większej części na opłacenie procentów i wydatków gruntowych, grosza było szczupło, a często i bardzo często i chleb i mięso i mléko brało się na kredyt w sklepikach. Winni byli żydom, lichwiarzom, niełitościwym przekupniom, tak, że często jaki sprzęcik sprzedawał się za bezcen, by zaspokoić ich nieznośne nalegania. Gdyby nie Marta, która gorąco stawiała w obronie pani i gotowa była nawet wziąć się do miotły, częstoby pani Dormundowa z domu przed wierzycielami uciekać musiała. Biedne kobiecisko, wzdychało, modliło się, płakało, chodziło do swoich krewnych daremnie, i tak dzień za dniem żyło się nadzieją, że gdy Karolek szkoły skończy, gdy zo-

stanie doktorem, zaczęą się jaśniejsze lata i trochę przyjdzie spokoju... choć na siwe włosy.

Wieleż to żywotów ludzkich podsycanych tylko nadziejami, które się nigdy nie ziszczą, wleką się tak do końca, do mogiły, otoczone ciemnością... ale Bóg policzy tam kiedyś cierpienia nasze, na które płacze ciało, na których zyskuje dusza...

Jednego popołudnia, gdy Staś korzystając z chwili wolniejszej pracował dla siebie, w dziedzińcu usłyszał głos obcy i Marty, razem prawie wymawiające imię jego. Zdziwiło go to, bo rzadko kto do niego przychodził, wyrzwał oknem i spotkał zupełnie nieznaną postać. Był to jakiś jegomość, niby żydek elegant, niby komisant sklepowy, w ubraniu modnym, w jasnej chustce na szyi, z laską o gałce brązowej, którego snać z początku Marta wzięła za natrętnego jakiegoś wierzyciela, sztuką chcącego się podkraść do domu, i silnie broniła mu do niego przystępu.

— Czego wasan tu chcesz?— mówiła zajmując sobą całe wschodki— a jak tu i jest Szarski, to co?

— Potrzebuję się z nim widzieć?

— A czegoż się wasan potrzebujesz z nim widzieć?

— No! a tobie co do tego?

— Jak to, co do tego? patrzaj-no go, a przecież to



ja tu trzymam porządek, i wiedzieć muszę kto do mego lokatora przychodzi?

— A mieszka tu u pani Dormundowej jaki Szarski?

— Patrz! już wie i o Dormundowej!

Zniecierpliwiony elegant już się odwracał i plu-  
nawszy chciał nazad odchodzić, gdy Szarski spo-  
strzegłszy go i słysząc nazwisko swoje, sam wyszedł  
w ganek. Przybyły, jakby się domyślał go, ukłonił  
się żywo i zapytał:

— Pan Szarski?

— Ja jestem.

— Patrzcie! a to się nawet nie znają! Ki kaduk!—  
odsuwając się już zawołała Marta do siebie — byle  
nie do jejmości, niech sobie idzie, choć *rybeńka* nie-  
grzeczny. Marta miała przysłowie *rybeńko*, które  
zbyt często powtarzała.

— Mam słówko do pana — odezwał się przybyły i  
wszedł do pokoju.

— Kogoż mam honor?

— To wcale do interesu nam nie potrzebne, rzekł  
rozsiadając się przybyły — jesteśmy sami?

— Zupełnie sami, niespokojny nieco odpowiedział  
Szarski.

Nieznajomy zakręcił się na krześle, widocznie nie  
wiedział od czego począć, wziął laskę w gębę, za-  
myślił się i spytał znowu po chwili.

— Wszak to pańskie czytaliśmy poezye?



— Nie wiem o jakich mowa, ale i ja wydałem poezye.

— Piękny talent! piękny talent!

Ukłon był odpowiedzią, a nieznajomy znowu umilkł, potarł włosów, zagryzł laski, spójrzał z ukosa na młodego człowieka i jakoś mu ciężko widać było wypowiedzieć z czém przyszedł, choć z oczów jego mówiła zręczność i przebiegłość.

— Piękny talent, powtórzył — co za szkoda, że w takich czasach żyjemy, kiedy go ocenić nie umieją...

— Nie skarżę się na to — rzekł Stanisław.

— Świat nie wart poetów, ale poeta wielkie ma obowiązki względem niego; pierwszym zdaje mi się karcieć go i prostować. Na tym wyrazie przycisnął umyślnie i dobitnie. Wylać swe oburzenie przeciwko złemu i szkaradzie plugawiczej społeczności, to święty obowiązek — dodał po chwili.

— Czasy satyry minęły — odparł Stanisław, a ja szczególnie nigdy się nie czułem w usposobieniu do niej.

— To dziwna rzecz! — zawołał przybyły — mnie się zdaje, że każdy prawy poeta musi, na widok zepsucia, powstać przeciwko niemu, nie tylko w sercu swojém, ale usty, ale piórem; ja to mam za obowiązek.

Stanisław popatrzał na nieznajomego, który pod tym wzrokiem śmiałym a pogodnym, spuścił biega-

jące a pełne sprytu, ale też i chytrąj przebiegłości  
oczy.

— Sądź pan sobie o mnie jak chcesz — dodał po  
chwili śmielój — ale powiem mu otwarcie, że w mi-  
sy nakłonienia go do satyry, przyszedłem tu właśnie.

— Jaśniej, panie, bo dotąd zrozumieć nie mogę o  
co chodzi.

— Powiem mu więc jasno, że chcę pana namówić  
na wiersz satyryczny, do którego podam mu przed-  
miot... a który być powinien ostry, chłoszczący,  
nielitościwy...

— Pan siebie lub mnie oszukujesz, odezwał się ze  
śmielszém coraz oburzeniem Szarski, — to co pan zo-  
wiesz satyrą, od wieków nazywa się paskwilem, a  
zdaje mi się żem jeszcze nie zszedł tak nisko, że-  
by mnie kto do tego dzieła nieprawości śmiał użyć...

Trochę zmieszany gość, wszakże pokrył śmiechem  
przykrość której doznał.

— Nadto pan jesteś surowy, rzekł wykrętnie —  
godzi się więc w oczach świata broić i gorszyć lu-  
dzi, a nie będzie się godziło skarcić występku, wy-  
śmiać śmieszności, oburzyć się na niepoczciwość.

— Tak, odparł Stanisław — wszystko się to godzi,  
byle nie tykać osób.

— Dla czegoż szanować tych co się nie szanują sa-  
mi? co nie umieją i nie chcą poszanować społeczeń-  
stwa?

— Jest to nowa wcale teorya, odparł z uśmiechem niemal pogardliwym akademik — ja się jój nie wyuczyłem jeszcze.

— Świat jój pana wyuczy, każdy mści się jak może.

— Ja mścić się nie mam powodu... a nigdy nie pragnął, nawet w osobistój sprawie, nauczyć się tego.

— Cha! cha! rozśmiał się nie wstając i nieukazując obrazy przybyły, choć Szarski słów i postawy mu nie szczędził. — Ale cóżbyś pan powiedział, na taką naprzykład historyą...

— Nie wiem czy potrzeba żebym się o niej dowiadywał?

— Prędzej czy później posłuży ona panu do czegoś, i odezwie się w nim pewnie... zresztą, nie jest to tajemnica, wszyscy o tém wiedzą w Wilnie. — Widziałeś pan zapewne lub słyszeć przynajmniej musiałeś o księciu Janie.

Staś mimowolnie zarumienił się i odwrócił z podbudzoną ciekawością

— O nim to mowa, podchwycił gość, który z twarzy zmiarkował że obudził zajęcie. Nie masz co mówić, miły chłopak, gładki, w towarzystwie słodki jak cukierek, ale język jaszczurki, ale serce żmii. Książę ten i ktoś drugi uboższy od niego, ale mu nieustępujący pewnie, starali się o względy młodój, ze wsi przybyłej panienki. Ba! może to jaka krewna pana??

— Nie! nie! — zawołał żywo zbierając papiery by ukryć wzrastające pomieszanie Szarski.

— Dotąd nic zdrożnego... Książę się podobał zalotnicy, potem niemniej podobał się kto inny, a że księciem Janem i jego sładyczą rychło się przejeść można, panna Adela poczęła zwracać oczki na drugiego, którego wymieniać nie chce... Książątko uczuło ten cios, a że mu gwałtem ożenienia z posagiem potrzeba dla powiększenia blasku mitry nieco odartej z gronostajów, nuż w intrygi.

Poszedł tedy do głowy po rozum i opuściwszy paunę, wziął się wprost do rodziców: przed nimi oczercił przeciwnika oszczerczo, niegodnie, potwarczo... Naturalnie wyzwany został — i

— No! i strzelali się, odpowiedział Stanisław.

— I nie wyszedł! nie wyszedł! — gorzko się śmiejąc zawołał gość — tak! dodając do oszczerstwa obelgę. Ten co go wyzwiał ma dziś zupełne prawo stłuc go kijem na ulicy; ale to nie dosyć, chciałby żeby i świat wiedział jakim jest książę.

Stanisław zmarszczył się i sposepniał, podparł na rękę, zamilkł, a w duszy powtarzał tylko:

— *Noli me tentare!* — i oparł się łatwo pokusie podłej zemsty, którą na chwilę serce jego uderzyło po ludzku.

— Ha! ha! nie doskonałyż to przedmiot do satyry, to życie sybaryty próżniaka, ten typ młokosa co



więcej dba o swe białe paznogie niżeli o honor, który spotwarza po cichu, a nie śmie piersi nastawić?

— Wszystko to być może oryginalne, wyborne — odparł Szarski, ale nie do poezyi, a przynajmniej nie do takiej, jak ja ją pojmuję... Zresztą, miłość własna zaślepia; przyznam się panu, że radbym tę samą historią z ust księcia Jana postyszeć, ręczę że inaczejby wcale wyglądała.

Surowo spójrzył nieznajomy wdziewając rękawiczki, które darł z zajadłością z jakąby był szarpał nieprzyjaciela.

— Tak! rzekł — w każdych ustach inaczej wygląda najprostsza czynność człowieka, ale są rzeczy których zatrzeć, wykręcić, zmienić niepodobna; podłość jest zewsząd podłością... A więc nie napiszesz mi pan historii księcia Jana... Nie chcę darmo usługi... wiem żeś pan ubogi jak poeta... zrób mi pan co zabijającego jak trucizna, a zapłacę na wagę dyamentu!

Staś skoczył z krzesła jak oparzony, drżącą ręką ukazując przestraszonemu gościowi drzwi, które z trzaskiem otworzył.

— Mości panie! — zawołał trzęsąc się z guiewu — wynoś się a szybko, bo nie ręczę za siebie. Trucizny! trucizny chcesz od poety! Czynisz mnie zbiorem płatnym! to obelga, za którą nie pojedynek, ale kij tylko pomścić się może! — precz! precz!

Nim tych słów w gorączce wymówionych dokoń-



czył, nieznajomy znikł mu z oczów i nie ręczę, czy ciekawa Marta, pełna bojowniczego ducha, dosłyszawszy ostatnich słów, nie pomogła nieznajomemu miotłą do spuszczenia się ze wschodków.

— A! świat! świat! — zawołał z boleścią tuląc twarz w dłonie poeta — świat! co za stekowisko brudów! jaka kałuża błota! I w pośród niej, wśród tego rozlanego powodzią zepsucia, hańby, podłości, wszyscy, wszyscy tak upadliśmy duchem, że nikt nie śmie wstać, podnieść się i zarzyczeć głośno na całą ziemię prorocstwem zniszczenia, potężnym wołaniem o pokutę i modlitwę!

Wleczem się, żyjemy, ocieramy o zbrodnie, a od dzieciństwa takeśmy przywykli do zgnilizny, takeśmy przesyleni temi wyziewami zatrutemi, tak nas spętała miłość gnuśnego spokoju, że w niczyjjej piersi nie ozwie się braterstwem, poświęceniem, głos coby może obudził uspięone w zdrętwieniu tłumy.

W dawnych wiekach widzimy w wielkich grodach które opanował szal szkaradny, wspaniałe postacie mężów, co usiadają, głowę posypawszy popiołem, wśród rynków i placów głosząc pomstę Bożą, wołając o poprawę. Każdą plagę z mściwej prawicy wypaść mającą, poprzedza pieśń proroka-kapłana, który gi-

nie ukamienowany, ale po sobie zostawia myśl żyjącą wiecznie.

Ten wielki Babilon Europejski strupieszasty moralnie, zabity na sercu, zgnity przez połowę, ruszający się tylko jak zwierz siłą zwierzęcą — nie ma nawet poety-wieszczka, co by mu grobową pieśń zniszczenia zanócił.

Za młodu wzdryga się człowiek, staje, patrzy, a gdy odezwie się z podziwem czystej duszy, śmiech wywołuje tylko... śmiech ten jak wiatr pustyni wysusza jego serce... i codziennie muięj poczyna się dziwić zepsuciu, codziennie słabiej odzywa się przeciwko niemu, obojętnieje, kamienieje, zamiera. I on nareszcie wrasta w tę potworną społeczność z wierzchu świecąca od ogłady, wewnątrz spróchniałą i zgniłą.

Gdzie się dotknąć, rany jak na ciele Hioba, wrzody jak na Łazarzu, choć na nich suknie wytworne. Zawszeż tak było? Nie! nie! na Boga! ludzie byli ludźmi, ale w pośród nich żyło coś co im przypominało, że lepszymi być powinni. Wieszczę byli ludów sumieniem odzywającym się wśród biesiad Baltazara. Dziś kto ośmieli się stanąć i w oczy zimnemu, zamarżtemu tłumowi powiedzieć, że krzyż który kładnie na piersiach jest urągowaniem i szyderstwem, jest świętokradzko nadużytem znamięm w domu nieprawości!

Cisza — jak przed wielką burzą, jak na ogromnym

cmentarzysku, a w miejscu pieśni Jeremiasza, odzywa się śpiewka rozpustnicy, pijany szaleem głos jęj kochanka, śmiech suchy liczącego grosze handlarza, i turkot warstalu, przedającego zbytek rękoma nędzy.

Cała ta społeczność w barwach chrześcijańskich, w odzieży dzieci Zbawiciela, znów manowcami wróciła do starego pogaństwa. Świątynie Plutusa, gody Wenery, i pryapeje szkaradne i uczty Baccha, wszystko to znajdziesz choć pod inném nazwiskiem, zmieszane ohydnie z najświęszymi słowy i znakami. W najczystszą z dusz, w najniewinniejszy z uśmiechów, w najskromniejszą postać, w najszlachetniejszą mowę, uwierzyć niepodobna — dziś, jutro, wychodzi z pod nich na jaw zakalec wieku i szkarada, której zaród wyssało dziecko z cudzołożniczej piersi...

I śmieją się, ucztują, radują, lecąc na zgubę tłumami, a głosy proroków, kapłanów, starców milczą, bo już może świat ten nie wart ich słyszeć.

I niema przemówić do kogo, bo starzy zgluchli, a młodzi zestarzelili nim dorośli.

Któżby pojął wezwanie na nową krucyatę przeciwko poganom zalewającym ziemię świętą odkupioną krwią Zbawiciela; któżby porzucił dom, nałożnice, stół, worek, łożę i spokój, aby wdziać twardą włosiennicę żołnierza Chrystusowego i pójść daleko od domu zepsucia??

Nie! tak trwać nie może! — Bóg czeka ale ludzkość

musi się odrodzić lub zginąć własnymi zabita rękami, własnymi ukamienowana grzechami .. Zepsucie dojdzie do kresu i pożre się zdychając—lepsze jutro zaświecić musi. . .

W stosunkach Szarskiego z piękną Izraelitką nic się nie zmieniło, żywiej go tylko powitano, gdy raz pierwszy przyszedł z Łotoczka, oko jej kilkakroć zdarzało mu w źrenice, szukając w nich może iskry pociechy, ale Stanisław zamknął się w sobie i prawie chłodno rozpoczął z nią codzienną pracę.

Zarumieniała się Sara widząc w ręku jego zegarek, który był od niej podarkiem, ale gdy jej chciał dziękować, zakręciła się i uciekła.

Szarski przychodził tak codzien, ale nigdy nie przemówili do siebie czulej, poufalej, serdeczniej; rozmowa ograniczała się wzrokiem tylko, wyzywającym z jednej, spokojnym choć rozczulonym często, z drugiej strony.

Staś pierwszych dni myślał się często i zamyślony wracając z lekcyj, szedł do swój dawniej izdebki na strychu; raz nawet otworzył drzwiczki w których zamku klucz znalazł i zapomniawszy się stanął w progu.

Nic się po nim nie zmieniło, nie wyniesiono i nie tknięto sprzętu, tylko kilka książek rozłożonych na stoliczku świadczyły, że ktoś tu przychodził myśleć,



czytać i tęsknić może. Staś spójrzał i znalazł tam tomik swoich poezyj, na pożegnaniu z domem otwarty, Goëthego Dywan, i pieśni, i jakąś powieść Jana Pawła!

Zdumiał go ten dziwny wybor książek, których słowa nie mógłby pojąć ten, czyja dusza już się wprzód nie otworzyła szerszemu światła promieniowi. Aby się w nich rozmiłować, aby je ocenić, potrzeba było żyć już w zaklętym poezji świecie. Kto ją do niego wprowadził? Sama-li weszła, wprost od bajek nianki przeskakując do najwznioślejszych pieśni i najdziwniejszych marzeń jakie człowiek kiedy wyśpiewał i wydumał? Zamyślony stał długo nad temi książkami, nad stołem pracy, ale wyobraźnia poczynała zbyt żywo malować mu Sarę, a może i spotkanie z nią w tym ustronnym kątku, opromienionym nadziejami młodego, i uciekł szybko, nieoglądając się za siebie, nie widząc nawet dzbanka, który stał u drzwi na pół wyschły, może na pamiątkę po nim rzucony w tym kątku, z kąd go tyle razy brał do ust spragniony...

Uciekł, ale w myśli jego pozostał wryty obraz Sary zwieszonęj nad książką w izdebce poddasza, na skrzydłach fantazyi goniącej po eterach za widziadłami oczom otaczających ją niewidzialnemi; i snił o niej, choć odpychał od siebie ten obrazek coraz cudowniej rozrastający się w wyobraźni i sercu.



Następnego dnia Sara rumieńszą go powitała twarzą, jakby wiedziała, że zajrzał w jej życie i tajemnice jego podchwycił, ale znowu nic z sobą nie mówili. Odchodząc, obejrzał się i zobaczył ją w oknie spartą na rękę, śmieliej ścigającą go wzrokiem, długo, długo, dopóki nie znikł jej z oczów. Sto razy pociągany siłą wejrzenia tego, chciał się zwrócić, zatrzymywał, wahał, głowa mu się kręciła, burzyło serce, ale zawsze surowe słowo obowiązku popychało go naprzód żelazną swą ręką.

Powrócił do smutnego dworku Dormundowej słuchać gderania stariej Marty, narzekań biednej matki, marzeń chorego chłopięcia, którego dalekie nadzieje przy coraz słabszym zdrowiu dziwnie smutno brzmiały. Karol choć się trzymał wola i młodością, wyglądał jak podjedzona przez robaczka roślina, zbladły, kaszlący, z wypieczonym rumieńcem, a każda chwila zapału przybierała w nim jakiś charakter gorączkowy i opłacała się upadkiem, prostracją późniejszą.

Stanisław, który się do nich codzien bardziej przywiązywał, postrzegł to pierwszy, ale nic powiedzieć nie śmiał matce, aby ją nie przerażać, a dla własnego tylko uspokojenia pobiegł do doktora Brant'a, przyjaciela wdowy, z zapytaniem o Karola.

Doktor Brant, poczciwe człeczysko, otyły, spokojny, flegmatyczny niemiec niegdyś, dziś przez pół po-

lak długiem w kraju zamieszkaniem, stoik i systematyczny optymista, choć miał serce najlepsze, za punkt honoru lekarski uważał nigdy go nie pokazywać. W najgorszych razach, gdy miał wybuchnąć z czułością, zażywał tabakę dla pokrycia uczucia, które twarz jego chwilowo zmienić mogło, a w potrzebie kichał i nosa ucierał, póki znów siebie nie opanował i nie wdział codziennój maski. Choroba, śmierć, ruina, zimnym go zawsze znajdowały, ale co ten chłód wyrobiony, pracy i boju kosztował!!

Doktor miał zawsze mnóstwo pacyentów, bo od większej części z nich nic nie brał, a bardzo wielu jeszcze na lekarstwa dawać musiał, trudno bywało przystąpić do niego, ale mundur akademicki znajdował zawsze drzwi otwarte. Puszczono więc zaraz Szarskiego, choć to była godzina spoczynku, w której poczciwy stary z książką w ręku, nazywało się że czytał, ale w istocie drzémał—kłamiąc sam przed sobą trzymającym w ręku drukiem. Sen poobiedni uważał on za wielce szkodliwy i zakazywał go wszystkim, sam złęgo przykładu dawać nie chciał, i nie przyznając się nigdy do poobiedniej drzémki, na książkę ją składał. Gdy Szarski wchodził, książka upadła, doktor ją podniósł żywo i poskoczył naprzeciw przybyłego.

—No, a co tam powie pan akademik?

—Pan konsyliarz nie przypomina mnie sobie?

— Tak, tak! trochę, rzekł przypatrując się stary, ale nie zupełnie... a co? chory jesteś?

— Miałem przyjemność poznać konsyliarza u pani Dormundowój, u której mieszkam.

— A! a! to to! ja też myślę! przypominam sobie, przypominam! no, no! nie tracąc czasu i bez ceregiełłów, co ci jest?

— Mnie, nic, bom zdrów; zresztą gdybym był i chory, nie zabierałbym tém czasu konsyliarzowi— ale z wielką nieśmiałością, o kogoś innego chciałbym się popytać pana.

— A no, to pokaż-że mi tego kogoś innego.

— Jestem od niedawna u pani Dormundowój, ale mnie syn jój niepokoi.

Doktor machnął ręką jakoś dziwnie i silnie zażył tabaki.

— On mi się zdaje nie zdrów, ale przed matką nie mówić nie śmiem... ona go tak kocha! Dziecko słabowite, a pracą się dobija... kaszle, sen ma niespokojny...

— Tak jest! tak jest!— zamruczał Brant— no! ale na to nie ma rady... Straszyc matki nie można, a powiem ci szczerze mój pocziwy chłopcze... z tego biednego Karolka nic nie będzie.

— Jak to?— zawołał Szarski, on w istocie jest już tak źle!!

— Patrę ja na niego oddawna— rzekł z zupełną

na pozor obojętnością lekarz, ojciec jego zmarł z suchot, dwie siostry z téj słabości życie skończyły... i on ma suchoty.

— Ale przecie na to możeby się znalazła jaka rada, sposób, środek?

Doktor pokiwał głową.

— Darmo, rzekł, darmo, to choroba zabójcza, nie przepuszcza ona wcześniej wyznaczonym dla siebie ofiarom; chłopiec ten umrzeć musi, czy się będzie uczył, czy nie, czy go zalejemy lekarstwami lub zostawim naturze.

— A! panie! panie! i pan to tak mówisz zimno!

— Cha! cha!—smutnie i sucho rozśmiał się stary uciekając do tabaki i kichając głośno z wykrzywieniem twarzy karykaturalném—dawnom ja łzy wypłakał moje! Napatrzyłem się ja tych kwiatków co świetnie wykwiwały przed porą i zwiędłe padały bez owocu—świat pełen tych niedojrzałych nadziei, a nauka...

— Na cóż się zdała nauka?

— Na to żebyśmy wcześniej znali bezsilność naszą, odparł spokojnie doktor.

— Ale tak młody?

— Tém gorzej.

— I nic jeszcze nie zagraża mu tak bardzo.

— A jednak poznałeś się na niebezpieczeństwie waćpan co nie jesteś lekarzem.

— A! nieszczęśliwa matka!— przerwał Stanisław łamiąc rękę— co ona pocnie!

— Pójdzie za nim!— rzekł Brant— taka kolej rzeczy ludzkich.

— Ale nie możnażhy przerwać biegu choroby, powstrzymać go od pracy?

— O! są sposoby tysiączne, gorzko się śmiejąc zawołał stary— naprzykład zawieźć go do Hyères, do Nicei, do Sycylii, w południowe kraje, usunąć od nauki, wstrzymać bieg życia by opóźnić rozwój choroby, ale powiedz-że mi, godzi się o tych sposobach wspominać komuś co nie ma prawie chleba kawałka? Godziż się téj nieszczęśliwej matce zatruć ostatki jej chwil swobodnych, rzucając w jej duszę nasienie zwątpienia. O! myślałem ja o tém nieraz, i gdybym mógł jeszcze się rozpłakać, płakałbym może, ale do czego się to zdało? napisano, spełnić się musi.

Szarski stał osłupiały i przybity.

Doktor spójrzył nań, ruszył ramionami i niezrozumiale na pozor gniewnie coś do siebie mruzcąc począł.

— Siadaj panie akademiku, rzekł, a nie zrób mi jakiego głupstwa, choć pod wąsem, widzę żeś dziecko jeszcze; nie wydaj mi się z sekretem, nie zatrwoż ich, nie okazuj że wiesz o wyroku, bądź wesół, spełniesz dobry uczynek.



—Ale cóż mam począć z biédnym wychowańcem moim?

—Prawdziwie, nie wiem, rzekł stary — trochę go odciągaj od nauki, uważaj żeby nic nie przyspieszało biegu krwi jego, żadne żywsze uczucie, żadna gorączka pragnienia, żadne wybijanie myśli... a! bo i myśl zabija!

—A lekarstwa? nie dasz pan żadnego lekarstwa?

—Lekarstwa!—rozśmiał się doktor—nie, nie! nie leczmy go, nie trujmy, to darmo! Byłem przy śmierci ojca, przy łożu dwóch siostr jego, i wiem że nic mu nie pomoże, na co na nim czynić próbki, które się na nic nie zdały?

Pomilczał doktor spuściwszy głowę, a Szarski przerażony, skostniały, zabierał się wychodzić, gdy stary widząc go tak pomieszany i strwożony, chwycił go za ręce, popatrzał mu w twarz, zamyślił się.

—Słuchaj poczciwy chłopcze, jak ty mi się zowiesz?

—Szarski.

—Szarski? Szarski? A! będę już pamiętał! Nie bądź-że mi babą! potrzeba męstwa... uważaj i na siebie, wynoś się gdy będziesz mógł z tego domu, nie dobrze ci tam być może, jesteś młody i spracowany, ot co ci poradzę.

—Ale na Boga, mógłżebym, śmiałżebym ich tak w chwili niebezpieczeństwa samych porzucić!

—A gdyby tobie także, to mieszkanie, pobyt w tej atmosferze choroby, obcowanie z dzieckiem tém szkodzić miały?— zapytał doktor.

—Moje życie nie tak mi drogie, ani tak szczęśliwe, żebym go dla obowiązku nie poświęcił; nie jest to żadną ofiarą.

W starych, zagastyłych źrenicach lekarza łyzy niedostrzeżone zakręciły się na chwilę i na rozkaz pana wróciły gdzieś nazad do serca, wzruszenie tylko objawiło się lekkim głosu drżeniem.

—Niech cię uściskam, kochany Szarski!— zawołał; walnyś chłopak i Bóg ci pobłogosławi, a słuchaj... gdy ci będzie czego potrzeba, gdybym kiedy mógł ci się przydać na co, daj mi słowo, że przyjdiesz do mnie.

Staś w milczeniu się uklonił. I tak się rozeszli. Smutny powrócił nazad na Łotoczek akademik, a świat ten, którego bliżej poznawać zaczynał, coraz mu się stawał niezrozumialszym. Z jednej strony nieubłagane jakieś losy dościgające na pozor niewinnych ofiar, z drugiej zepsucie i szkarady; tam nie-szczęście niezasażone, tu powodzenie niepojęte, zwi-  
kłanie najdziwaczniejsze wypadków, osób i przeznaczeń, jak czarny kłębek splełanych nici snuły się w nieporządku po jego głowie. Wprawdzie wiara, którą w sercu zachował nienaruszoną z dzieciństwa, której nawet nauki wykładane sceptycznie zachwiać

nie mogły, okazywała mu w tém wszystkiém potężną prawicę Bożą, i sprawiedliwość opatrzoną a niezbadaną w swych wyrokach; był przekonany, że wszystko dzieje się jak się dzieć powinno, ale co chwila wątpliwość ścisnęła mu serce zranione. Za mało żył jeszcze by mógł dójrzeć odwrótniej strony medalu tego, która tłumaczy zagadkę życia, i smutek osiadł w jego duszy, smutek poetyczny, tęsknica, która gdy raz zaleje głębię serca, już się z niej ono nigdy nie obmyje. Wstępując na próg domostwa na Łotoczku, ujrzał oczyma przeczucia, jak widmo straszliwe, karawan, w tych wrotach pustych, matkę bez duszy leżącą na wschodkach, i grobową ciszę w izdebce, która się śmiała kradzioném weselem.

---

Tak trzeci już rok dobiegał od wyjazdu Stanisława z Krasnobrodu, a nic nie zwiastowało poprawy losu i zmiękczenia rodzicielskiego serca.

Nieraz zamyślał się on nad przyszłością swoją i nie widział dotąd jak z tego zawikłanego zadania wynijść potrafi; uczył się, kształcił, podrastał w siły, ale jak użyć ich było? Tu i ówdzie na drodze przesuwaly się przed nim postacie dziwne, począwszy od pijanego i wpół obłąkanego Krysztalewicza, który był pośmiewiskiem całego miasta; do Iglickiego,

co na starość bezimiennymi krytykami i lichą żył pensyjką; a żadna nie dała mu miary tego, czém jego przyszłość być mogła.

Co począć z sobą skończywszy nauki, pytał się drugich i siebie — odpowiedzi brzmiały sprzecznie, niezrozumiale i ciemno! Jedyną drogą jaką mu ukazywali wszyscy było nauczycielstwo, powołanie wielkie, piękne, ale nie dla każdego otwarte, bo kto sam chce się uczyć całe życie, ten nie potrafi dopomóc dzieciom w pierwszych krokach, na tej ciernistej ścieżynce. Stanisław od razu wymazał ze swych widoków chleb ten powszedni jemu podobnych wyznawców, którego suchy kawałek pożywać trzeba często we łzach utrapień i upokorzeniach, zawsze w tęsknocie ducha i znużeniu.

Gdzież się było udać? co robić aby żyć?

Z piórem w rękę, mówił sobie, nie umrę z głodu. Nie pragnę wiele, pozostanę sam jak jestem, a pół życia poświęcę, by drugą połową poglądać w niebo swobodnie i snuć złote pasma poezyi.

Marzył tak, marzył — bo niestety! nie znał życia, nie pojmował jak ciężko, duchem pracować na potrzeby ciała, jak stokroć lepiej wyplaca się rzemiosło, bezmyślne zajęcie ręki, lub proste wykrętactwo i łowy na grosz cudzy. Czasami jeszcze przysłuchiwał się czy głos jaki przebaczenia, czy wezwanie

rodzicielskie nie przerwie tej ciszy, która go tak trapiła; myślał że ojciec, że matka zawoła—ale oboje milczeli.

Po bytności Falszewicza upływały miesiące za miesiącami, ani list, ani wieść żadna nie przyszła. Zostawiony sam sobie, dniami rozpaczał, to znowu odżywiał się wszystko przewidując rozwiązaniem jak najpomyślniej. Szczerba i inni towarzysze podtrzymywali go w tych nadziejach, choć prawdą a Bogiem, gdy się tylko oddalił, w cichych rozmowach wieczornych smutnie nieraz kłopotali się i troskali co pocznie z sobą ten nieopatrzny sierotka, który na jutro w tłumoczku podróznym nic nie miał prócz wielkiej odwagi. Ale przy największej o niego troskliwości, cóż mogli ci przyjaciele, sami jeszcze zawisli od tysiąca wypadków i niemający powszedniego chleba, tyle by się nim rozłamać? Pytali się jedni drugich, szukali sposobów i wiele nadumawszy postrzegali się zawsze, że nic nie znaleźli pewnego, że serce im dyktowało nie głowa.

W domu państwa Ciemięgów, których niekiedy odwiedzał Szarski, parę razy spotkał się ze starym Iglickim, a ten widząc, że młody chłopak acz bardzo dla niego grzeczny, ani się doń przysuwał, ani go zaczepiał, ani wiedząc o jego pierwszej krytyce zdawał się o nią dbać i myśleć o zapobieżeniu jakiej drugiej, sam przysiadając się począł do niego ze swoją



szyderską miną, której ostrości i akcentu wolterowskiego dodawał jeszcze kieliszek.

Nieraz tak zostawali się w kątku prawie sam na sam, gdyż poczciwego pana Ciemięgi liczyć nie było można, nie mieszał się bowiem do rozmowy chyba serdecznym potakując jej śmiechem.

— Co waćpan myślisz dalej, mości poeto?— zapytał go raz Iglicki— co tam za przyszłość, ciekawym, budujesz sobie asindziej?

— Dotąd żadnej, odparł Szarski— robię co mogę i com powinien, a Bogu poruczam resztę...

— Dobrego waćpan wybrałeś sobie plenipotentą, szkoda tylko— uśmiechnął się Iglicki, że dużo ma spraw i bardzo zajęty... trzeba trochę i samemu o sobie pomyśleć... No! wydałeś waćpan poezye, młoda trawka, zieleninka, a dalej co będzie?

— Wydam drugie, panie profesorze... a już gdyby i pokrzywą były, na zieleninę się nie zdadzą, bo będą za stare...

— Cha! cha!— rozśmiał się krytyk— i to dobrze, a co dalej?

— Wydam jeszcze i coś trzeciego!— rzekł spokojnie akademik.

— Dobrze to tak waćpanu mówić, wydam, wydam, jakby to można trząść z rękawa jedno po drugim to co się wydaje, i jakby to się człowiek niewy-

czerpywał. Lej, lej z naczynia, po czystym napoju przyjdą lagry i fusy, wreszcie ostatnia kropelka.

— Życie do tego naczynia dolęwa.

— Albo z niego czerpie jeszcze; ale czémże waść będziesz podsycać to życie!

— Widokiem świata Bożego, ludzi, żywota...

— Tere fere, rozśmiał się znów stary, *circulus vitiosus*; ale prozą mówiąc, z czego waćpan żyć myślisz i co z sobą zrobisz mundur zrzuciwszy?

— Zdaje mi się że powołanie pisarza.

— A to pozwól-że sobie powiedzieć starszemu od siebie, żeś z kretešem niedołęga, jeśli ci stało w głowie żyć z pióra i natchnienia! Śliczne sobie życie gotujesz, nie ma co powiedzieć!

Śmiech, który z ust jego dał się słyszeć, zmieszany ze zgrzytaniem zębów, miał w sobie coś okropnego; professor wypróżnił szklankę, i ożywiony gorączkowo mówił dalej:

— A wiesz waćpan co cię czeka? Jeśli masz geniusz, o czém bardzo wątpię, to szpital, kij i torba; jeśli masz tylko talent (na dwoje babka wróżyła) życie kradzione po troszę, nędzne i bez jutra; jeśli masz w dodatku sumienie— prześladowanie twych współbraci, a jeśliś tylko filut i zręczny matacz— no! to się kłaniam przed tobą! zrobisz fortunę, ale nie piórem? Pióro ci tylko pomagać będzie, wyglądając z kieszeni. Patrz waćpan co ja

mam na starość, ja com najadł się oklasków do niestrawności i przepił się pochwałami do nudy... Mam dwa surduty, stary frak, łotra służę, co mnie kradnie pod pozorem że ja się do jego żony umiżgam, więc jemu wolno do mojej szkatułki— i tyle chleba ile potrzeba żeby z głodu nie umrzeć, a tyle przyjaciół, co się mnie bojąc kłaniają, żeby mieć kiedy niekiedy butelkę wina ich kosztem. Jak nogi zadrę nie będzie mnie, ręczę, za co pochować, a spadkobiercy wezmą sto exemplarzy wydanych przezemnie wypisów, które nie poszły na oprawienie świec, kilka par niedonoszonych butów... resztę szelma Janek ukradnie, a i ten niewiele się pożywi.

Mam sześćdziesiąt kilka lat, z których trzydzieści blisko spędzonych w mozołach nauczania smarkaczów i nad papierem; co było w kraju najznakomitszego ścisnęło mi dłoń, kłaniało mi się onego czasu i wrożyło góry złote—byłem poetą ulubionym i koryfeuszem przez lat kilka; jestem dotąd inwalidem krytykiem, a często dwóch złotych nie mam w kieszeni i obiad jem na kredyt, jeśli go sobie kpinkami nie kupię.

No! to ja! ale waćpan powiesz, że to nie racya; pokażę waćpanu stu lepszych odemnie, nie w istocie, (bo ja taki więcej wart jestem od nich wszystkich), ale na oko! Masz, wybieraj, kogo chcesz, i pokaż

mi czy B. C. D. E. F... zapracowali chleba kawałek dla siebie lub dla dzieci okrajec? Przyznam się waści, że gdyby mi Pan Bóg dał drugi raz rozpocząc życie, wolałbym się wyuczyć szyć buty...

Siedziałem na szkolnych ławach z takimi osłami, zem do nich gadać nie chciał, tak od nich głupstwo zdaleka śmierdziało. Wszyscy są dziś możnemi i zasłużonemi obywatelami, i ich lokaje lepiej się mają odemnie.

—Ale professorze, przerwał Stanisław, to są argumenta przeciw życiu literata ciągnione z kieszeni, a tych nie dosyć; ubóstwo ani kala, ani podobno zabija, a kto odważnie je uściśnie, w przyjaźni z niem żyć może.

—A! ha! ha! chcesz widzę drugiej strony medalu, będziesz ją miał, zawołał Iglicki; chodzi ci o duchową część jak ją dzisiaj nazywacie. Postuchaj! Ze stu tysięcy ludzi, dla których pisać będziesz, dziewięćdziesiąt dziewięć podobno czytać cię nie zechcą, pozostaje tysiąc czytelników, z których najmniej dziewięćset takich z pozwoleniem kpów, że gdybyś każdego wziął z osobna, a przypatrzył mu się, plunąłbyś i nie dotknął pióra... Tandem wyrachujemy się i ze stu pozostałych. Z tych połowa będzie inněj szkoły i smaku nie waszecinego, na bok z niemi; połowa połowy nie podoba sobie co pi-

szesz, reszta nie zrozumie cię, a jeżeli wypadkiem jeden przytuli do serca...

—Professorze! i to dosyć!

—A! dosyć, nie ma co mówić! niewiele wymagasz! Słuchajże no dalej, co ci pozostaje. Jedni przeczytają i nie pojną, drudzy przeczytają, przez pół rozumieją i wykrzywią, inni upatrzą żeś ich czémś osobiście ukłuł, bo *gens irritabile* nie koniecznie sami poeci, gorzej daleko osły, z którymi mieć będziesz do czynienia. Cóż dopiéro, gdy przyjdzie rozpiérać się z krytyką! ha! ha! tu dopiéro złupią waści! Krytyki piszą współzawodnicy twoi, ludzie pióra, żółciowi, śledziennicy lub czyhający na odznaczenie się, jeśli nie myślą to złością.. kto nie może śpiéwać ten krzyczy, byle go słyszano. Najlepsze moje krytyki winieniem, przyznaję, chęćce u-gryzienia i ochocie popisu. Wykręćże się tu kiedyś mądry ze szpon krytyki! Ten chce rozum pokazać i myśli że go dowiedzie wybierając z białego same plamy czarne; temu asińdziéj zalałeś za skórę, boś odwiódł uwagę od jego lukubracji; inny zagńiewać się gotów żeś młokos, inny że mu się nie kłaniasz (ja sam się za to gńiewam); dalej przyjdą znowu studenei, co na waszecinój łysinie uczyć się zechcą dawać pstryczki... i tam dalej, i tam dalej.

Naostatek, kiedyś przez ciernie i głogi dolazł, do-włókł się do tego co ci się już zdaje wierzchołkiem,



pst! stój! nowy wierzchołek Olimpu nad głową twoją z obłoków wyskoczył! Zaprzeczasz! to nie góra, mgły tylko, ale ba! sterczy jak wół! zaprzec nie podobna, a waść już bezsilny w dole! z obrzękłemi nogami. Nowi mistrze, których miałeś honor ćwiczyć w infimie, zburzyli świątynię i zbudowali sobie nową naprędce, a ty poganinie, co się starym jeszcze kłaniasz Bogom, dostawszysy kolanem... lecisiz w dół na łeb i kwita!

Na tém się kończy zawód literacki.

Dopiero gdy umrzesz, a dobrze cię obwąchają że trupem śmierdzisz i wstać już nie możesz, a nie wskrzesi cię już nawet kadzidło, jeden, co całe życie kasał za łydki, pióro temperuje do szumnego nekrologu, drugi do panegiryku, trzeci do sprawozdania, a czwarty do wydania dzieł kompletnych, na których zarobi więcej napisawszy dwie stronnice prospektu, niż ty przez całe życie pracując nad niemi.

*Sic transit gloria mundi!*

Pozostaje po jegomości kilka tomów makulatury, imie, którym się rzucają następcy jak piłką studenci, trochę kości, trochę smrodu i wszystkie głupstwa jakie się zrobiły za życia, bo te są najnieśmiertelniejsze. Mogą nie wiedzieć ile cię nocy bezsennych kosztował twój wielki poemat, ale pewnie

dójdą, jeśliś miał brodawkę pod nosem, lub szósty palec na nodze...

Niepodobna wypowiedzieć, jakim serdecznym, poczciwym śmiechem głupoty naiwnej, dusząc się, zachodząc i pryskając co chwila, towarzyszył pan Ciemięga tej długiej deklamacyj profesora. Chwytał się za usta, żeby mu nie przerywać mowy, bił się po twarzy, odwracał, a nieszczęsny nałóg chichotania brał nad nim górę. To bynajmniej nie przerywało przywykłemu od lat wielu do śmiechu gospodarza profesorowi, który swoje prawit wlepiając oczy w młodego chłopca i śledząc jakie na nim czynił wrażenie.

Stanisław słuchał go z rodzajem litości, jaką wzbudza nędza i moralny upadek, a gdy skończył tryumfalnie wpatrując się w niego, odparł powoli:

—Professorze, wszystko to prawdą być może. Ale powiedz mi, gdy kto ma w duszy słowo, które go dusi, które czuje że wypowiedzieć powinien, choćby to słowo przeszło niesłyszane, choćby było maluczkie i nieznaczące, choćby na jego głowę kamienie i klątwy sprowadzić miało, na jego grzbiet łachmany, na życie nędzę i zapoznanie— czyż tego słowa, z którym na świat przyszedł, nie wyrzec mu głośno i śmiało! Na cóżby się życie zdało?

—Tfu! tfu! zaśmiał się stary, a toś widzę oszalał; zachorowałeś na proroka! człowiecze.

—Nie! i najskromniejsze powołanie, jest niemniej powołaniem, i najmniejsze słówko jest słowem i jedna iskierka ducha jest duchem, a kto ją zje w chlebie lub zagasi ze strachu— przeklęty!!

—Waryat nieuleczony! zakończył Iglicki spuszcza-  
jąc głowę.

Ciemno wszędzie, głupio wszędzie,  
Nic nie było, nic nie będzie.

---

Po chwili milczenia stary podniósł głowę, poka-  
zał w uśmiechu dwa rzędy obnażonych dziąseł, a  
widząc że Szarski stoi niewzruszony i nietknięty  
jeszcze jego filippiką, rozpoczął na nowo.

—Kiedy cię już tak świerzbią palce, że pisać  
chcesz koniecznie i laury zdobywać, posłuchajże sta-  
rój rady; poezya nie potém, zostań sobie uczonym.  
Nie mówię o prawdziwie uczonych, bo tych mało  
na świecie, ale tuzinkowym może każdy kto chce.  
Jest na to pewna i niezawodna recepta. Naprzód  
obięrasz sobie specjalny przedmiot jeden i poczynasz  
się z nim obeznawać. Tu żebyś był najograniczeń-  
szy, po jakim roku trochę więcej go się nauczysz  
i zbadasz od innych co go tylko musnęli. Będiesz  
już mógł wystąpić. Występ piérwszy zależy za-  
wsze na zjadłej nielitościwej krytyce tych co cię

poprzedzili. Naturalnie, świat rozumując logicznie dochodzi do wniosku, że ten co na swych poprzednikach psy wieszka, więcej coś od nich wiedzieć i umieć musi. Można z restrykcyą pogłaskać takich co zawadzić nie potrafią, ale reguła ogólna, formuła jedyna, co poprzedziło w ką! Stajesz tedy od razu na wyżynie, nikogo nie uznając nad sobą i obejmujesz w nowém państwie władzę. Tém państwem może być zarówno historia miasta, kraju, prowincyi, biografia, a co najlepiej badanie jakichś starożytności, o których nikt nic nie wie, więc i waćpan nie jesteś obowiązany więcej wiedzieć od drugich; dość, byś dowiódł niewiadomości poprzedników. Znam ludzi, którzy sobie zdobyli stanowisko bardzo uczciwe tak maluczkiem expensem pracy i nauki, że aż śmiech spojrzeć na ich robotę. Całe życie robili przedmowy, noty, przypisy, komentarze *et sic porro*.

Ale znów, reguła ogólna, imaginacyę, talent, życie, schować potrzeba kiedy są, do kieszeni; iść suchą nogą po ziemi, powoli, bitą drogą, a zapewniać głośno, że to gościniec całkiem nowy i nieznanym.

Wpada naprzykład waści w ręce stary szpargał jakiś, ni w pięć ni w dziewięć, przepisujesz go sobie ziewając na czysto z wielkimi marginesami, gdzieniegdzie dodasz notę uczoną, jeśli z łaciny to

Ducange'a, jeśli polską to z niewyczerpanego Czackiego lub innej jakiej encyklopedycznej książki, a jeśli można zlepioną z dwóch lub trzech, co najwyżej cię stawi, bo nie tak łatwo pożyczkę wytropić; nareszcie rznieś od ucha poważną przemowę, sprzedajesz drogo, poprawiasz niedbale, drukujesz i śmiesz się z tych, co kupują żeby nie czytali.

Dwa lub trzy dzieła tego rodzaju dają ci naprzód tę zasługę, że w oczach wszystkich uchodzisz za istotnie uczonego i poważnego i zasłużonego człowieka, czynią cię członkiem kilku towarzystw i od razu stajesz na nogach, na wieki wieków, amen. Dalej już jak po maśle.

—Zmiłuj się pan, zawołał Stanisław, ależ są ludzie istotnie uczeni...

—A są, kochany panie, ale ci pewnie nie pójdą w szranki z lada fanfaronem, który dla profanów wydaje się studnią erudycyi, a jest w istocie pomalowanym osłem. Mamy i my w literaturze naszej masy takich wydawców, tłumaczy, rozprawiaczy i erudytów, co wczoraj się czegoś trochę poduczywszy, jutro już uczą publikę i idzie to im bezkarnie. Ja, wybierając z literackich powołań, najprędzejbym sobie taką sinekurę obrał, niewymagającą wielkiego szafunku myśli i zdatności. Można w ten sposób zbierać podania, pieśni, akta i dokumenta, chronologicznie je układać, wydawać pamiętniki nie opatryw-



szy się, że były już tam parę razy wprzód drukowane, pisać życiorysy z metryk i rozprawy z rozpraw, tego tylko a głośno łajac poprzedników, bo w tém główna sztuka!

—Ależ krytyka?

—Krytyka rzadko kiedy sama śledzi i bada, będzie panu zadawać to i owo, że tego za wiele, że tamtego za mało, ale w sedno kradzieży, powtarzania, bałamuctwa, nieuctwa nie trafi. Lęka się rozpoczynać wojny o naukę, bo zadać brak jój komu, gorzej daleko niż zaprzeczyć talentu.

—A sumienie!— spytał Stanisław.

—Sumienie razem z talentem powinno iść w tym zawodzie do kieszeni, jako rzecz przeszkodliwa i zbyteczna. Erudycya i nauka gruntowna a prawdziwa nabywa się mozolnie, namiętnością wiedzy, poświęceniem życia, powolną pracą, ale nie znowu łatwiejszego jak pozór jój, któren z lada zbiorków, trzęsianek, encyklopedyjek wyciągnąć sobie można. Dodajmy wiarę w siebie, jeśli nie istotną to także pozorną, zupełne wyrzeczenie się niepotrzebnej skromności, a największą surowość względem drugich... masz całe uzbrojenie. Ludzie zawsze skłonni są uwierzyć tym co o sobie dobrze trzymają.

Dixi! skończył professor i wstał chwiejąc się z miejsca.

—Czas do domu!

Tą mową i wielą jej podobnemi, wejrzeniem na świat niewesołym, ani się zrażał, ani przestraszał Stanisław; wiedział on, przeczuwał, że nieunikniony los ludzi pióra, ludzi myśli i jego spotkać musi, ale wierząc w konieczność tej doli, nie próbował się jej uchylić, zbroił się by wytrzymać. Są czasem takie przekonania nieminionych przeznaczeń, których nawet spodziewane męcznie zachwiać nie mogą.

Szarski obojętnie spoglądał na oczekujące go cierpienia, pracował, i drugi już rękopism swój, zawierający znowu niestety! poemat (tylko) z ludowych podań, przygotowywał do druku. Dał go czytać naprzód Szczerbie, potem ośmielony zaniósł profesorowi Hippolitowi, a że w tej chwili profesor był jakoś lepiej z jednym z wydawców ksiąg, mającym jeszcze nierozwiniętą ale już wykluwającą się chętkę do nakładu na książki polskie, bez wiedzy nawet Szarskiego zaniósł go temu panu.

Księgarz ten miał zdatność instynktową do swego rzemiosła (grzeczniej mówiąc handlu płodami ducha ludzkiego), ale sam nie znał się na niczym, i dla niego, jak sam powiadał, jedynym termometrem dobroci dzieła była liczba sprzedawanych egzemplarzy,—obejrzał więc rękopism, pokiwał głową na podania ludowe (lud jeszcze nie bardzo wówczas był w modzie) poskrobał się na tytuł poematu, ale że

cóś już o tém wiedział jak Dworzec wyszedł na pierwszych poezyach Szarskiego, chętka go brała nabyć rękopism.

— Zobaczymy, rzekł do profesora, zobaczymy, zostaw mi pan rękopism, przejrzę go, pomyślę. Wiedział dobrze co to ma znaczyć protektor i pobiegł na Łotoczek do Szarskiego, któremu gorąco, po swojemu, uścisnął dłoń, mówiąc z twarzą wesołą.

— No! twoja *Pryska* (taki był tytuł poematu nowego) jest już w ręku bibliopoli; niewątpliwie ją czytać Iglickiemu, i jego zdaniem kierować się będzie. Ruszaj zaraz i staraj się aristarcha na stronę swoją przekabacić... zaprosz go do licha choć na kotlety z groszkiem i porter, to ci więcej dwudziestu złotych kosztować nie może, a księgarz kupi poemat.

— O! kochany mój profesorze, rzekł śmiejąc się Szarski, jakże ty mnie nie znasz! mógłżebym ja przekupywać krytyka!

— Zlituj się, choć mu się pokłoń!

— O! I to nie!

— Ale ci chodzić przecie powinno bardzo o piękne, porządne wydanie twojego dziecięcia, bo choć i tu bez setnych omyłek się nie obejdzie, trzeba byś wiedział, że książki drukowanej u Dworca na bibule nie znajdziesz w żadnym porządniejszym do-

mu. Rzadką jest literatura nasza po salonach, gdzie się jój wstydzą, lub kładną tylko kupiwszy na prędce, gdy się jednego z nas spodziewają—ale Dworzec ma swoje kółko czytelników; przez niego nie dasz się poznać światu wyższemu, i nie zyskasz obywatelstwa w literaturze, póki cię pan... w złotą nie oprawi okładkę.

—Bądź co bądź, odpowiedział Szarski, że nie pójde prosić, że nie potrafię pochlebiać, to pewna...

—A! mój Boże! jakże ci z tém wiekuistém dzieciństwem ciężko będzie na świecie, odparł pocziwy professor; czemu nie naśladujesz choć trochę Bazylewicza, który już krytyka ostatnim groszem karmi i poi, pochlebia mu, aż włosy przytomnym stają na głowie, a za oczy drwi z niego, aż uszy więdną.

—Bazylewicz ma inne, ja inne pojęcie świata i osobistej godności, każdy z nas idzie właściwą swemu charakterowi drogą. Ja ludzi szanuję i chcę ich widzieć dobrymi, on bez zgryzoty ze słabości ich korzysta.

—I wyjdzie lepiej od ciebie.

Staś westchnął.

—Inaczéj być nie może, odpowiedział cicho, mnie już nie przerobisz kochany profesorze.

—Szacować cię muszę, rzekł śmiejąc się młody pracownik, ale żał mi ciebie serdecznie.

Ścisnęli się po cichu.

Nazajutrz, poseł z drukarni, wezwał pana Szarskiego do księgarza. Gdy przyszedł na godzinę wyznaczoną, nie zastał naprzód tego, który miał o losie jego stanowić, musiał czekać, a że cierpliwość go nie kosztowała, siadł w kątku spokojnie.

— Panie dobrodzieju, rzekł śpiesznie wreszcie nadchodząc bibliopola—komunikowano mi rękopism pański... ale z żalem, z prawdziwym żalem, wyrzec mi się go przychodzi.

— Prosiłbym więc o zwrot jego.

Księgarz począł niby szukać zeszytu.

— Wielki talent, rzekł przewracając papiery— ale dziś wydawać poematów nie podobna; gust publiczności, do którego się stosować musimy, innych dzieł wymaga.

— Prosiłbym więc o rękopism, powtórzył Szarski.

— W ten moment! zaraz go znajdziemy! wciąż szukając dodał księgarz. Pan nie ma co prozą?

— W téj chwili nic.

— Wielka szkoda! Wydawać poemat, jest to ryzyko dziś wielkie;... ale gdzież mi się zadział ten rękopism!... Trudno nawet, żeby się powróciły koszta.

— Czekam tylko na zwrot rękopismu.

— Natychmiast! natychmiast! zaraz go znajdziemy! leżał na wierzchu. Panie Trenk! panie Trenk!



gdzież jest rękopism poezyj w szarej okładce? poemat?

— Zdaje mi się, że był na kantorku.

— A tak! musiałem go schować w szufladkę. Pan dobrodziej nie życzyłbyś go wydać u mnie, swoim kosztem?

— Nie mogę, rzekł sucho Stanisław.

— Czytałem trochę, rzecz piękna! wiersz szczęśliwy! ale dziś! widzi pan, publiczność— zresztą, gdyby to przynajmniej były sonety, ballady.

— Być może, odpowiedział Szarski, prosiłbym więc o rękopism, zwłaszcza, że go widzę na wierzchu.

— A! to on! zawołał bibliopola chwytając szary zeszyt— tak jest! co za roztargnienie! Niechże pan spocznie, przysiadzie! Bardzo żałuję, że go drukować nie mogę, ale pragnąc poczynającemu talentowi otworzyć drogę, by się dał poznać— odchrząknął— zrobiłbym ofiarę, choć nakład jest znaczny, bo to trzeba wydawać ozdobnie... Gdybyś waćpan dobrodziej wyrzekł się przynajmniej honoraryów...

Stanisław uśmiechnął się, nie umiał się wcale targować i chytrzyć.

— Jakkolwiek one są małe i niewiele znaczące być mogą, rzekł po cichu— ale ja jestem potrzebny; a Dworzec.

— Dworzec! godziż się tego partole wspominać! Wyda na bibule, ćwieczkami, i któż to w rękę

wziąć zechce? Poezya powinna być drukowana z przepychem; zrobiłbym edycją śliczną... na welinie... Ale... cóż panu daje ten Dworzec?

— Niewiele; sto złotych i dwadzieścia pięć egzemplarzy.

Nieznaczny uśmiech przebiegł po ustach bibliopoli.

— Dziwuję się jego hojności, rzekł ruszając ramionami, ale *oni* mają swoją klientelę i tysiące sposobów pozbycia się wydań, których wielkie księgarnie używać nie mogą. To wcale co innego! Pan drukując u mnie dajesz się poznać od razu, mój instytut typograficzny ma stosunki rozległe, krytyka nie tknie tego co ja wydaję... potrafimy książkę przeprowadzić, rozgłosić.

— A! panie, odpowiedział Stanisław, ja dla niej nie chcę protekcyi, tylko sprawiedliwości.

— Ale to są czasy, przerwał żywo księgarz, że i sprawiedliwość zyskuje się tylko protekcyą! I począł śmiać się ze swego konceptu.

— Złe czasy! rzekł smutnie Stanisław.

— Prawdziwie, dodał po chwili bibliopola, czuję jakiś pociąg do pana i radbym, czyniąc nawet ofiarę, zawiązać z nim stosunki, które jak przeczuwam korzystne być powinny dla niego—i dla mnie! Cha! cha!.. No! żeby nie mówić długo, wezmę poemat, wydrukuję go i dam... i dam...

Tu była pauza długa, oznaczająca silną walkę, a nareszcie z ust się wyrwało:

— Daję panu dwadzieścia pięć egzemplarzy; ale wydam na welinie... korektę pan sobie sam trzymać będziesz.

— Panie, toby było mniej niż daje Dworzec.

— Dworzec? ja panu mówiłem, to wcale co innego, warto coś ważyć by wydać u mnie. Cóż to za porównanie! Pan inaczej nie dasz się poznać, podaję i tak jak mogę najkorzystniejsze warunki.

— Dla pana te sto złotych są rzeczą tak małą.

— Ha! wie pan co! obrzynam sobie poły dla niego! daję sto złotych i dwadzieścia pięć egzemplarzy, ale nie inaczej jak książkami mojego nakładu. Mam tu przedziwne dzieła naukowe, grammatyki... wypisy... chrestomatije, geografije, to złoto w sztabach... spieniężyć łatwo.

— Na cóż mi się to zdało, rzekł Stanisław, kiedy ja munduru sobie nie mam sprawić za co.

— Zachciałeś pan, wesoło i ściskając go serdecznie począł bibliopola; wszyscy poeci muszą zawsze i wszędzie chodzić z łokciami dziurawymi i w niecałych butach.

— Nie jest to jednak wygodnie.

Księgarz namyślił się jeszcze trochę, pochodził, może go litość tknęła, czy rachuba jaka.

— Siadaj-no pan, rzekł, i pisz ustępstwo rękopismu, płacę panu... ale... dukatami.

Szarski już się i wstydził odezwać, pięć oberzniętych, chudych, pogiętych, gdzieś w wista wygranych i stolikom kartowym dobrze znajomych kulfonów leżały przed nim— począł pisać ustępstwo.

Księgarz mu je dyktował formą zwyczajną, dodawszy na wszelki wypadek wyrzeczenie się własności, obowiązek utrzymywania korekty, warunek że dwadzieścia pięć egzemplarzy oddane będą w pół roku po wydrukowaniu i tysiąc innych drobnych zastrzeżeń na wszelkie wypadki.

Gdy się to skończyło, Staś wstał z krzesła chwając owe złoto z poszanowaniem, jakie nigdy jeszcze kulfonów tych nie spotkało; księgarz ścisnął mu ręce, i rzekł zamykając rękopism do biórka.

— Mam nadzieję, że stosunki nasze pod szczęśliwą gwiazdą poezyi poczęte, długo trwać będą. A teraz, dodał... w interesie pańskim maleńka jeszcze prośbeczka... Ciężko mi inaczéj wydać poezye jak przez prenumeratę, potrzeba prospektu... napisz pan prospekt na swój poemat;.. ale nie żałując sobie kadzidła! Postaw się od razu geniuszem!

Szarski się zacofał, sądził że nie dosłyszał.

— Jak to? co to ma znaczyć? zapytał.

— Ale to stary zwyczaj, każdy przecie autor pisze prospekt, jeśli mu go potrzeba... bo naturalnie

serce ojcowskie, rodzicielskie oko najlepiej widzi przymioty swojego dziecięcia... Cha! cha, pan się naiwnie dziwisz rzeczy tak prostój!

— Prostój? powtórzył Stanisław. Ale na miłość Boga! w jakimże to świecie żyjecie państwo, kiedy się to im wydaje prostem, co mnie oburza. Jakżebym ja śmiał pod maską czyjaś wytrąbiać swoje pochwały?

Bibliopola śmiać się począł, chodząc po pokoju ręce pod poły fraka założywszy.

— A! a! co za przedziwna poetyczna naiwność! no! no! obejdzimy się bez tego, jeśli to przykrość zrobić mu może. Iglicki napisze mi prospekt jaki zechcę, swoim piórkiem złotem... Ale taką rzeczą po panu i rozbioru poezyj do gazety spodziewać się nie można?

Nowe podziwienie ze strony Szarskiego, nowy uśmiech politowania bibliopoli.

— Szkoda, rzekł w końcu, bo nie ma pochwał nad te, które ktoś sam sobie pisze! Znam ludzi zręcznych, co udają nawet że się krytykują, ale krytyka to taka co podnosi wartość utworu. Wyrzucają sobie naprzykład zbytek zapachu, nadto wyobraźni, nadmiar ognia i siły, nieopatrny szafunek geniuszu i tym podobnie... Tego rodzaju autokrytyki, datowane z Szawel, Taurogień, Póttawy, Tyflisu lub Osieka, często gęsto ukazują się po gazetach...



Szarski smutnie się zamyślił.

— Prędkoż się to drukować zacznie? zapytał chcąc odwrócić rozmowę.

— A! jutro pošemy do cenzury, za tydzień pieczęć nam przyłożą, a za dziesięć dni będziesz pan miał pierwszą korektę. Na kontrakty Kijowskie książka być musi gotowa i wyjdzie już z datą następującego roku, aby dłużej świeża być mogła.

Z téj atmosfery dziwnego handlu, którego towarem była myśl ludzka, wyskoczył jak z gorącej łaźni młody chłopak, a że mu pilno było pochwalić się przed Szczerbą, pobiegł wprost na Trocką ulicę.

Okolo Dominikauów zeszli się z Bazylewiczem, który udrapowany w płaszcz hiszpański, z głową podniesioną w niebiosa, szedł zapewne powtarzając jeden ze swych nieśmiertelnych sonetów— raczył się wszakże zatrzymać na widok towarzysza.

— Co tam słyhać na ziemi? spytał obojętnie.

— A w niebiosach, zkad powracasz? odparł Szarski.

— W niebiosach! biorąc zapytanie za dobrą monetę, rzekł Bazylewicz, gwiazdy szeleszczą tysiącem promieni, słońca trzaskają, komety piszczą i księżyce mruczą.

— Prościój jednak mówiąć, co robisz, co marzysz, co piszesz!

— Nic! nic! nic! kocham się tylko! wzdychając  
piersią potężną rzekł Bazylewicz.

— Jakto! i mówisz o tém tak chłodno! na ulicy!  
pierzszemu kogo spotkasz! czerwieniąc się zapy-  
tał Szarski.

— Zimny ślimaku co pełzasz po ziemi! wydekla-  
mował Podolak— także to pojmujesz miłość? są-  
dząc że się z nią ukryć, że ją w sobie pożreć  
można? Światu ją głoszę całemu! szukam z niej  
chluby przed światem! Mizerna to i zwykła miłość  
co się zasklepia w sobie, co milczy... ja ją chcę  
wyśpiewać poematów seciną...

Noc była! chmury siecią po niebie się wlokły,

Z za nich księżyc wyziérał żółty i obmokły..

A ziemia rodzicielka w ciemności kapturze,

Otrętwiona czekała na jesienną burzę...

Tak się poczynał sonet, nowe arcydzieło Bazy-  
lewicza, które poeta *impavidus* wydekla-  
mował w całości zdumionemu Stasiowi wśród ulicy.

— No? a ty co porabiasz? rzekł z rodzajem li-  
tości— poeta! i nie kochasz się?

— Gdybym się kochał, odparł z rumieńcem Szar-  
ski, prócz mojego własnego serca niktby o tém  
pewnie nie wiedział.

Rozśmiał się towarzysz.

— Drukujesz co?

— W téj chwili właśnie poemat mój kupił...

Bazylewicz ruszył ramionami.

— Cóżes wziął zań?

— Zachciałeś! sto złotych!

Rozśmiał się i na całe gardło Bazylewicz.

— A! jakież z ciebie dziecko! byłbyś zarobił tyśiąć, rozdając bilety na prenumeratę... Ja na moje sonety już ich wetknąłem blisko dwieście, a bilet po złotych dziesięć.

— Jabym ich pewnie rozdać nie potrafił.

— To wiem, śmiejąc się rzekł towarzysz dumnie — ale ja dam sobie radę; tego wezmę pochlebstwem, drugiego dumą, trzeciego wstydem, radzi nie radzi, choć może klną w duszy, a bilety biorą. Wszystko mi jedno z jakim uczuciem pieniądze dają, byle je dawali. Czasem daje się czuć potrzeba perory, rznę im perorę, a mam ich już pięć różnych i ledwie nie na pamięć wyuczonych, do głównych sytuacji zastosowanych, i do kollekty biletowej ułożonych umyślnie... Trzeba się mnie było poradzić biédaku, byłbym ci dopomógł.

To mówiąc ścisnął końce palców Szarskiemu Bazylewicz i uszedł tryumfalnym krokiem, powtarzając sonet, który kleił po drodze: *Do pięknej zamysłonej.*

Szczerba zdziwił się pięciu dukatom, które mu pokazał na progu Stanisław i ucieszył z powodzenia

przyjaciela, bo i to zdawało mu się wiele na początek, a stosunek zawiązany z księgarzem, uważał za pomyślniejszy jeszcze od sprzedaży poezyj. Spędzili wieczor marząc rokosznie oba, o przyszłych życia swego planach.

W kilka tygodni potem, gdy już się drukować poczynały poezye, Stanisław z wilgotną korektą w ręku, wszedł nad wieczor do kamienicy Dawida Białoostockiego. Zdziwił się, przeciwko zwyczajowi nie zastawszy Sary, która oczekiwała codzien na niego w salce oparta nad książką, od drzwi witając go wzrokiem.

Na jej miejsce wyszła zabrukana służąca, która mu krótko i sucho powiedziała, że Sara od wczora była chora.

— Cóż to jest?— spytał niespokojnie Szarski.

Żydówka ruszyła tylko ramionami, i wyszepleniła, że doktor Brant właśnie jest u słabój.

— A nie mógłżebym ja się z nim widzieć?— rzekł akademik.

— Albo ja wiem!— odpowiedziała wychodząc.

Po chwilce, mimo tej obojętnój odpowiedzi, poznał Staś chód ciężki i powolny starego doktora, który zażywając tabakę stanął w progu.

— A! waćpan tu co robisz?— spytał zdumiony.

— Ja... ja tutaj lekcyje daję...

— Lekcyje daje! lekcyje daje! ha! ha! no! no! no!

— Jakże się ma uczennica moja! co to jest?

Doktor, który długo stać nie mógł, usiadł przy drzwiach i baczne wejrzenie rzuciwszy z pod brwi na akademika, obejrzawszy się do koła, rzekł dość obojętnie:

— Dalipan nie wiem co jój jest!... osobliwsze dziecko i osobliwsza choroba!... boję się żeby to nie było coś takiego, na co medycyna nie ma ani pigułek ani miksury... Znasz waćpan dawno tę dziewczynę?

Stanisław ledwie się śmiał przyznać jak dawno już trwało nauczanie jego i stara znajomość, a mówiąc to dziwnie jakoś zapłonał. Nie uszło to oka doktora, który żywo począł w nos napychać tabaki.

— No! no! to waćpan-że mi powiedz co jój jest!— rzekł w końcu.—Śliczne dziewcze! aż przykro że to w tych betach wyrosło i skiśnie do licha! Co za oczy! Ale ha! ja waści gadam o oczach, takżem się wybrał!... Choroby nie rozumiem, słabła, wędła, schła i nakoniec rodzice przymusili ją, żeby się położyła, choć zdaje się, że pod wieczor gorzej jeszcze niespokojna... Gwałtem wstawać chciała!

— Cóż to? gorączka?

— Nie wiem! dalipan nie wiem, patrzę, śledzę, ale nie rozumiem... Zdaje mi się, że koniec końców *remedium* najpewniejsze, wydać ją podobno za męża!



Spójrzał na Szarskiego, który w tej chwili odzyskał studenckie piwonijowe kolory swoje.

— Ale nie ma niebezpieczeństwa?— rzekł po cichu akademik głosem nieco zmienionym.

— A któren że to doktor powiedziec waćpanu potrafi, czy nie będzie go jutro, za godzinę, za kwadrans nawet? Jakkolwiek *facultas* nasza zarozumiała, natura mądrzejsza jeszcze od nas i figle nam płaćta co chwila.

Nie było sposobu pozostać dłużej, a Szarski chociaż żywo niespokojny, chciał się już oddalić, gdy sam Dawid wszedł do saloniku.

Skłonił się grzecznie akademikowi i śpiesznie go wziął na stronę, ale widać było jakiś frasunek i niepokój w twarzy, gdy mu przemówić przyszło.

— Bardzośmy panu wdzięczni, rzekł, za starania jego około córki naszej... Chwała Bogu, skorzystała wiele; ale pan doktor utrzymuje, że nauka może nadal szkodzić jój zdrowiu. Chcemy ją wydać za mąż, jak nam radzi.

To mówiąc, dobył Dawid ściśle obrachowaną zapłatę za lekcyę i ścisnął rękę Szarskiego.

Ten zapomniawszy pieniędzy, żywo ruszył ku drzwiom, i nie wiedząc co się z nim dzieje wybiegł na ulicę.

— Tak! tak!— po wyjściu jego dodał doktor, który powrócił do chorój— nie nie ma tak bardzo złęgo...

ale téj nauce dać pokój, życie porywa do głowy, organizacyą całą wywraca! Wydać ją za mąż... wszystko się uporządkuje nanowo.

Dawid stał, patrzył na zostawione przez Stanisława pieniądze i ruszał ramionami.

—Czekamy narzeczonego, odparł—przyjedzie z Kowna niedługo... wybrałem dla niej syna bogatego kupca, chłopiec niezłego, trochę głupi, ale to umyślnie.

—Jak to umyślnie?—zapytał Brant zdziwiony.

—Naturalnie, żeby ona nie on rej wodził w domu; ale przystojny chłopiec, delikatny... Wyobraź sobie doktorze... co to za oryginał z tego akademika, dodał zbierając pieniądze Dawid—zapłaciłem mu, a on pieniędzy zapomniał.

—Zapomniał! powtórzył lekarz — a co? już poszedł? Ha! trafiają się oryginały... zażył tabaki—no! no! Wydajcie córkę za mąż; życzę, życzę, a co prędzej to lepij.

Strapienia, boleści nigdy nie przychodzą same, powiada mądrość narodów, a postrzeżenie to odwieczne codziennie się potwierdza. Niewidzialne duchy losów ludzkich, złe i dobre, czarne i białe, idą trzymając się za ręce, ciągnąc długim szeregiem. W niewysłowionym niepokoju przyszedłszy na Łotoczek, Stanisław zastał tam nadzwyczajne zamieszanie.

Martę spotkał w bramie wylatującą po doktora

Branta, panią Dormundowę z załamaniem rękami i we łzach, a Karolka siedzącego na łóżku z wypalonymi rumieńcami na twarzy.

— Co to jest? co się to stało? na Boga?— zawołał wbiegając i wstrzymując Martę, która za nim wróciła do izdebki.

— Karolek! Karolek chory! Karolek krwią plunął— krzyknęła matka — zlitujcie się — po Brant'a! po Brant'a!

— Śpieszę, bo wiem gdzie jest— odpowiedział Staś— w domu go nie zastanie Marta; mam pieniądze, wezmę dorózkę i przywiozę go natychmiast.

— Leć, jeśli Boga kochasz!

Ledwie miał czas rzucić okiem na matkę i syna Szarski i pośpieszył nazad na ulicę Niemiecką; w bramie spotkał się z Dawidem.

— Jest jeszcze doktor?— zapytał.

— Jest — a co?

— Potrzebuję się z nim widzieć natychmiast, do chorego!

— Idź pan na górę, ale czekaj-no! nie wzięłeś odemnie pieniędzy.

Staś już był na wschodach, posłał po doktora służącą i schwytał go w sali.

— Na Boga doktorze — zawołał, zlituj się nad biedną Dormundową — Karol krwią plunął. — Rozpacz w domu, prosi cię, zaklina!

— Krwią plunął powiadasz! ba! już tak!

I Brant głowę zwiesił.

— Dormundowa wie co to znaczy!

— Jedź, na miłość Bożą, jedź prędzej.

Wtém Dawid niespokojny między nich się wci-  
snał.

— Jako jedź? Doktor dziś od nas pojechać nie mo-  
że! Sara od godziny jest gorzej!

— Twojej Sarze nic nie będzie, rzekł Brant— a tu  
pilniejszy interes woła.

— Panie doktorze!— zawołał żyd.

— Panie kupiec— daj mi waść pokój! masz czém  
zapłacić, doktorów sobie znajdziesz na fury, ubogi u  
mnie pierwszy.

To mówiąc wziął za kapelusz.

— Sarze nic być nie może?— spytał niespokojnie  
Stanisław.

— Lekkie sinapizma, krople laurowe co godzinę, i  
dosyć; jutro będę u was...

Dawid chciał go wstrzymać jeszcze.

— To być nie może, odpychając go zlekka zawołał  
doktor— ja jechać muszę... jeśli chcesz wezwij so-  
bie kogo innego!

Gdyby nie wiara jaką wszyscy mieli w doktora  
Brant'a, Dawid byłby się pogniewał, ale z potrzeby  
choć obrażony spolitykował.

— Niechże pan choć zobaczy jeszcze moją córkę.

Zniecierpliwiony doktor poszedł, i w pół-kwadransa od niej wrócił.

— Osobliwsza rzecz, rzekł kiwając głową, znowu czegoś zjawił się niepokój, z łóżka się zrywa... chce wstawać. Ale to widocznie coś nerwowego, choć i z temi diabelskimi nerwami nie żartować.

Zamyślił się.

— Będę za parę godzin, rzekł— a teraz choć tamtych uspokoję... krople laurowe, krople laurowe... i niech mi nie wstaje!

Wtém odwracając się, zdziwiony postrzegł Sarę w bieli stojącą na progu z oczyma utkwionemi w Stanisława, który pobał jak ściana.

— Ale nic mi nie jest!— odezwała się Sara do lekarza... mogę wstać! widzi pan! wstałam! jestem zdrowa...

— O! tego ja nie lubię, kiedy mnie kto nie słucha— oburzył się Brant szybko postępując ku niej— do łóżka mościa panno! Co to jest! do łóżka...

Mówił już do istoty która go słyszeć nie mogła... oparta o ścianę, z oczyma zwróconemi na Szarskiego, biędne dziewczę śmiejąc się jeszcze usty, wpadło w stan kataleptyczny i skołowaciało w progu z uśmiechem boleści i łąz na powiece.

Przeraźliwe krzyki słyszeć się dały w domu, a Szarski zwyciężony uczuciami których doznał, pochylił się omdlały i upadł na ziemię.



Gdy po długim gorączkowym śnie jakimś, w którym mieszały się wszystkie przeszłego życia widziadła — otworzył oczy Szarski, długo nie mógł schwycić ciągu przerwane go pasma boleści i uczuć, nie mógł przypomnieć co się z nim działo. Czuł tylko ciężar wielki na sercu i niepokój w duszy, oczy jego z otaczających przedmiotów pragnęły przyjść do poznania miejsca w którym się znajdował, usiłował obrachować jak długi czas trwało dziwne uspienie i marzenie gorączkowe — ale się nie mógł pokierować w domysłach niczem. Widział się bowiem nie w izdebce na strychu o której śnił, nie w pokoiku na Łotoczku przy chorym Karolku, gdzie był być powinien, nie w Krasnobrodzie u nóg ojca, ale znowu na Trockiej ulicy u pana Horyłki, na łóżku pocziwego Szczerby, którego twarz wkrótce się ukazała z za parawana.

— Pawle, zawołał porywając się konwulsyjnie — gdzie ja jestem? co to jest? dla czegom tutaj? mów!

— Cicho! cicho, a powoli — odparł Szczerba z widoczną radością w oku — wszystko bardzo proste i naturalne. Byłeś osłabiony, znużony, wycieńczony pracą... a może i czémś więcej jeszcze; rozchorowałeś się więc niespodzianie, a że na Łotoczek nie chciałem cię odwozić, bo tam i tak, ma już Dormundowa jednego chorego, wziąłem cię do siebie... Szczęśli-

wie przeszła kryzys choroby, będziesz rychło zdrów i po wszystkiém.

Zaszeleściało coś u drzwi i poczciwy stary Brant bez powitania stanął spoglądając na Szarskiego.

— No! widzisz, rzekł do Szczerby— jak mówiłem, tak się stało— natura w młodym silna, kryzys przyszła i przeszła szczęśliwie, będzie zdrów... A teraz tylko proszę mi się z łóżka nie zrywać przed czasem.

— A Karol?— spytał żywo Szarski.

— No! no! zdrowszy, rzekł doktor ruszając ramiionami. Stanisław może chciał jeszcze spytać o kogo więcej, ale mu słowo na ustach zamarło, spójrztał na doktora, który go zrozumiał, bo głową jakoś kiwał— zawstydził się i oczy spuściwszy, odwrócił się do ściany.

— Wszyscy zdrowi— rzekł z przyciskiem Brant zażywając głośno tabakę— i waćpan będziesz mi zdrów także, bylebyś tylko słucał. W gawędy żadne proszę mi się nie wdawać, do roboty żadnej nie śpieszyć, odpoczywać! odpoczywać! Natura poczciwa zrobi resztę z pomocą Bożą.

— Ach! mój Szczerbo!— zawołał w tej chwili Szarski— co ja ci musiałem narobić kłopotu i zawodu poczciwój Dormundowój, której teraz mogłem być właśnie najpotrzebniejszy; a koszta!

— Otoż jest!— przerwał Brant!— łamże sobie temi

głupstwami głowę. Albo to myślisz żeśmy się bardzo zmogli ratując waści? kiedy cię sama natura ratowała... Czy to ci się zdaje, że bez waćpana nikt się już obejść nie potrafi? a koszta! przecież miałeś na koszta pieniądze w kieszeni, a leżąc w łóżku niewiele ich potrzebowałeś!

Szczerba w milczeniu ścisnął rękę przyjaciela.

— Słuchaj Stasiu, rzekł — są obowiązki, które się dopełnia z rozkoszą; nie odbierajże mi przyjemności téj małej posługi, trując się jój wspomnieniem. Bądź spokojny, położenie twoje nie wymagało żadnej ofiary.

— Długoż to trwało?

— Ale nie długo! nie długo! — mrugając przerwał Brant — dałbyś pokój pytaniom i zasnął a spoczął sobie. Zastłonić go parawanem, dać mu co lekkiego, ciepłego, i niech odpoczywa, niech odpoczywa.

Na rozkaz doktora, który znikł zaraz, Szczerba odsunął się także ujawszy raz jeszcze rękę przyjaciela, i odchodząc na palcach.

Stanisław tak się uczuł znużony i złamany, że mimo dręczącego niepokoju, zaledwie głowę do poduszek przyłożył i usnął prawie natychmiast.

W kilka dni zdrowie jego znacznie się polepszać zaczęło, a co chwila, siły jakby czarodziejską przywołane potęgą, wracały; przechadzał się po pokoju, mógł już zajrzeć do przerwanych robot swoich. Zdziwiło go bardzo, gdy schwytna data dnia wskazała

mu blisko miesięczną chorobę jego; nie mógł pojąć gdzie się ten czas podział, usiłował badać Pawła, ale ten go zbywał ni tém ni owém, nie wdając się wcale w szerokie opowiadania. Nareszcie, gdy Szarski całkiem już się miał lepiej i Brant usta rozwiązał jego towarzyszom, dowiedział się własnej swojej historii.

Gdy zemdlony upadł w domu Dawida Białostockiego, wraz prawie po silnych i powracających mdłościach wywiązała się niebezpieczna gorączka, do której przyczynić się musiało i uderzenie w głowę, gdy bezwładny padał na ziemię. Brant nie wiedział co począć z przybywającym mu chorym, a miarkując że go do Dormundowej odwieść nie można, zabrał go naprzód do siebie, potem z wielkimi ostrożnościami, przewieziono go w powozie zamkniętym, noga za nogą, unosząc na rękach, na ulicę Trocką. Tu kilka tygodni Szarski był w istotnym niebezpieczeństwie, ale Brant od razu powiedział, że chyba coś nadzwyczajnego się w to wmieszało, a inaczej młode siły natury przemogą wszystko i Stanisław zdrów być musi. Ledwie nie dnia i godziny naznaczonej przez niego, Szarski oczy otworzył i przytomność odzyskał.

Dowiedział się także, że Karolek był znacznie lepiej, ale odkrycie w nim symptomatów suchotniczych, matkę jego zabiło na duchu. Straciwszy w ten spo-

sób męża i córki, wiedziała nieszczęśliwa, że z tej choroby syn jej już nie wstanie i uleczonym być nie może. Pragnęła więc tylko przedłużyć to życie, które było więcej niż własnym jej żywotem, odrzuciła książki, odsunęła wszelką pracę i we łzach siedziała nieodstępna przy dogorywajacem dziecku.

Karol bowiem, choć najpilniej nad nim czuwano, nieznacznie coraz słabiał, podnosił się nieco i znowu zapadał. A jakby przerwa w sposobie dawnym życia zaszkodziła mu jeszcze, widocznie codzień opadał na siłach.

Brant pocieszał, ratował, robił co mógł, ale jak było skłamać przed matką, której każdy symptom choroby przypominał śmierć męża i córek. Obraz to więc był powolnego konania i boleści liczącej godziny, które pozostawały jej jeszcze.

Trudniej Szarskiemu było zapytać o Sarę i wybać co się z nią stało, ale dnia jednego, gdy sam na sam był z Brantem, uzbroiwszy się w pozorną obojętność, niby przypadkowo go zagadnął:

—No! a pacjentka pańska?

—Jakaż to, jaka?— rzekł Brant niby nie chcąc go zrozumieć— która?

—A kupcówna?

—Córka Dawida Białostockiego?— obojętnie odpowiedział stary, dopomagając sobie otwieraniem skrzypliwém tabakierki— no! zdrowa! zdrowa!



— Jednak, zdawało się... panu samemu...

— Tak, zdawało mi się; ale to tylko było coś lekkiego, kobięcego, nerwowego... Rodzice postrzegli, że nadto wyexaltowali dziewczynę; ale ją teraz za mąż wydają... ślub nastąpi w tych czasach, to będzie dobre antidotum.

Szarski nie śmiał pytać więcej, ale jak skoro mu wyjść pozwolono, wybrawszy się na Łotoczek, bo czuł że obowiązkiem jego było nie odstępować biednej wdowy—nie mógł wytrzymać żeby nie przesunąć się przynajmniej przez Niemiecką ulicę. Przed kamienicą Dawida zwolnił kroku, zatrzymał się i znajomego dobrze żydka sklepowego zapytał:

— Jak się tam mają u was?

— Nu! chwalić Boga, zdrowi!

— A Sara!

— Czemu niéma być zdrowa! ona tylko tak delikatna jak jeneralska córka! Tych dni sprawiają jój wesele.

Staś spojrział w okna, ale wszystkie były czarne i puste—serce go odejść nie puszczało, tęsknota ogarniała i niepokój; ale przypomniał sobie, że widok jego możeby odżywił już trochę przygasłe wspomnienia, i choć z boleścią oddalić się musiał. Każdy krok od tych okien kosztował go wiele; szedł, wstrzymywał się, powracał, nareszcie co sił biedz począł, ażeby przemódz siebie.

Na Łotoczku zastał Martę w bramie, ciszę na podwórzu i smutek jak u trumny. I tak nigdy tu nie było wesoło, a teraz już myśl śmierci pokryła całym ten biędny domek wdowi i sierocy.

W pokoiku Karola leżał chłopak na łożku blady, ale z ognistemi oczyma, z życiem podnieconém i gorączkowym; u nóg jego, zapatrzona w twarz dziecięcia, siedziała nieszczęśliwa matka. W koło Karolka rozrzucone walały się ostatnie zniesione dla niego zabawki, ryciny, książki, skrzypczka na której grać się uczył, papiery, ołówki, wszystko co tylko serce matki na osłodę chwil jego ostatnich wynaleźć mogło.

Smutny to był i rozdzierający widok.

Dormundowój łzy zaschły na zczerniałych od płaczu powiekach, któremi śledziła uciekające życie — patrzała, słuchała oddechu i marła z synem razem. Stanisław choć oznajomiony i poprzedzony wieścią, wszedł ostróżnie, po cichu; łzy mu się zakręciły w oczach, gdy Karolek na widok jego żywo się poruszył i obie ku niemu ręce wyciągnął.

Zatamowane łzy puściły się znowu z oczów matki, która z niemi uciekła, musiała się bowiem dla dziecka tać z boleścią i udawać wesele.

— A! jakżem ja szczęśliwy żeś ty powrócił! — zawołał Karol — a! jam ciebie tak bardzo, tak bardzo potrzebował, ale ty byłeś chory?

— Byłem niezdrów trochę.

— Aleś już zdrów, już zostaniesz z nami, nieprawdaż? I Karol spójrzył na drzwi niespokojnie. — Zobacz, dodał po cichu — czy niema tam mojej matki? Pilno mi pomówić z tobą, a boję się żeby nas nie usłyszała.

Szarski obejrzał się, ale Dormundowa poszła była płakać do ostatniego pokoju, z kąd jej szlochania słyszeć nie było.

— Wiiesz, rzekł Karol żywo ale głos zniżając — ja mam suchoty! Ojciec mój, dwie siostry poumierły z nich i ja umrzeć muszę!

— Ale co ci się marzy! — przerwał Stanisław bledniejąc.

— Tak jest! o! chce mi się żyć? Bóg jeden wie jakbym pragnął żyć dla niej, ale to próżno? próżno, muszę umierać! Kiedym jeszcze był zdrów i nic nie pozwalało się domyślać, że i we mnie jest zaród śmierci, opowiadała mi nieraz Marta o chorobie ojca i siostrzyczek... to słowo w słowo moja! Ale zdaje mi się, że matka spokojna, że ją pocziwy Brant nadzieją kołysze, że się niczego nie domyśla... nie trzeba, by zawczasu cierpiała. A! nie to umrzeć jeszcze; ale ją tak samą, samą! sierotą na świecie zostawić!! O! mój Boże, całe moje nadzieje w tobie Stanisławie.

— Mój drogi, nie trap-że się takimi myślami.

— Na co te kłamstwa ze mną, już ja wiem co mnie czeka! O! żebyś ty mógł zajrzeć jaka walka we mnie. Życie się śmieje, czuję niezmierną siłę jego w sobie, nie mogę w śmierć uwierzyć, a wiem, pewny jestem że prędko, bardzo prędko umrę! Czasem zrana wstając, gdy wypocznę, myśl ta o śmierci niechybniej wydaje mi się przywidzeniem, ale potem postrzegam, że tylko pragnienie życia mnie oszukało! Siły lecą ze mnie, opuszczają, codziennie słabszym się czuję... nikiem...

A! co ona pocznie sama!

Karolek otarł pot z czoła i westchnął.

— Słuchaj, rzekł do Stasia, który drżał ze wzruszenia — ty musisz mnie przy niej zastąpić, ty jej będziesz synem. — Ale ty pewnie, pewnie suchot nie masz? bo to byłoby okropnie!

— Dziecko kochane — uspokój się, nie nękaj temi przywidzeniami; ty żyć będziesz.

— Nie, o nie! — zawołał Karol potrząsając bladą główką — ale ty mnie zastąpisz, ty jej potem powiesz kiedyś, że ja widziałem zdaleka przychodzącą śmierć, ale nic o niej nie mówiłem, ażeby jej nie straszyć; ty jej powiesz że ja tobie poleciłem czuwanie nad nią... ty zostaniesz jej synem. A! na całym świecie, nikogo! cztery groby! cztery tylko mogiły! i cisza, i cisza! a! jak ona to wytrzyma!

Stanisław uściskiem ręki biednemu chłopcu dał znać, że matka nadchodziła, a Karol począł coś zaraz mówić wesoło. Dormundowa też z twarzą wyjaśnioną wysiłkiem woli, ukazała się uśmiechnięta prawie. Oboje witali Stanisława, a Karol przez poczciwe oszukaństwo, rozpoczął rozmowę o bliskim swém wyzdrowieniu, o dogonieniu współuczniów co go wyprzedzili, o przedmiotach obojętnych. Cały wieczor zszedł na pogadance dziwnej, a ciężkiej, pod której tłem lekkim tyle było boleści, tyle groźb na jutro!

U łoża Karolka rozpoczął nanowo Szarski życie poświęcenia i pracy.

---

Kto z was lat kilka ślęczył nad książkami zapierającemi mu wrota życia i niecierpliwém okiem mierzył tę przestrzeń, która go dzieliła od świata i jego upragnionój swobody—ten pojmie czém jest ostatnia lekcyj godzina dla wyzwalającego się akademika, czém examen ostatni otwierający mu szeroko bramę i pożegnanie z twardą ławą studencką.

Pragnie się téj godziny, o! pragnie, a gdy wybije nareszcie—smutek ogarnia serce i nagły żal—rozbojnik chwyta za piersi... Któż wie co tam czeka na progu nowego naszego życia, a ile tu się rzuca niedzyskanych, cichych, nedorównanych rokoszy!



Ta garść młodzieży, którą związała przyjaźń, codzienne zbliżenie, jedność myśli i nadziei, ta święta wiązanka ludzi, rozprzęga się na wieki wieków; każdy z kijem pielgrzyma, jak na rozstajach podróży, odchodzi w swoją stronę, a choćby chciał spotkać znowu tych z którymi najlepsze lata przepędził, kto wie czy potrafi?

A gdy po lat dziesiątkach, po skosztowaniu losów nowych, co włos jasny przerzedziły na skroni lub popruszyły siwizną, dłoń namulały pracą, oczy wypiekły łzami, spotkają się ci, których serca biły uczuciem jedném tak zgodnie, któż wie, kto wie, czy się serca poznają, czy poznają oczy, i uściskają dłonie? Najświętsze nawet i najczystsze węzły świat rozerwać umie, najlepsi się psują, a najtwardsi mienia. O! jutro, jutro straszliwe słowo, bo któż zakrytą jego twarz odgadnie?

W stanowczych chwilach, nawet przy największej nieznajomości warunków ludzkiego bytu, jest jakieś ich przecucie, i ta młodzież co wyskakuje z ławy równemi nogami w przepaść, choć przyrzeka sobie wierność na jutro, choć pragnie spotkania, jakoś nie bardzo w nie wierzy; drżą dłonie, płaczą oczy, serca biją przyspieszonymi uderzeniami — kiedyż, kiedyż to my się zobaczymy?

—Prędko!—mówią usta.

—Może nigdy!—szepcze serce.

W chwili, gdy się na zawsze rozstać mieli towarzysze, których los związał przyjaźnią, postanowili pożegnać się uroczyście, ślubując sobie pamięć i podając ręce raz ostatni, z uczuciem młodém jeszcze. Bogatsi chcieli, by ta uczta odbyła się ich kosztem i była prawdziwą orgią akademicką, któraby się wyryła na wieki w pamięci, nie tylko jako chwila rozstania, ale jako chwila ozłoconego poetyzmem lat dwudziestu szafu. Zamówiono więc salę u Nowickiego składkowemi pieniędzmi i bankiet na dwadzieścia kilka osób. Bankiet! bo dla tych co lat kilka często doświadczali głodu, dobry obiad szlachecki, już na ucztę zakrawał! Łatwo im było kupić ucztę Sardanapala! Oprócz akademików świeżo wyzwolonych i ustopniowanych, z różnych oddziałów uniwersytetu, zaproszeni byli niektórzy professorowie, poczciwy Hipolit i znajomy nam doktor Brant.

Około godziny trzeciej z południa, gospodarze stanęli u drzwi salonu, wśród którego lśniący od porcelany i kryształów stół wyciągnął się umajony kwiatami i zielonemi liśćmi ubrany, poczynając witać przychodzących gości.

Oprócz Korczaka, który istotnie wdział suknią duchowną, i jako seminarzysta na pożegnalnym obiedzie znajdować się nie mógł, zeszli się tu znowu ci wszyscy, których los zebrał był już raz w karczemce pod Wilnem; ale ileż to zmian zaszło od czasu

jak ściśnięci w lichéj budce jechali do grodu Gedymina! Bazylewicz, który szedł do Wilna dziurawo i wytarto, miał minę wesolą, głos wodza, ubranie wytworne od najpiérwszego krawca i kieszeń do-brze nabitą, dzięki prenumeracie; Bolesław Mszyński utył ogromnie, a że na niego spadła jakaś successya i mógł sobie pozwolić najadać się do syta, zaczynał już nabierać brzucha a do twarzy przyrastał mu drugi krągłuchny i rumiany podbródek. Szczerba przeciwnie wychudł, wymizerniał, zżółkł examenami zamęczony i oczy mu straszliwie zapadły. Michał Żrytło, ulubieniec współuczniów, *arbiter* ale nie *elegantiarum*, bo wszystkich sporów młodzieży, i wyrocznia ich w potrzebach praktycznego życia, miał minę wesolą, różną, rozrósł się tylko, opalił, zczerniał, ale zresztą nie zmienił serca ani twarzy. Szarski nareszcie, owa Piwonia szkolna, z blademi dziś policzki, z okiem zamgloném łzą ciągłą, wysoki, chudy, smukły, widocznie dorósł do cierniowego wieńca, który już nosić poczynał. Na nim widać było dobrze lata pracy: zdawało się, że mu czoło urosło, że rysy twarzy przeszły w typ idealniejszy. Uśmiech wywołany siłą zjawił się na jego ustach chwilę, ale gaś jak te iskry, które tleją w popiele bez węgla i rozdmuchane błyskają tylko by zamrzeć. Nigdy wesołość jego nie przybrała już téj cechy niepamiętnego na jutro dziecinnego rozweselenia, które raz wy-

gnane z serca nigdy już nie powraca; widział życie jak było, pasmem bojów, utrapień, bez nagrody tutaj, śmieszna jakąś maluczką parodią czegoś większego, przez bardzo miernych odegrywaną aktorów. On i Bazylewicz, oba poeci w mniemaniu ogółu, byli jak dwa bieguny przeciwne różnemi istotami: tamten utył, wyświeżał, rozrósł się na chlebie literackim, ten zsechł i zwiędniał; jednego podtrzymywała дума herkulesowa, drugiego palił wewnętrzny ogień poezyi.

Byli tam obok i inni, niezuajomi nam, najróżniejszych charakterów młodzi ludzie, stanowiący tkauinę różnobarwną a świeżą, mającą służyć za wątek przyszłemu społeczeństwu.

Świeżo wyzwolony prawnik z wytartemi łokciami, w zszarzanym mundurzyku, wybierający się na służbę do stolicy z której miał wrócić później elegantem i znakomitą figurą; młody artysta pełen nadziei Włoch i Rzymu, za kilka miesięcy mający się ożenić, by zgnieć na miejscu i talent na fraszki zmarnować— medyk jadący służyć na Kaukazie, inny wesoło wiążący tłumoczek do Astrachania, trzeci co się wybierał pod komendę Dupuytrena dokazywać cudów na nieszczęśliwych kalekach— a! i wielu, wielu jeszcze... Na pierwszych miejscach *honoratiores*, siedzieli professorowie, przy nich Hipolit, zawsze wesół jakby nie przeczuwał w przyszłości nic gorz-

kiego... dalej uczniowie ubożsi zaproszeni jako goście, a na szarym końcu ci co gospodarowali i płacili. Bazylewicz naturalnie zasiadł tuż przy profesorach, rozparł się i traktując swoich mistrzów wczorajszych na stopie równości, zabierał głos z właściwem sobie zuchwalstwem i deklamacją.

Szarski milczał—jemu ciężko było na sercu, bo kończące się nauki wyzwalając go zmusiły myśleć o sobie, o obiorze stanu, o chlebie, a codzien widoczniej przekonywał się, że to co z serca płynie, chleba nie rodzi.

Pierwsze chwile tej uczy smutne były jak stypa, choć je wszyscy pragnęli rozweselić, dorzucając każdy po szczypcie konceptu, do leniwiej rozmowy.

—A cóż u licha, ozwał się nareszcie podnosząc z kielichem w rękę Hipolit — czyśmy to już tak starzy, że zamiast chwytać godzinę wesela, wcześniej się dławimy jej ogouem? Do kielichów! po staropolsku! *bonum vinum laetificat cor hominum!* łacina nie tęga, ale zdanie przedziwne. — Czołem mistrzom i wodzom! professorów zdrowie!

Na to hasło runęły stołki, brzękły kielichy, pobiegli wszyscy do kilku osiwiiałych nauczycieli, krzycząc, wołając *hura!* i *Vivant!*

—Nie! — głośnieją od innych włazłszy na krzesło zaprotestował Mszyński—*Veto! Veto!* któż tak zdro-



wie pije! Wszystkich razem? co to znaczy? Chyba to tylko summaryusz rozdziałów i przedmowa dzieła? Inaczej nie przyjmuję zdrowia professorów, jak pojedynczo każdego!

— A zatém, jako przedmowa tylko, zdrowie wszystkich razem!

-- Zdrowie — przedmowa! — zawołano zewsząd, a najstarszy z nauczycieli podniósł się z podzięką.

— *Silentium!* — stuknął o stół Bazylewicz.

— Cicho! — powtórzyli drudzy.

— Panowie, odezwał się professor ze łzami w oczach — żał nam was żegnać, choć wesoło wam odlecieć! Pijecie zdrowie nasze, przyjmujemy je, ale nie dosyć szanować w nas przewodników, cześć istotną wyrządźcie nam wyprzedzając tych, którzy zostać muszą na drodze, wlokąc się po niej o kiju! Z jednej strony szacunek i cześć tradycyi, pracy poprzedników, z drugiej niech was zapala żądza więcej coś zrobić niż oni, wyszukać dróg nowych, odkryć z kolei choć cząsteczkę prawdy, wdrapać się wyżej na stromą skałę wiedzy ludzkiej! A zatém, za zdrowie odpowiadamy życzeniem, byście nas przeszli, byśmy się wam kiedyś dziwić i poklasnąć wam musieli. Kto stanie na téj drodze, ten się cofnął, kto spoczął, ten jak ów na Mont-Blanc podróżny, zechce usnąć i zamrze na wieki! Do góry! do góry, żywo! nie żałując nóg, mości panowie!

— I jeszcze jedno! — przerwał nauczyciel drugi — ja mówię w imieniu serca, gdy kolega mówi w imię nauki. Starzejcie się rozumem, dojrzewajcie wyobraźnią, wyrabiajcie wolę silną, ale bądźcie sercem młodzi na wieki wieków, amen!

— Amen! — krzyknęli wszyscy wielkiem echem.

— Młodzi bądźcie, dodał nauczyciel — szlachetnością uczucia, niepamięcią na siebie, gotowością do ofiary i miłością ludzi!

— Amen! amen! — powtórzyli uczniowie z zapalem.

— Zdrowie! zdrowie! I poszły toasty szeregiem, a w miarę jak wino rozpowijało myśli i wzmagało serc bicie, zapalały się oczy, rozwiązywały usta, szmer, gwar, krzyk, śmiechy i tłumna rozmowa zawrzała. Każdy mówił co myślał, ale niestety! najwięcej z nich już tylko o sobie, o swęj przyszłości, o swoich rozprawiali nadziejach! Bazylewicz tworzył epopeję z przyszłości, Szczerba się nią niepokoił jak zadaniem nie wiem tam którego stopnia, Mszyński układał życie wiejskie nakształt filantropicznej sielanki, Żryłło gotował się do roli pośrednika i sługi w obywatelstwie; jeden Szarski nie stęknął ani wzdychał do jutra, ale też milczał uparcie. Wstawał z pełnym kielichem i z pełnym prawie usiadał, łączył swój głos serdecznie z innymi, ale sam go ani razu nie podniósł.

Aż Hipolit chwycił go wreszcie rubasznie za szyję i po swojemu strząsnął nim krzyząc:

— Zdrajca! panowie! zdrajca! Szpieg bestya! ani się śmieje, ani je, ani pije, ani gada, siedzi mrukiem, a może jeszcze kpi w duszy z poczciwych ludzi... powiesić go na ...

— A! do diabła! niéma na czém, przerwał Szczerba— choć stryczek zrobilibyśmy z serwety.

— Utopić go w kieliszku!— zawołał Mszyński.

— Większość za utopieniem, powtórzyli kilku, niech ginie w porterze lub szampańskim winie, zostawimy mu wybor rodzaju śmierci.

— Tak! tak! ale bez przebaczenia śmiercią go ukarać, począł Hipolit— trujesz nam sobą ucztę weselną; hulaj z nami, lub wypowiedaj się bratku!

Szarski już miał w głowie kieliszek wina.

— A! towarzysze kochani!— zawołał, chcecie nalać z próżnego, gdyście z moich ust zażądali wesołości! Zkądże ja jój wam wezmę? Jest to jakbyście zapragnęli upić się atramentem; otruć się nim można, upoić niepodobna!

— Idź do licha z atramentem!— krzyknął Bazylewicz— jeszcze nam ten napój studencki przypominać będziesz! upoić go! upoić!

— Zgoda!— zakrzyknęli wszyscy— niech się upije!

— *Vox populi, vox Dei!*— dodał ktoś z boku.

— Mocą nam daną przez wino i wódkę wypita,

skazujemy cię — odezwał się wstając uroczyście i rękę wyciągając wyprostowaną ku winowajcy Hipolit— skazujemy cię na sześć kieliszków szampańskiego.

— Na Boga! zawołał Szarski, to się spiję!

— Właśnie nam tego potrzeba, odparł sędzia — potem zmusimy cię improwizować.

— To najprędzej zaimprowizuje mi ból głowy, panowie!

— Wyrok stanął — lub za kołnierz!

— Kołnierz, to u mnie rzecz droga, nie mam drugiego — westchnął cicho Szarski.

— Niech pije! — zawrzeli wszyscy już dobrze podochoceni — jeśli nas kocha niech pije. Każdy z nas wypił już najmniej po sześć kieliszków, niech się zrówna z nami; cóż to, my mu służyć mamy za Ilotów.

— Niech pije! — powtórzył chór i zewsząd zbiegły się kieliszki, a poczęto tak naglić, tak naciskać, zaklinać i prosić, że biedny Stanisław podniecony, odurzony, nie chciał się dłużej opierać, i wstał zarumieniony z pierwszym kielichem w dłoni.

— To za zdrowie wasze, rzekł, mistrzowie nasi. Czołem wam, czołem wam coście zasieli w nas nasiona, za których wzrost my tylko odpowiadamy. Wielkich siéwaczów przyszłości!

**I wypił.**

— To drugi toast... czci nauki poświęcony! Niech

na wieki przypomina, żeśmy jój winni rozwicie nie tylko głowy lecz serca; z poczciwój głowy płynie strumień nieprzerwany w pierś, by z serca nazad ku niój odpłynął.

— To trzeci toast: uczuciom młodzieńczym! młodości serca i myśli! Nie starzejmy się bracia, a gdy sucho zatrzaśnie się za nami wieko trumny, niech nas z wiankiem dziewictwa na skroni pokryje.

— To czwarty! szkolnej przyjaźni! idźmy wierni jój, wierni pamięci lat młodych, w świat nowy! A każdy na piersi niech powiesi imiona towarzyszków swoich jak talizman... Imiona te niech mu przypominają cnoty towarzyszków, bo każdy z was miał jakąś.

— Ale ba! zaprotestował Mszyński— ja swojój nie widzę; jem dobrze, to prawda.

— I ostatnim kęsem dzielisz się z drugimi— odparł Szarski.

Wszyscy poklasnęli.

— To piąty!

— Piątego zdaje mi się nie stanie, szepnął Bazylewicz.

— Przepraszam!

— Nie przerywać!

— Piąty naszemu staremu grodowi, ulicom i murom poczciwego Wilna i jego zacnym mieszkańcom!



Gdzież znajdziemy serca, coby żywszą przyjęli nas wędrowców sympatyą?

Podniesiono z hałasem kielichy do góry.

— A szósty toast rozstania, zawołał rozogniony poeta— toast żałoby, toast zakrytemu jutru! które stoi na progu téj sali obwieszzone ciemnościami. *Deo ignoto doli naszéj!*

Te słowa wymówił z takim uczuciem głębokiego smutku, z taką jakąś przerażającą siłą, że wszyscy zdrętwieli, a niejedno oko zwróciło się ku drzwiom, jakby istotnie na progu okazać się miało widmo czarne.

Doktór Brant, który dotąd siedział cicho, podniósł się dopiero z kielichem, nasypawszy weń przez rozłargnienie nie mało tabaki.

— A co ci do jutra? wieszczu-poeto! a co ci do tego jutra? Jutro idzie ale w różach i kwiatach, z rogiem obfitości w dłoni.

— Z rogiem! a nuż się pożenim— przerwał Hipolit.

— Róg Amaltei, począł Brant.

— Chociażby, zawsze to znak nie dobry.

— Dość, że szósty wypiwszy kieliszek, niech siada ten co wypił już toast jutra, a nam dozwoli kończyć w nieogłędności naszéj. Jako medyk, proponuję *zdrowie zdrowia, katexochen!* niech wam przyszłość ze swéj skarbnicy niewyczerpanéj da jak

najlepsze żołądki, jak najsilniejsze płuca, jak najdzielniejszy mózg, *et caetera, et caetera!*

— *Vivat et caetera* doktora Brant'a, przerwał Mszyński i z hukiem niezmiernym, olbrzymim, aż się sala zatrzęsała, a słudzy wlecieli przerażeni, wychylono toast nowy.

— Panowie dobrodzieje, rzekł zbliżając się jeden ze sług z miną zakłopotaną, tu obok obiada je książę Jan... hrabia P... prezes X...

— I kto więcćj kochanku? zainterpellował Bazylewicz, podnosząc się z dumą.

— Nikt więcćj... nie wiem, ale ten hałas, przepraszam panów... Książę Jan się uskarża...

— Powiedźże od nas Księciu Janowi, żeby sobie mitrę na uszy nasunął, to mu hałas wadzić nie będzie... lub jeśli chce, pošlemy mu funt bawełny, bo mitra podobno dziurawa... I ruszaj pókiś cały!!

Sługa zniknął jak zmyty.

— A! Książę Jan! rzekł Bolesław— obchodzi tu widać jeden z dni i jedną z uczt swojego wesela..

— Alboż się ożenił? spytał ktoś drugi.

— Najniezawodniój, tydzień temu.

— Z kim? z kim?

— Ale ba! z panną Szarską, podobno kuzynką pana Stanisława.

Stanisław począł szukać serwety pod stołem i

może tego nie słyszał, a rozmowa się urwała, by za chwilę żywszą się jeszcze obudzić.

— A słuchajcie-no panowie, zaproponował Żrytło, gdybyśmy napisali na karcie zdanie wielce nam pamiętne, z czasów nianiek naszych— mądry głupiemu ustąpi! i pojechali dokończyć rozpoczętego dzieła w Tivoli.

— Zgoda na Tivoli, zawołano, ale kto uciecze korzystając z téj zawieruchy— wyklęty!

— Wyklęty! powtórzyły mnogie głosy i poczęto co żywo chwytać za czapki, a nikt od dobrego i rozochoczonego towarzystwa nie chciał odstąpić, nawet Szarski, który na wpół upojony dawał z sobą robić co chcieli.

Wyszli więc wszyscy w ulicę, siedli na dorożki i sznurem długim pociągnęli korzystając z prześlicznego i już gwiazdami okrytego wieczora, na Antokolskie przedmieście. Ten szereg dorożek, z których wesółą i bujną rozchodziła się rozmowa, zwracał uwagę przechodniów, gdy nagle przed S. Janem na zawrocie w Zamkową, zatrzymać się musieli wszyscy.

— Co tam? co tam? krzyczeli jadący z tyłu.

— Czemu nie jedziecie?

— Nie można!

— Dla czego nie można! Wiecie że tego wyrazu niema w dykcyonarzu pijanych.

— Ulica zapchana— powozy jakieś.

— Cóż? pogrzeb czy wesele?

— Trudno zgadnąć... ale coś nadzwyczajnego.

— Co to jest? spytał siedzący ze Stanisławem Szczerba przechodzącego żydka, w którym rozpoznał Hersza, dawnego faktora z Trockiej ulicy. Co to u licha?

— A co ma być kiedy nie wesele? Kupiec Dawid Białostocki wydaje córkę swoją Sarę za bogatego syna kupieckiego... jadą paradą do krewnych... pan widzi... ten kocz... niech pan patrzy— to panna młoda!! Co za śliczności i jakie bogactwa, ona ma na sobie za tysiąc dukatów pereł i dyamentów!

Stanisław stanął wyprężony, oczy jego zwróciły się w stronę wskazaną i ujrzał w bieli, bładą, wpół martwą piękną Sarę, której wzrok nieruchomy wlepiony był w inne dalekie światy... bo niewidziała ziemi— przemknęła się jak zjawisko... tylko w chwili gdy się mijali zadrżała poczuwszy zbliżenie niewidzialnego kochanka, odwróciła się, znalazła go magnetycznymi oczyma, krzyknęła głosem zagłuszonym gwarem boleści, a konie uniosły ją dalej w świat, w tłum, w ciemności.

— Stój, rzekł Szarski silnym głosem do Szczerby, ja z wami jechać nie mogę, jeśli nie chcecie

bym oszalał; pozwólcie, zaklinam, pozwólcie mi wrócić do domu!.. Miejcie litość nademną.

— Więc i ja chyba powrócę z tobą, rzekł Szcerba, bo samego cię nie puszczę... Zdam ci się, chora duszo poety.

Skinął na woźnicę, cofnęła się nieznacznie z szeregu dorożka i cicho posunęli się na Łotoczek. Szarski nie przemówił słowa, ścisnął tylko rękę przyjaciela i oddalając się od towarzyszków szepnął ledwie dosłyszczanym głosem.

— O! przeczułem czarne widmo przyszłości!

Dziwnie w ich uszach tętniących jeszcze wrzawą, którą opuścili nagle, wydała się odludniejsza, milcząca część miasta, w którą się zapuszczali. Tu życie szło cichym powszednim trybem swoim—wlokło się raczej leniwo i tęskno. Latarnie płonęły ciemno, postacie przechodzące suwały się powoli, wiatr nawet jakiś smętny znalazł się na samotnym Łotoczku.

U bramy zatrzymali się i weszli pieszo, furтка była otwarta; tknęło to Szarskiego jakoś, nikogo w ganku, drzwi wszystkie na roścież— w izdebkach cisza grobowa. Na palcach wsunęli się do pokoiku Stanisława sądząc że Karolek usnął... ale tu widok straszliwy uderzył ich oczy.

Na łóżku jeszcze obrzuconém książkami, nutami



i zabawkami chłopcica, leżał Karol niby uspiomy, ale z twarzą żółtą, woskową pokrytą bladością.

Sen ten był już snem śmierci. Znać nagle, niespodzianie jak spoczynek przyszedł zgon zamykając mu oczy łagodnie. Jedną ręką sparty był jeszcze na dłoni, druga wyciągniona leżała na pościeli. W pokoiku nic nie tknięto, nie poruszono.

Tylko na podłodze, u łóżka, martwa na poły, skostniała, bez łzy w oku, z zaciętymi ustami, z załamaniem rękoma— leżała matka nieszczęśliwa... W tej drgała jeszcze resztką życia, ale go i tam nie wiele pozostało... siły nie miała ani na krzyk, ani na łzy, i narzekanie.

Ujrawszy dopiero Stanisława, który otrzeźwiony widokiem zestupiał— podniosła się jak posąg dźwignięty sprężyną i wyprężoną ręką wskazawszy na trup dziecka, z ogromnym, straszliwym krzykiem, upadła..

Taki widok spotkał poetę na progu nowego życia.

KONIEC TOMU PIÉRSZEGO.



## NIEKTÓRE DZIEŁA

wydane nakładem i drukiem Księgarni pod firmą:

**Józefa Zawadzkiego, w Wilnie.**

---

ANDRZEJ CHENIER. Powieść historyczna z czasów Rewolucyi Francuzkiej (1792—1794), przez *Mery*. Przekład *J. I. Kraszewskiego*. Z przydaniem wiadomości o życiu *Andrzeja Chenier*. 1 tom obszerny in 8vo.

DIABEŁ. Powieść z czasów Stanisława Augusta, przez *J. I. Kraszewskiego*. (Wydanie poprawione i przerobione przez Autora). 4 tomy we 2ch. in 12. 1855.

DWIE KORONACYE SASÓW Augusta II i Augusta III królów polskich. Ze współczesnego rękopismu ogłosił z przedmową i kilku objaśnieniami *Władysław Syrokomla*. in 12.

DWIE SCENY Z POŻYCIA WIEJSKIEGO, przez *Jana Kantego Gregorowicza*, in 16.

FIZYOLOGIA i jój stosunek do Psychologii, przez *J. J. Virey*; przekład *W. P.*

GARBATY. Powieść we 3-ch tomach przez *Józefa Korzeniowskiego*. in 12. Wydanie nader ozdobne.

GAWĘDY I RYMY ULOTNE, prz. *Wład. Syrokomlę*.

Wydanie ozdobne na najpiękniejszym welinie. in 16.

HISTORYA NATURALNA w celniejszych wiadomościach zebrana i do pojęcia młodzieży zastosowana. Z 8mią tablicami kolorowanych rycin. in 16.

HISTORIA NAUK PRZYRODZONYCH podług ustnego wykładu *Jerzego Kuwier'a* ułożona i uzupełniona przez P. *Madelen de St.-Aizy*; na język polski przełożyli i dodatkami do piśmiennictwa polskiego odnoszącymi się wzbogacili, *Gustaw Belke* i *Alexander Kremer*. Tom 1-szy, 2-gi, 3-ci i 4-ty. in 8vo maj.

— T. 5-ty pod pressą.

HISTORIA REWOLUCYI FRANCUZKIEJ 1789 roku, przez *Poujoulat'a*. Przełożył z francuzkiego i notami objaśnił *Władysław Syrokomla*. 2 tomy in 12mo maj., ozdobione 8mią rycinami na stali, 1851.

KRÓTKIE ODPOWIEDZI na pospolite przeciw Religii Zarzuty, X. *Séгур*. Z 25-go wydania przełożył X. S. S. D. in 16.

KSIĄŻECZKA in 16. Bez tytułu i nazwiska Autora.

MANUALE PRECUM et Spiritualium exercitiorum Sacerdotibus et alumnis Seminarii utilissimum. in 16.

MISSYA DOMOWA czyli książka do Nabożeństwa i Nauki dla Katolików X. A. Xięcia Hohenlohe. Wydanie nowe poprawne. in 16.

MSZAŁ WSPÓŁ-KAPŁAŃSKI dla osób świeckich, zawierający czterdzieście Modlitw podczas Mszy św. przez X. *Marcina Kochemenna* ułożony; z łacińskiego na polski język przetłómaczony. in 18.

- O RASSACH LUDZKICH, czyli Zasady Etnografii, I. J. d'Omalius d'Halloy. Przekład z francuzkiego W. P. z ryciną wyobrażającą główne plemiona ludzkie. in 12.
- PODANIA LITEWSKIE. Serya Druga. *Żegota* z Milanowa Milanowski, przez *Ignacego Chodźkę*. in 12.
- POWIEŚCI I OPOWIADANIA *Józefa Korzeniowskiego*. Serya Druga: Scena na Balu.— Pojedynynek. in 12. t. 1.
- POWIEŚCI I OPOWIADANIA *Józefa Korzeniowskiego*. Serya Trzecia: Jedynaczka. Dwa Śluby. in 12. tom 1.
- PAMIĘTNIKI NIEZNAJOMEGO przez *J. I. Kraszewskiego*. Wydanie drugie poprawne i przerobione przez autora. 2 tomy in 12.
- REKOPISM X. BAGIŃSKIEGO Dominikana Prowincyi Litewskiej, (1747—1784 r.). Wydany przez *Eustachego Tyszkiewicza*. in 8.
- RYS CHRONOLOGICZNO-HISTORYCZNY PAŃSTW NOWOŻYTNYCH od V wieku do dziś dnia, z kilką mapkami i Genealogiami, tudzież zbiorem pytań, ułożony przez *Alexandra Zdanowicza*. in 8vo.
- RODZINNY ZAGON. Zbiór Obrazków, Gawęd, Fraszek rymowanych i nierymowanych przez *Adama Pługa*. 3 tomy in 12.
- SEN WIESZCZA (czyli Wiliam Szekspir). Opera we 3-ach aktach przez *Wład. Syrokomlę*, podług francuzkiego przerobiona do muzyki Stanisława Moniuszki.
- WYKŁAD OBRZĘDÓW I RELIGIJNYCH ZWYCZAJÓW Rzymsko-Katolickiego Kościoła, ze względu na ich duchowne znaczenie; zebrany i ułożony przez *X. Jana Łunkiewicza Pijara*. Wydanie drugie. in 12.
- WYKŁAD CHEMII, czyli pierwsze zasady téj nauki,

wsparte najprostszemi doświadczeniami. Dla szkolnego użycia i kształcenia się w niej bez nauczyciela, szczególnież zaś dla poczynających Farmaceutów, wiejskich Gospodarzy, Rękodzielników i t. d.; przez Dra Juljusza Adolfa Stöckhard't, Professora Królewskiej Akademii Leśnego i Wiejskiego Gospodarstwa w Tharand i Królewsko-Saskiego Aptek-Rewizora. Tłómaczenie *J. Filipowicza* i *W. Tomaszewicza*, z ostatniego niemieckiego wydania. Z 290 w tekście odbitemi drzeworytami. in 12. 1855.

WYKŁAD SYSTEMATYCZNY FILOZOFII, obejmujący wszystkie jój części w zarysie. Dla miłośników téj umiejętności, pragnących dokładnież się z nią obeznać skreślił *Józef Kremer* Dr Czł. Tow. Nauk Kr. T. II. Rzecz o Naturze i o Duchu ludzkim. in 8vo.

WĘDRÓWKI PO KRÓLESTWIE ŻWIERZĘCÉM, tłómaczone z niemieckiego; w malowniczych opowiadaniach, z kilkudziesięciu przepyszniemi drzeworytami w tekście i osobno, czarnemi i kolorowanemi, na pięknym welinie. 2 tomy in 8vo maj.

WĘDRÓWKI POMOICH NIEGDYŚ OKOLICACH. Wspomnienia, Studja historyczne i obyczajowe przez *Władysława Syrokomłę*. Z pięknie litografowanym na tincie widokiem Zamku Mirskiego, in 8vo, na pięknym welinie.

WIECZORNICE. Powiastki, Charaktery, Życiorysy i Podróże przez *Lucyana Siemieńskiego*, 3 tomy in 12.

ZASADY EKONOMII POLITYCZNEJ czyli wykład głównych wiadomości téj nauki, przez *Józefa Garnier*. Z drugiego wydania, znacznie powiększonego, przełożył na język polski A. S. in 8vo.

INSTYTUT  
BADAN HISTORYCZNYCH PAN

Biblioteka

ul. Nowy Świat Nr 72

<http://rcin.org.pl>

Tel. 26-55-53, 26-52-31 w. 42







Charakterystyka utworów odd. lit.

Karykatury — 104—105, 107 (sonety) 109.  
Szarski — 105—107 (Kazimierz, poemat,  
romans — Katarzyna. 109.

Kuriosy i anekdota. Meherle — 174.



F  
1733  
1